A jednak Warszawa podoba się cudzoziemcom

Alfabetyczny, humorystyczno-satyryczny
przewodnik po Warszawie
lat 1873–1875
na podstawie felietonów
Henryka Sienkiewicza

A jednak Warszawa podoba się cudzoziemcom

Alfabetyczny, humorystyczno-satyryczny
przewodnik po Warszawie
lat 1873-1875
na podstawie felietonów
Henryka Sienkiewicza

Warszawa 2017

Opracowanie Grażyna Małgorzata Lewandowska
Współpraca Elżbieta Tomczak
Opracowanie redakcyjne Roman Nowoszewski
Opracowanie graficzne i łamanie Ireneusz Frączek

Syrenka na okładce: „Mucha” 1876 nr 8

© Copyright by
Biblioteka Publiczna m.st. Warszawy
Biblioteka Główna Województwa Mazowieckiego

Widok Warszawy z wieży kościoła Ewangelicko-Augsburskiego przy ulicy Królewskiej,
rys. Adolf Kozarski, ryt. Feliks Zabłocki,
F. Fryze, I. Chodorowicz, *Przewodnik po Warszawie i jej okolicach na rok 1873/4*, Warszawa 1873

A jednak Warszawa podoba się cudzoziemcom.
Nie wiem, czy piękność warszawianek usposabia ich
tak dobrze, ale niektórzy chwalą wszystko bez wyjątku.
Koło pałaców stoją na pryncypalnych ulicach na wpół
rozwalające się chałupy – to rozmaitość miła dla oka.
W nocy ciemno – to romantyczne,
w dzień brudno – to oryginalne.
Ha! widocznie mamy szczęście.

Henryk Sienkiewicz (D XLVIII 127-128)

Zawsze lubiłem Warszawę; mimo naszych bruków,
mimo latarń i omnibusów, mimo sił wokalnych naszej opery,
mimo brzydkich kobiet, mimo starej i młodej prasy,
mimo pseudopozytywistów i pseudoidealistów,
mimo amatorów-prelegentów i amatorów-koncertantów,
mimo utworów niektórych naszych autorek,
mimo broszurek w sprawie emancypacji kobiet (...),
mimo dowcipów niektórych naszych humorystów, słowem:
mimo tego wszystkiego, co jest u nas najrozpaczliwsze,
nigdym nie żałował, żem się tu wychował
i że się tu kołaczę (...).

Henryk Sienkiewicz (D XLVIII 32-33)

Spis treści

Wstęp / 9

Przewodnik / 33

Amatorskie przedstawienie w oryginalnych dekoracjach / 34

Atrakcje powrotu z Teatru Letniego / 37

Bal w Ratuszu i nieoczekiwana zamiana odzieży wierzchniej / 40

Baliki w Tivoli / 44

Barbarzyńskie zwyczaje teatralne / 47

Bigos różnojęzyczny / 50

Brukowy przekładaniec / 52

„Być albo nie być" pomnika Moniuszki / 55

Bywalcy teatrzyków ogródkowych / 59

Cyrk Salamońskiego i „towarzystwo" / 63

Czy poczta dla klientów, czy klienci dla poczty / 66

Diariusz Wielkiego Tygodnia / 68

Domorosłe talenty w Instytucie Muzycznym / 72

Dorożkarze udzielający bezpłatnych lekcji gimnastyki / 74

Farbiarnia nadzieją na oszczędności / 78

Fartuszki w tanich kuchniach / 80

Głód kultury / 83

Gorączkowa chęć zrobienia pieniędzy w budownictwie / 85

Harce na Marszałkowskiej / 89

Herkulesowe prace w Bibliotece Uniwersyteckiej / 92

Hojność zimą / 94

Jak nie dojechać do Kolei Terespolskiej / 97

Jarmark próżności ludzkiej / 101

Kapelusze i cukiernie / 104

Klasa nadwiślaków / 107

Kłopotliwe majówki / 110

Koncert w Dolinie Szwajcarskiej z wątróbką w tle / 114

Krucjaty przeciwko obcym artystom / 117

Kwestia wschodnia na warszawskim bruku / 120

Letni salon Warszawy / 122

Letnie mieszkania dla podopiecznych Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności / 126

Loteria fantowa i kaprysy losu / 128

Miasto melomanów / 131

Mleczarnie i miłość / 133

Młodzież złota i pozłacana / 136

Muzeum Gassnera bawiące przy Nowym Świecie / 139

Nadzieje pokładane w Komitecie Sanitarnym / 142

Najciemniej pod latarnią / 145

Niedogodności i przywileje Teatru Letniego / 147

Nowe gimnazjum okazją do rozważań na temat kształcenia w szkołach / 149

Obrona członków Resursy Kupieckiej / 152

Odczyty minione męskie i przyszłe kobiece / 154

Ogony damskie i inne złe zwyczaje / 157

Omnibusowe osobliwości / 160

Opera włoska żegnana bez żalu / 162

Ożywczy wpływ jarmarku wełnianego na miasto / 164

Panie i służące / 168

Posiedzenie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych na tle innych / 171

Postne zabawy / 175

Powitanie wiosny / 177

Raj dla osobliwości / 179

Rauty jesienne z tartynkami / 181

Rewolucyjny projekt reformy literackiej / 183

Salon koncertowy – projekt na czasie / 186

Składki na pogorzelców / 188

Spław traktem krakowskim / 190

Sprawy Resursy Obywatelskiej / 193

Sprzeczne interesy właścicieli nieruchomości i Towarzystwa Kredytowego Miejskiego / 197

Straż pożarna oczkiem w głowie miasta / 201

Styl warszawski w budownictwie / 203

Sztuka żebractwa / 206

Sztywny gorset etykiety doskwierający latem / 209

Ślizgawka na Saskim Placu / 213

Teatrzyk ogródkowy na Pradze / 215

Telegrafiści nadzwyczaj uprzejmi / 219

Upadek maskarady / 221

Upał w mieście / 223

Urlopowany projekt Muzeum Przemysłu i Rolnictwa / 226

Urok Ogrodu Botanicznego / 229

Urzędnicy Lombardu wzorem dla innych / 231

W poszukiwaniu Ogrodu Zoologicznego / 233

Warszawiacy na wsi / 236

Wenecja północy / 239

Wianki - zamieranie obyczaju / 241

Wielkanoc na Placu Ujazdowskim / 244

Wiślane marzenia / 247

Wojna roznosicieli kurierów / 250

Wpływ tramwajów na rozbudowę miasta / 253

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu – z wyjątkiem warszawskich / 256

Wycieczki na Saską Kępę / 259

Wydatki karnawałowe / 261

Wyzwania letnich mieszkań / 265

Zapaleni myśliwi warszawscy / 270

Zmiana pojęć karnawałowych / 273

Źródlana woda do picia / 276

Żargon giełdowy / 278

Żywe obrazy na Przytulisko / 281

Wybrana literatura / 285

Wstęp

Henryk Sienkiewicz,
fot. Jan Mieczkowski, ok. 1870.
Ze zbiorów Działu Sztuki, Rzemiosł Artystycznych i Kartografii
Biblioteki Publicznej m.st. Warszawy

Pod względem liczby opublikowanych felietonów daleko Henrykowi Sienkiewiczowi do współczesnych mu tuzów tego gatunku – Bolesława Prusa, Aleksandra Świętochowskiego i Wiktora Gomulickiego. Dokonania autora Trylogii są na tym polu skromne: jeśli zliczyć typowe felietony (czyli pomijając *Wiadomości bieżące* i *Mieszaniny literacko-artystyczne*), będzie ich zaledwie ponad siedemdziesiąt. Gdyby jednak „Sienkiewicz pisał swoje felietony przez całe dziesięciolecia, jak Prus, to ich zbiór byłby znacznie bardziej atrakcyjny dla czytelnika niż *Kroniki* autora *Lalki* – co nie wynikałoby z różnicy poziomu felietonów najlepszych, lecz z nadmiaru publicystycznej dydaktyki u Prusa", skonstatuje Jan Józef Lipski w swojej antologii felietonistów warszawskich[1]. To prawda, nawet poważne kwestie przedstawiał Sienkiewicz w sposób lekki, interesujący i dowcipny, nie umniejszając jednocześnie ich wagi[2], a jego felietony jeszcze i dziś są zajmującą i nie trącącą myszką lekturą.

W czasach Sienkiewicza felieton był bardzo popularnym gatunkiem wypowiedzi dziennikarskiej. Każda licząca się gazeta i czasopismo miały swoich felietonistów, przykładowo: „Gazeta Polska" – Henryka Sienkiewicza, Władysława Bogusławskiego, Edwarda Leo; „Kurier Warszawski" – Bolesława Prusa, Tadeusza Czapelskiego; „Niwa" – Henryka Sienkiewicza, Władysława Olendzkiego, Mścisława Godlewskiego, Bolesława Prusa; „Kurier Codzienny", „Kolce" – Wiktora Gomulickiego; „Kłosy" – Edwarda Lubowskiego; „Echo" – Władysława Noskowskiego; „Przegląd Tygodniowy" – Adama Wiślickiego; „Prawda" – Aleksandra Świętochowskiego; „Gazeta Warszawska" – Józefa Kotarbińskiego.

Felieton zawdzięcza swoje powodzenie wśród czytelników temu, że jest to niezwykle pojemny „gatunek obejmujący różnego rodzaju prasowe utwory publicystyczne, reportażowe, eseistyczne, nawet beletrystyczne, przeważnie cykliczne, odznaczające się na ogół zwięzłością i popularną, przystępną formą, subiektywizmem ujęcia i nastawieniem na bezpośredni kontakt z czytelnikiem, lekkim, gawędziarskim, często żartobliwym stylem, elementami humoru, satyry, parodii

[1] J.J. Lipski, *Warszawscy „Pustelnicy" i „Bywalscy"*, t. 1, *Felietoniści i kronikarze 1818-1899*, Warszawa 1973, s. 166.

[2] H. Kurkowska, *Język publicystki Sienkiewicza* // w: taż, *Polszczyzna ludzi myślących*, wybór i oprac. H. Jadacka i A. Markowski, Warszawa 1991, s. 48.

Pomnik Henryka Sienkiewicza
w Łazienkach Królewskich w Warszawie,
dłuta Gustawa Zemły,
fot. Anna Babula, 2016

itp., występującymi w różnych układach, charakteryzowanych jako styl felietonowy”[3].

„Prawa (…) felietonisty – pisał Sienkiewicz w cyklu *Bez tytułu* – pozwalają mi przerzucać się z faktu na fakt, na podobieństwo ptaka przeskakującego z gałązki na gałązkę” (D XLVII 131).

> Tematyka [felietonów] była różnorodna: od ważnych wydarzeń społecznych czy kulturalnych do drobnych przejawów życia codziennego. Felieton towarzyszył bowiem życiu mieszkańców miasta, mówił o zdarzeniach i sprawach, którymi żyli na co dzień czytelnicy, o których rozmawiało się w domu, na ulicy, w kawiarni. Stąd z jednej strony opierał się na źródłach, którymi były np. informacje bieżącej prasy, z drugiej – wykorzystywał krążące „po mieście” wiadomości, pogłoski czy – ploteczki. Dobór tematyki zależał więc od indywidualnych zainteresowań autora, od wymagań redakcji, czyli pracodawcy oraz od oczekiwań czytelników. Redakcja, dbając o poziom i atrakcyjność publikacji, liczyła się jednak z gustami i wymaganiami odbiorców, oni bowiem gazetę kupowali i prenumerowali, od nich więc zależał byt i kondycja pisma. A czytelnicy oczekiwali od felietonistów przede wszystkim rozrywki lub komentowania faktów z życia bieżącego, które były przedmiotem powszechnego zainteresowania.[4]

Większość felietonów Sienkiewicza dotyczy współczesnej Warszawy. W całej twórczości noblisty próżno szukać utworu, w którym zajęła ona tak poczesne miejsce, jak w kronikach[5]. Co prawda ich autor urodził się na Podlasiu a zmarł w Szwajcarii, ale prawie całe swoje życie związany był właśnie z Warszawą[6]. Tu chodził do szkoły, studiował w Szkole Głównej, stawiał pierwsze kroki w dziennikarstwie, tu także napisał i wydrukował wiele swoich tekstów oraz prowadził działalność na polu społecznym i kulturalnym. Stąd wyjeżdżał, zdarzało się – na długo, ale zawsze wracał. Wyjechawszy, czasami tęsknił:

> (…) całą duszą wyrywałem się nieraz do Warszawy – zwierzał się czytelnikom „Gazety Polskiej” – między te stosunki literackie, walki prądów, myśli i osobistości nawet, słowem: w cały ów świat, gorączkowy trochę, ale żywy, żywotny, ateński i streszczający w sobie życie duchowe całego ogółu. Bywały chwile, w których myślałem, że mi to wszystko obrzydło, w których czułem się zmęczony i utęskniony za naturą, a oto jednak teraz znów dawny nałóg odzywał się z niepojętą siłą.
>
> Chciałbym nieraz zabrać głos w tej lub owej kwestii, rzucić swój grosz wdowi do tej lub owej skarbonki, skrzyżować szpady z tym lub owym przeciwnikiem, skrzesać ognia na rogach jakiegoś *pauvre diable boiteux*, poruszyć żółć temu lub owemu; szepnąć w ucho jakiemu śpiącemu komitetowi: „zbudź się i chodź do piekła!” Ot! tęsknię czasem do tej smutnej roli Chochlika-felietonisty, którą odgrywałem jakem umiał, przez parę lat, a którą tak się zmęczyłem, że ażem przyjechał tu odetchnąć – między kuguary, grzechotniki i niedźwiedzie[7].

Do tego wyznania skłoniła pisarza lektura prasy warszawskiej, którą otrzymywał w czasie podróży po Ameryce. Na łamach

№ 67. Warszawa, dnia 12 (24) Marca Poniedziałek. Rok 1873

GAZETA POLSKA.

Cena Gazety

DOPUSZCZONE WYPRÓWNAWCZE OBSERWATORYUM WARSZAWSKIEJ

JUTRO GAZETA NIE WYJDZIE.

BEZ TYTUŁU.

Pierwszy felieton H. Sienkiewicza, zamieszczony jak większość kronik w ówczesnej prasie „pod kreską”,
„Gazeta Polska” 1873 nr 67, s. 1
ebuw.uw.edu.pl

teżże prasy opublikowany został, kilka dni po śmierci Sienkiewicza, ostatni utwór autora Trylogii – *Wspomnienie*[8], w którym wracał pamięcią do początków swojego życia na

[3] J.J. Lipski, *Felieton* // w: *Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny*, Warszawa 1984, s. 255.

[4] S. Fita, *Warszawskie felietony Sienkiewicza* // w: H. Sienkiewicz, *Felietony warszawskie 1873–1882*, wybór i oprac. S. Fita, Warszawa 2002, s. 8.

[5] „Można więc chyba zaryzykować wniosek, że patrzył na to miasto, gdy musiał jako dziennikarz zdać sprawę z tego, co zaobserwował, nie patrzył, gdy jako powieściopisarz mógł już pójść za głosem upodobania” – zob. J. Kulczycka-Saloni, *Sienkiewicz a Warszawa* // w: *Sienkiewicz dzisiaj. Studia i szkice*, wyboru dokonał i oprac. T. Jodełka-Burzecki pod red. J.Z. Jakubowskiego, Warszawa 1968, s. 94.

[6] Zob. J.R. Kowalczyk, *Warszawskie adresy Henryka Sienkiewicza*, http://culture.pl/pl/artykul/warszawskie-adresy-henryka-sienkiewicza [dostęp: 16.11.2016].

[7] *Listy Litwosa z podróży*. VII. *Szkice amerykańskie*, „Gazeta Polska” 1876, nr 236, s. 2.

[8] „Tygodnik Ilustrowany” 1914 nr 48, s. 572.

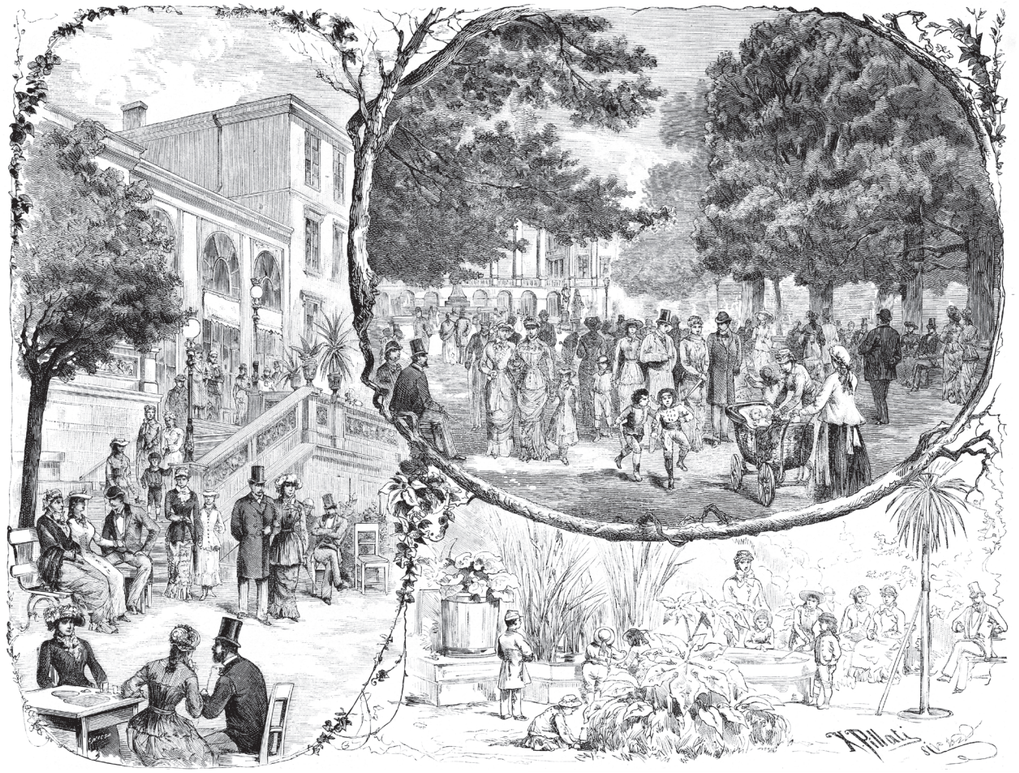

Salony letnie Warszawy. Dolina Szwajcarska (po lewej), Ogród Saski (u góry), Ogród Botaniczny,
rys. Ksawery Pillati, ryt. Edward Nicz,
„Kłosy" 1881 nr 845, s. 153

warszawskim bruku. Do miasta powrócił na stałe już w wolnej Polsce i spoczął w podziemiach katedry św. Jana. O wiele dłużej trwały starania o pomnik pisarza w stolicy, odsłonięty w Łazienkach Królewskich dopiero w 2000 roku.

Początki działalności dziennikarskiej Sienkiewicza nie zapowiadały jego przyszłych sukcesów w tej profesji. Co prawda zadebiutował udanie w 1869 roku na łamach „Przeglądu Tygodniowego" recenzją farsy *Nasi najserdeczniejsi* Sardou, napisaną w zastępstwie

Dworzec Drogi Żelaznej Warszawsko-Terespolskiej na Pradze,
rys. Ksawery Pillati,
„Tygodnik Ilustrowany" 1866 nr 371, s. 208

Józefa Kotarbińskiego, a dwie kolejne publikacje (studia literackie o Mikołaju Sępie Szarzyńskim i o Kasprze Miaskowskim) ukazały się na łamach popularnego „Tygodnika Ilustrowanego", ale już pierwsza stała współpraca z prasą warszawską, rozpoczęta w 1873 r., nieraz przyprawiała o ból głowy młodego adepta sztuki dziennikarskiej. W tym to roku został felietonistą zachowawczej „Gazety Polskiej" redagowanej przez Józefa Sikorskiego, znanego krytyka muzycznego i publicystę. Począwszy od 24 marca pisywał do gazety, na przemian z Władysławem Bogusławskim i Edwardem Leo, kroniki publikowane w cotygodniowym cyklu *Bez tytułu* (sygnowane H.S. lub H. S-cz.). Przyczyną

Kolej konna w Warszawie w przejeździe ulicą Marszałkowską przy rogu ulicy Świętokrzyskiej,
rys. Wojciech Gerson, ryt. Jan Styfi,
„Kłosy" 1867 nr 88, s. 116

złego samopoczucia Sienkiewicza stał się redaktor naczelny, tłumiący co bardziej poetyckie zapędy młodego dziennikarza i żądający od niego przede wszystkim suchych faktów.

Lat kilkanaście temu – wspominał autor książki *Towarzystwo warszawskie* – kiedy losami „Gazety Polskiej"·władał ówczesny jej redaktor, pan Sikorski, w gronie współpracowników był także młody chłopak, który świeżo ukończył wydział filologiczny w Szkole Głównej i debiutował w „Tygodniku Ilustrowanym" z rozprawą o Sępie Szarzyńskim.

Polecono mu w „Gazecie" pisywanie fejletonów tygodniowych. Młodzieniec zabrał się do tej pracy z zapałem, a ówczesne jego kroniki zwróciły od razu uwagę wszystkich na nowo objawiający się talent. Panu Sikorskiemu jednak bardzo się nie podobały owe fejletony, pełne młodzieńczej werwy, młodzieńczego zapału i poezji. Autorowi ich odmawiał zupełnie talentu, a co więcej, zarzucał mu niesumienność dlatego, że za wiele było w jego kronikach poezji, a za mało faktów.

– Ja chcę faktów! Proszę o fakta!... – powtarzał ustawicznie biednemu Litwosowi, kreśląc mu wszystko, co było tylko żywszym, oryginalniejszym i ponad szablon wyskakiwało. Z fejletonu leciały też co tydzień strzępki, a zostawał tylko suchy szkielet.

Taka była jednak potęga tego talentu, że i ten szkielet zdradzał jeszcze niepospolitą zdolność. Pewnego razu ktoś z współpracowników „Gazety" winszował Sikorskiemu felietonisty.

– Wielka sztuka – odpowiedział surowy Argus – patrz pan, ile tu musiałem wyrzucić i jakem się napracował!

I pokazywał rękopism cały pokreślony, a w nim powymazywane najpiękniejsze ustępy, istne perełki poezji. Chcąc też w y r o b i ć „niesumiennego młodzieńca", powierzał mu najsuchsze i najpospolitsze roboty reporterskie. Nic też dziwnego, że pod takim redaktorem biedny Litwos czuł się skrępowanym i tracił wszelką do pisania ochotę[9].

Straciwszy z końcem 1873 roku pracę w „Gazecie Polskiej" (ostatni, czternasty felieton ukazał się 15 grudnia), nie porzucił wszakże Sienkiewicz dziennikarstwa. W następnym roku związał się z „Niwą", umiarkowanie pozytywistycznym czasopismem, którego został współwłaścicielem wspólnie z Mścisławem Godlewskim i Julianem Ochorowiczem. Kierował tutaj działem literackim, pisał recenzje, a także, od czasu do czasu zastępując Bolesława Prusa ogłosił w latach 1874-1875 dziewięć felietonów w cyklu *Sprawy bieżące*, podpisanych: H.S., S., *, Al. ...., Al –, –Al–, –Al.–.

W tym czasie (1874) nastąpiła zmiana na stanowisku redaktora „Gazety Polskiej", co skłoniło Sienkiewicza do podjęcia na nowo współpracy z dziennikiem. Edward Leo, w przeciwieństwie do swego poprzednika, „w pełni docenił talent młodego współpracownika i stworzył mu możliwości rozwoju. Nie tylko nie przeszkadzał i nie narzucał własnych pomysłów, ale chętnie przyjmował różne projekty autora oraz zachęcał go do pracy coraz to nowymi propozycjami"[10]. Od 11 stycznia do 21 grudnia 1875 r. Sienkiewicz opublikował w „Gazecie" czterdzieści felietonów *Chwila obecna* (cztery ostatnie pod pseudonimem Litwos) ugruntowując swoją pozycję zdolnego i coraz chętniej czytanego publicysty. Wkrótce jego talent ujawnił się w pełni w *Listach Litwosa z podróży* do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej zamieszczanych na łamach „Gazety Polskiej" finansującej w zamian za korespondencje wyjazd pisarza za ocean.

Po powrocie z zagranicznych wojaży w 1879 r. Sienkiewicz nadal współpracował z prasą warszawską. Od listopada 1879 do listopada 1881 r. (z przerwami) prowadził w „Gazecie Polskiej" *Kronikę miejscową* (w *Dziełach* pt. *Wiadomości bieżące*,

[9] Baronowa X.Y.Z., *Towarzystwo warszawskie. Listy do przyjaciółki przez...*, Warszawa 1971, s. 361-362. Osobę Antoniego Zaleskiego, przyjętego w tym wydaniu jako autora listów, zakwestionowała D. Świerczyńska w artykule „*Towarzystwo Warszawskie". Baronowa X.Y.Z. i... inni*, „Pamiętnik Literacki" 1979, z. 3, s. 235-259.

[10] S. Fita, *Oblicze współczesności w felietonach Sienkiewicza* // w: *Henryk Sienkiewicz w kulturze polskiej*, red. K. Stępnik, T. Bujnicki, Lublin 2007, s. 300.

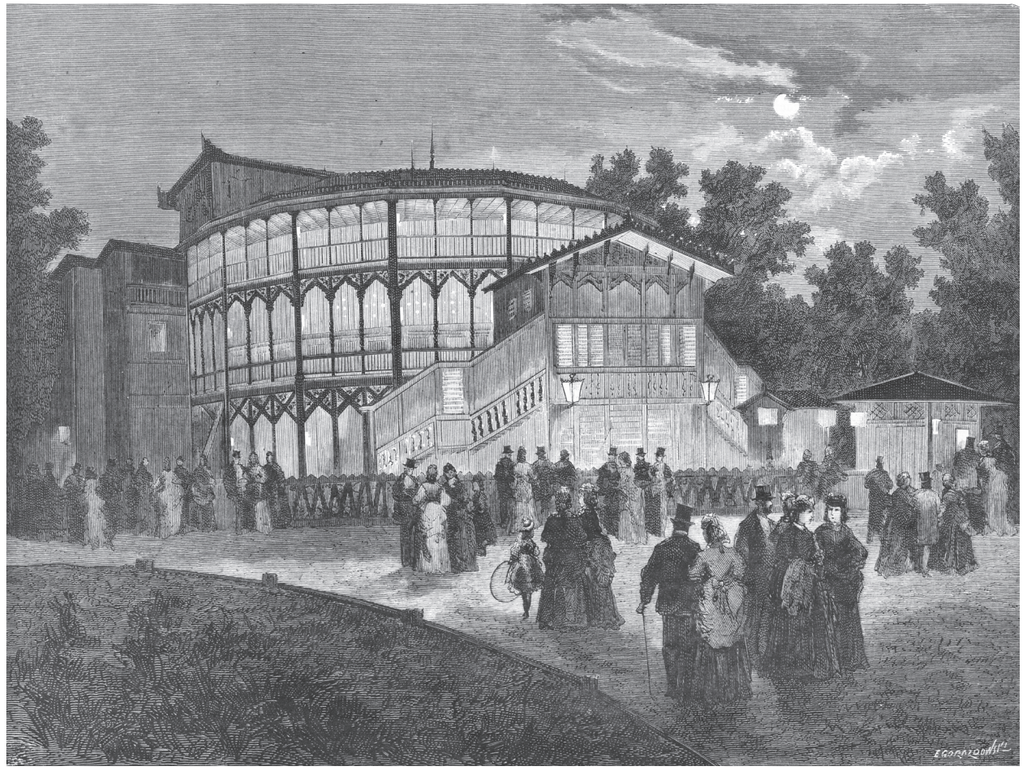

Teatr Letni w Ogrodzie Saskim w Warszawie, rys. Henryk Pillati, ryt. Edward Gorazdowski, „Tygodnik Ilustrowany" 1873 nr 292, s. 52

sygnowane znakiem paragrafu §, -§-, inicjałami H.S. lub pseudonimem Musagetes), a w „Niwie" od grudnia 1879 do grudnia 1881 r. zamieszczał *Mieszaniny literacko-artystyczne* (pod pseudonimem Litwos). Były to mniej lub bardziej rozbudowane notatki dotyczące życia współczesnego, głównie kulturalnego oraz recenzje literackie i teatralne („Gazeta Polska"), lub kroniki poświęcone wyłącznie wydarzeniom kulturalnym, w których opisy wydarzeń z reguły przyjmowały postać recenzji („Niwa"), niemające charakteru felietonów[11]. Do pisania tych ostatnich powrócił dopiero po objęciu redakcji „Słowa" (1882), nowego warszawskiego dziennika o charakterze konserwatywnym. Na łamach tego tytułu ukazało się dziesięć *Kronik tygodniowych* Litwosa (w tym jedna pt. *Kronika warszawska*) publikowanych od 2 stycznia do 23 marca 1882 roku. W pierwszym roku ukazywania się gazety poświęcał jej wiele czasu, pisząc też artykuły wstępne, recenzje, publikując opowiadania i kontynuując w lutym i marcu *Mieszaniny artystyczne i literackie*. Początkowy zapał do pracy dziennikarskiej jednak szybko minął i chociaż Sienkiewicz pozostał na stanowisku naczelnego „Słowa", zaprzestał działalności publicystycznej. Wkrótce pisarza pochłonęła całkowicie praca nad Trylogią, która miała „powodzenie, jakiego w naszych czasach nikt nie widział" i zapewniła mu nieprzemijającą sławę.

Inaczej sprawa wyglądała z felietonami. Na światło dzienne te „zapomniane kartki z teki Litwosa" wydobył na początku XX wieku Ferdynand Hoesick, który uważał, że kryje się w nich

> niemało brylantów najczystszej wody, które aż po dziś dzień nic nie straciły ze swego blasku i ognia, które zasługują na to, by je wydobyć, oprawić i tym samym od zapomnienia uchronić. Sienkiewicz bowiem, choć zaprzężony do dziennikarskiego jarzma, nawet wtedy, gdy pisał o złych brukach warszawskich lub o narowach naszego Towarzystwa Gazowego, ani na chwilę nie przestawał być artystą i poetą, talentem literackim pierwszorzędnym, którego paleta mieniła się najświetniejszymi farbami, w którego duszy grała poezja, którego umysł tryskał humorem, skrzył się dowcipem, a na każde zawołanie miał niewyczerpany zapas soli attyckiej, której, nawiasem mówiąc, nigdy nie żałował"[12].

Wkrótce też felietony doczekały się przedruku w *Pismach* wydawanych nakładem „Tygodnika Ilustrowanego" (1899-1906), a następnie w *Pismach* „w układzie Ignacego Chrzanowskiego" opublikowanych nakładem Ossolineum (1928-1939). W powojennym wydaniu zbiorowym *Dzieł* pisarza pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego kroniki zamieszczono w tomach 47-49 i 53 (Warszawa 1950, 1952). Teksty oparto tutaj na wydaniu przedwojennym z uwzględnieniem pierwodruku i podobnie jak w poprzednich edycjach podano bez komentarzy.

> Twórczość publicystyczna Henryka Sienkiewicza nadal konkuruje o względy badaczy z twórczością artystyczną. Mniejsze zainteresowanie publicystyką noblisty aż tak bardzo nie dziwi, zwłaszcza gdy uwzględni się dorobek pisarza w obu tych dziedzinach – jego rangę i skalę, oraz rozpoznawalność wśród czytelników. Trylogia, *Qvo vadis*, *Krzyżacy*, *W pustyni i w puszczy* – by wymienić tylko te najbardziej znane powieści – usunęły z pamięci czytelników cykle felietonowe, reportaże czy pisane z pasją i znawstwem recenzje. Nie bez znaczenia jest fakt, że dorobek dziennikarski wciąż czeka na krytyczną edycję, bo ostatnie pełne wydanie tekstów publicystycznych Litwosa pochodzi z połowy ubiegłego wieku[13].

[11] M. Pietrzak, *Między felietonem a recenzją - o przynależności gatunkowej Mieszanin literacko-artystycznych Henryka Sienkiewicza* // w: *Cum reverentia, gratia, amicitia... Księga jubileuszowa dedykowana Profesorowi Bogdanowi Walczakowi*, pod red. J. Migdał i A. Piotrowskiej-Wojaczyk, t. 2, Poznań 2013, s. 605-613.

[12] F. Hoesick, *Sienkiewicz jako felietonista. Zapomniane kartki z teki Litwosa (1873-1883)*, Warszawa 1902, s. III-IV.

[13] M. Pietrzak, *Warsztat dziennikarski Henryka Sienkiewicza – prolegomena*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Linguistica" nr 50 (2016), s. 143.

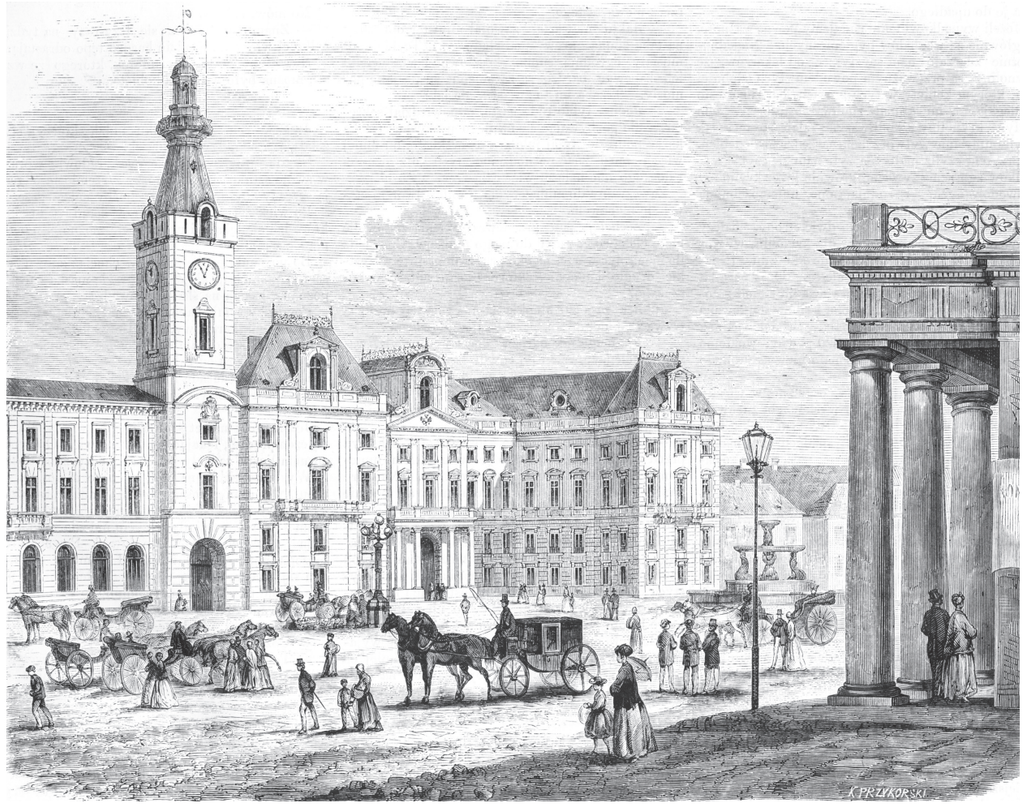

Ratusz w Warszawie,
rys. Bronisław Podbielski, ryt. Konstanty Przykorski,
„Tygodnik Ilustrowany" 1870 nr 108, s. 37

Mimo niewielkiego dorobku Sienkiewicza felietonisty, jest on według Jana Józefa Lipskiego, „klasykiem i mistrzem" gatunku. „Uprawiał tę odmianę felietonu, której nadano nazwę kroniki, a której najznakomitszymi przedstawicielami byli: w Warszawie Bolesław Prus, we Lwowie Jan Lam, autor *Kronik lwowskich*"[14]. Tematyka kronik, jak już wspomniano, była różnorodna. „Felietony, jak ci wiadomo, czytelniku – zwracał się Litwos do swoich odbiorców pisząc o warsztacie felietonisty – są odbiciem faktów z życia miejskiego", z których każdego tygodnia „układa się mniej więcej wdzięczną mozaikę", co jest łatwe zimą, natomiast latem wobec mizerii tych faktów „felietoniści są istotami prawdziwie godnymi pożałowania" (D XLVII 92). O talencie felietonisty świadczyło umiejętne przeskakiwanie z tematu na temat. Jak sam autor przyznawał, to życie miasta było głównym bohaterem jego kronik i chociaż w innym miejscu pisał: „Jakie to szczęście, że *Chwila obecna* nie jest kroniką ściśle warszawską, pozwala mi to bowiem robić częste wycieczki na grunt prowincjonalny", to szybko z tych wypadów powracał ponownie „na grunt warszawski" (D XLIX 39).

W Sienkiewiczowskiej „mozaice" przeważają tematy dotyczące życia kulturalnego i obyczajowego Warszawy. Felietonista pisał o rozkwicie i roli prasy oraz zaglądał na jej łamy. Powiadamiał o nowych wydawnictwach, o „odczytach minionych męskich i przyszłych kobiecych" (D XLVII 64-65), o konkursach literackich. Oprowadzał po wystawach malarstwa i rzeźby, interesował się sprawą dubletów w Bibliotece Uniwersyteckiej i czytelnią dla kobiet na Nowym Świecie. Donosił o mającej powstać na rogu ulicy Hożej i Mokotowskiej sali koncertowej, której brak dotkliwie odczuwano, oraz informował o działalności Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych i Towarzystwa Muzycznego.

Dużo miejsca poświęcał, jako ich stały bywalec, teatrom: pisał o występach i benefisach znanych artystów, jak Helena Modrzejewska, Sarah Bernhardt, Maria Deryng, Jan Królikowski, o operze i operetce, o spektaklach amatorskich organizowanych na cele charytatywne i o domorosłych artystach. Latem bywał w Teatrze Letnim i zaglądał do teatrzyków ogródkowych, wypowiadając się krytycznie o ich repertuarze. Uczestniczył w koncertach przyjezdnych muzyków, zwracając uwagę na niewłaściwe warunki, w jakich się odbywały. Nieobca była pisarzowi również tzw. kultura popularna. Z dezaprobatą wyrażał się o rozrywkach dostarczanych przez „słynnego magika i czarodzieja indyjskiego profesora Buchwaldego" (D XLVIII 153), Cyrk Salamońskiego czy „muzeum" Gassnera.

Felietony Litwosa są nieocenionym źródłem informacji o życiu obyczajowym miasta. Publicysta informował o balach karnawałowych, maskaradach i zmianach zachodzących w tradycyjnym pojmowaniu karnawału, polegających na tym, aby „nie tańczyć, ale jeść!" (D XLVIII 23). Obserwował zabawy wielkanocne na placu Ujazdowskim, dostrzegając ich charakter „czysto kosmopolityczny" (D XLVII 31), oglądał z wieży kościoła św. Krzyża procesję Bożego Ciała oraz zauważał nadzwyczajne ożywienie miasta w czasie trwania jarmarku wełnianego. Relacjonował wyścigi konne jako „jarmark próżności ludzkiej" (D XLVIII 195) i odnotowywał „zamieranie obyczaju" (D XLIX 9) puszczania wianków świętojańskich na Wiśle. Zaglądał do Ogrodu Botanicznego, prowadził czytelników

[14] S. Fita, *Oblicze współczesności w felietonach Sienkiewicza*, jw., s. 300.

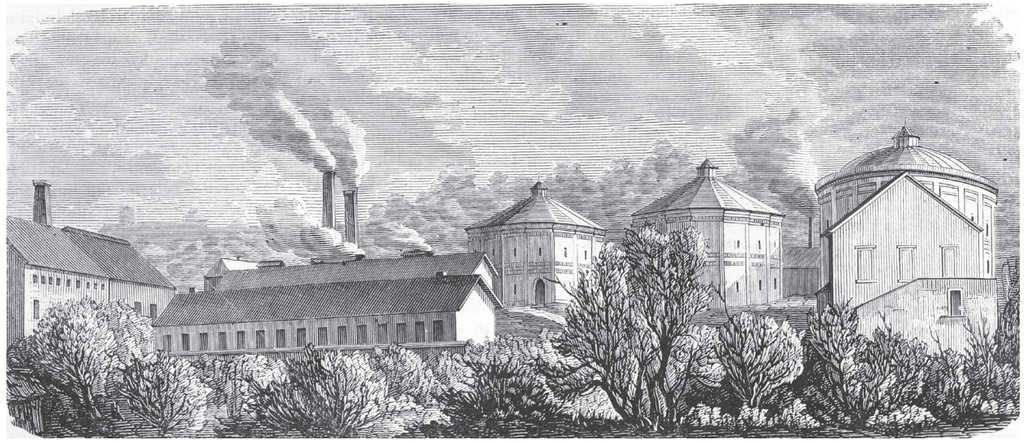

Widok zewnętrzny fabryki gazu na Solcu w Warszawie,
„Tygodnik Ilustrowany" 1871 nr 176, s. 229

alejami Ogrodu Saskiego, zdając relację z odbywających się tam loterii fantowych niszczących „letni salon Warszawy". Uświadamiał, z jakimi wyrzeczeniami dla ojca rodziny łączą się majówki i letnie mieszkania, krytykował ogony damskich sukien wzniecające tumany kurzu oraz „barbarzyńskie" zwyczaje teatralne: „wychodzenia z teatru przed końcem sztuki, a wchodzenia po jej zaczęciu" (D XLVII 130).

Ale nie tylko życie kulturalne i obyczajowe Warszawy wypełniało Sienkiewiczowskie felietony. Litwos poruszał też kwestie istotne dla funkcjonowania miasta: brak kanalizacji, sprawiający, że było ono „jednym z najniezdrowszych miast w świecie" (D XLVII 189), fatalny stan wodociągów, wynikiem czego, „kiedy w Wiśle wody mało, w wodociągach nie ma ani wody, ani ciągnienia; kiedy zaś Wisła duża, wodociągi się zatykają (...) i pijemy żur, nie wodę, który sprowadza rozmaitego rodzaju choroby" (D XLVIII 107). Podobnie źle oceniał stan nawierzchni ulic i chodników oraz oświetlenie miasta: „Gdyby na złe bruki i latarnie naznaczono konkurs, dostalibyśmy pierwszą nagrodę niezawodnie" (D XLVIII 127). Krytykował organizację ruchu ulicznego: „Jest to jedna z oryginalności warszawskich, że ulice, którymi największy ruch się odbywa, należą do najciaśniejszych" (D XLVIII 25). Narzekał na komunikację miejską. Zastanawiał się, czy jakaś stolica europejska posiada tak brudne omnibusy i takie zaprzęgnięte do nich konie „podobniejsze do widm lub szkieletów"

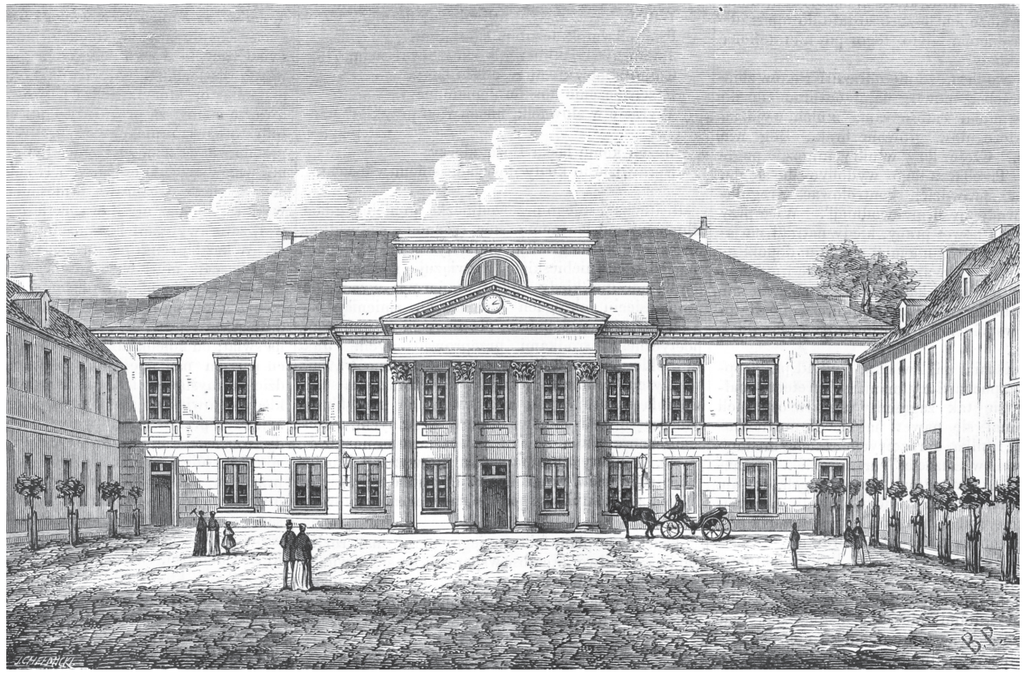

Pałac Resursy Kupieckiej w Warszawie,
rys. Bronisław Podbielski, ryt. Ignacy Chełmicki,
„Tygodnik Ilustrowany" 1870 nr 151, s. 245.

(D XLVIII 50) oraz proponował zakład każdemu, „że ile razy będzie miał ochotę zastać omnibus na stacji, tyle razy go nie zastanie" (D XLVIII 78), a „prawdziwą szkołą gimnastyki" (D XLVII 115) dla mieszkańców nazwał jazdę dorożkarzy. Wobec planów wyposażenia Warszawy w tramwaje rozważał, jak fakt ten wpłynie „na rozrost miasta" (D XLVII 228).

Pisał też o działalności instytucji dobroczynnych, zwłaszcza zaś o Przytulisku, o którym „można w sensie przysłowia mówić, że gdzie żadna instytucja nie może, tam Przytulisko posłać" (D XLVII 14) i o Biurze Informacyjnym o Nędzy Wyjątkowej, „które bezpośrednio i natychmiastowo ulgę nędzy, choć chwilowo przynosi" (D XLVIII 44). Wielokrotnie napomykał o żebractwie, będącym plagą

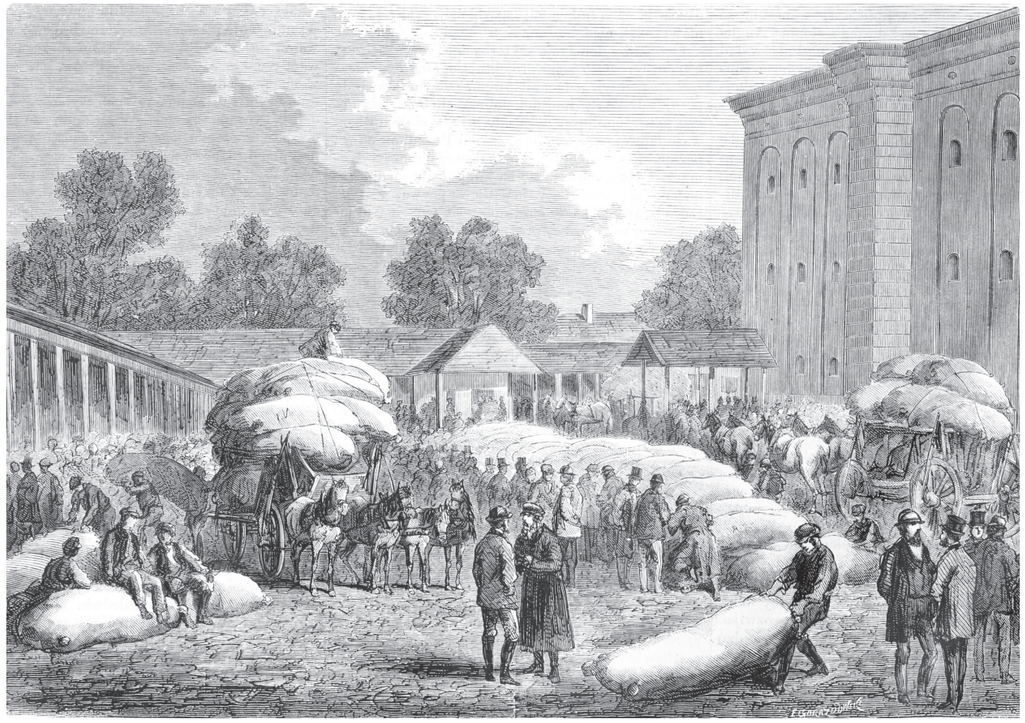

Targ na wełnę w Warszawie,
rys. Henryk Pillati, ryt. Edward Gorazdowski,
„Tygodnik Ilustrowany" 1870 nr 130, s. 312

warszawskich ulic, i jego przyczynach, o podwyżkach komornego wprowadzanych przez właścicieli domów, o katastrofach w budownictwie będących konsekwencją „gorączkowej chęci zrobienia pieniędzy jakimi bądź środkami" (D XLVIII 119) i o pożarach, które „przy takich strażach, jakie mamy (...), nie mogą przybrać zatrważających rozmiarów" (D XLVII 233).

W szkolnictwie, wychodząc z założenia, że „winniśmy wyrabiać w sobie przede wszystkim praktyczność" (D. XLVII 11-12), popierał „zwrot ku przedmiotom realnym na pensjach żeńskich" (D XLVII 163) oraz powstanie szkoły handlowej Leopolda Kronenberga, „bo szkoła taka niezawodnie nie tylko przyczyni się do rozwoju handlu w ogólności" (D XLVII 222). Stałe miejsce w felietonach zajmują obie resursy, Obywatelska i Kupiecka, oraz kulejąca działalność różnego rodzaju stowarzyszeń, w założeniu pożytecznych. Apelował o społeczne poparcie dla cennych inicjatyw, takich jak Kasa Pomocy dla Osób Pracujących na Polu Naukowym im. dr. J. Mianowskiego czy założenie ogrodu zoologicznego w Parku Aleksandryjskim, ubolewając przy tym, że tyle dobrych projektów nie zostało zrealizowanych: „Dobro publiczne! Ależ kogo się spytać, to je kocha. – I cóżeś dla niego uczynił? – No! nic, ale kocham, i to właśnie jest miłość bezinteresowna, czysto platoniczna. Nie zrobiłem nic, ale mam pewien projekt" (D XLVII 197).

Z kronik czerpiemy też wiedzę o języku ówczesnej Warszawy. I tak dowiadujemy się, że na wyścigach „robiono kurę damom siedzącym w powozach" (D XLVII 79), a panny wiejskie określano pogardliwie jako „dość pojedyncze" (D XLVII 90). Poznajemy powiedzonka ludności nadwiślańskiej: „On ci przyszedł do mnie; żebym ci mu dał dulca", „Jak Panu Bogu dobrze życzę" (D XLVII 49), oraz żargon giełdowy: „Wartości pruskie mają słabą fizjonomię", „Pszenica spokojna; owies spokojny; jęczmień słaby" (D XLIX 133-134). Na koniec dowiadujemy się, że żydowski właściciel furmanki przewiezie nas „z Nalewki na Grzybowe za dziesięć groszy od osobe"[15] (D XLVII 234).

Czasem waga opisywanych wydarzeń skłaniała Sienkiewicza do poświęcenia im w całości odcinka felietonu. Jednym z takich tekstów był reportaż *Zgliszcza i pustka* (D XLIX 53-65), rezultat wyprawy pisarza w lipcu 1875 roku do strawionego pożarem Pułtuska, innym mocna reakcja na pogrom antyżydowski mający miejsce w Warszawie 25-27 grudnia 1881 roku: „Ze wszystkiego wnosić można – pisał z nadzieją – że niepokoje nie powtórzą się więcej. Ci, którzy je wzniecali z umysłu, policzyli się, że ich zbyt mało, aby mogli zginąć w tłumie – ci, którzy brali w nich udział z chwilowego popędu, przez zemstę lub ciemnotę... ochłonęli. Ogólny głos potępienia zrobił swoje" (D LIII 5-6).

Warszawa w Sienkiewiczowskich felietonach zmienia się w zależności od pór roku, mających istotny wpływ na wygląd i życie miasta oraz jego mieszkańców. I tak zima to czas karnawału, wabiącego „liczne zastępy pielgrzymów, które z rozmaitych stron przybyły tutaj dla poznania zimowych rozkoszy nadwiślańskiej Kapui" (D XLVIII 38), takich jak bale, maskarady czy rauty, mające jednak swoją ujemną stronę – konieczne wydatki. Wtedy też „poruszają się żywiej wszystkie instytucje dobroczynne, organizują się odczyty, bale, koncerta, a drzemiące po trochu latem miłosierdzie publiczne wraz z pierwszymi przymrozkami budzi się z uśpienia i wytańcowawszy się na balach albo nasyciwszy koncertową muzyką, śpieszy odegrzać i odchuchać skostniałą tymczasem nędzę" (D XLVII 122).

Okres Wielkiego Postu przynosi „odczyty, których się nie słucha, rauty, na których

[15] H. Kurkowska, jw., s. 56.

Aleja Ujazdowska. Powrót z wyścigów konnych, rys. Juliusz Kossak, ryt. Józef Holewiński, „Kłosy" 1870 nr 259, s. 369

się ziewa, i koncerta, na które się nie chodzi" (D XLVII 13) oraz niecierpliwe oczekiwanie warszawiaków na jego zakończenie. Wielki Tydzień to narzekania na drożyznę i ciągłe sięganie do kieszeni. Święta Wielkanocne są zarazem uroczystością ludową: „W poniedziałek zwłaszcza, po mszy i po święconym, tłumy mężczyzn, kobiet i dzieci śpieszą na plac Ujazdowski, gdzie corocznie czekają na nie budy teatralne, huśtawki, karuzele, młyny diabelskie oraz ów historyczny wygładzony i wymydlony słup, na którym najszczęśliwszy czy najzręczniejszy zwycięzca znajduje ubranie, zegarek, kilka rubli, a na koniec butelkę wina dla pokrzepienia sił zwątlałych" (D XLVII 30).

Jednym ze zwiastunów zbliżającej się wiosny jest wyjazd, żegnanej bez żalu opery włoskiej, i przyjazd „rozmaitego ptactwa zagranicznego" (D XLVII 45), w tym wszelkiego rodzaju osobliwości, dla których Warszawa jest rajem: „Kto tylko ma zbyt krótkie nogi, zbyt wielką głowę albo cokolwiek na wielki żołądek, może śmiało przyjeżdżać do nas, a niezawodnie po jakim miesiącu pobytu zarobi wcale sporo grosiwa" (D XLVII 45-46). Miasto robi wiosenną toaletę: „Tu i owdzie malują się i odnawiają domy, tam przebrukowują się ulice; wyrównywają się pozostałe po zimie doły; tu i owdzie kładą nawet asfalt; słowem, wszędzie znać ruch, ożywienie i ów wiosenny przygotowawczy nieład" (D XLVIII 126). Ulice roją się od spacerujących, pełno ich zarówno w Ogrodzie Saskim jak i w Alejach Belwederskich. Właściciele domów podnoszą komorne, zwykle jednak nie na długo. Wkrótce wrócą do siebie na wieś zamożniejsze rodziny spędzające w Warszawie zimę, pozostawiając puste mieszkania i niwecząc nadzieję kamieniczników na łatwy zarobek. Z nastaniem wiosny wyruszą też mieszkańcy na majówki, spędzając je całymi rodzinami na Saskiej Kępie czy Bielanach.

W czerwcu zwykle przypada uroczystość Bożego Ciała, gromadząca „wedle starego zwyczaju ogromne tłumy pobożnych. Wśród pieśni kościelnych i odgłosu dzwonów fale ludu przelewają się z ulicy na ulicę, od jednego ołtarza do drugiego. Miasto, a raczej główne ulice przedstawiają wówczas prawdziwie wspaniały widok" (D XLVII 76). Wkrótce po uroczystościach kościelnych „zjazd wieśniaków (...) daje się czuć w Warszawie. Hotele pełne, po restauracjach pełno, ruch po sklepach zwiększa się, ogródki przepełnione. Miasto ożywia się i gotując coraz nowe zabawy, radośnie oczekuje pieniężnego żniwa, jakie mu jarmark wełniany zawsze przynosi" (D XLVIII 195). Ledwie przebrzmi gwar świętojańskiego, a już inny jarmark, „warszawsko-angielskiego szyku" (D XLVIII 195), czyli wyścigi, za pasem. „Między tutejszokrajowymi lordami ruch tedy ogromny. (...) Trenują się panowie, trenują dżokeje, trenują konie" (D XLVIII 186). Za każdym razem można powiedzieć, że „wyścigi (...) odbyły się w całym wymaganym porządku. Emablowano damy w powozach, ważono dżokejów, ważono konie, zakładano się, wygrywano i przegrywano, rozmawiano we wszystkich językach europejskich z wyjątkiem polskiego" (D XLVIII 196). Ostatnią atrakcją czerwca są wianki. „Zwyczaj był kiedyś piękny i poetyczny, dziś jest to blade odbicie. (...) Ludzie ciskają kilka niby wieńców na wodę, rozchodzą się nie rozumiejąc, co robili, dlaczego i na jaką pamiątkę to robili – i na koniec idą pokrzepić się w pobliskich restauracjach, co

jak się zdaje, dziś stanowi właściwy cel zabawy" (D XLIX 13).

Nadchodzi sezon ogórkowy, „sezon upałów, kurzu, ogólnego omdlenia, ogólnego próżniactwa i senności" (D XLVIII 177). Miasto pustoszeje, bogatsi wyjeżdżają za granicę, mniej zamożni na letnie mieszkania. Kto jednak szuka rozrywki, na pewno nie będzie się nudzić w Warszawie. Bo chociaż „życie, towarzystwo salonowe drzemie snem nie przebudzonym aż do późnej jesieni", to „pozadomowe życie wre, kipi i pryska ogromnym ruchem" (D XLVII 88). Na ulicach wieczorem widać „tłumy ludzi płynące w różne strony" (D XLVII 88), aleje Ogrodu Saskiego wypełniają się spacerującymi. Codziennie nowe afisze rozlepione na ulicach „zaprasza[ją] zmęczoną całodziennym upałem publiczność, aby wieczorem śpieszyła do ogrodów i ogródków, gdzie uszy jej paść będą muzyką i śpiewem, oczy przedstawieniami teatralnymi, wdziękami artystek rozmaitych trup aktorskich, słowem, tym wszystkim, co w mniej więcej rozkoszny lub szalony sposób pomaga do zabicia czasu od godziny ósmej wieczorem do dwunastej w nocy, o której to godzinie każdy dobry i stateczny obywatel wraca do domu z rozpiętą dla chłodu kamizelką i kapeluszem w ręku, ocierając przy tym spocone czoło chustką. Krótko mówiąc, jest to karnawał pod gołym niebem" (D XLVIII 177), ale i on ma kiedyś swój kres.

Z końcem lata wracają do Warszawy ci, którzy wyjechali. Miasto się zaludnia i powoli ożywia. „Chwile teatrów ogródkowych już policzone" (D XLIX 94) z kolei teatr rządowy „daje już oznaki przebudzenia" (D XLIX 93). Lada moment „skończy się sezon ogórkowy i zakipi na nowo życie – to życie pełne ruchu, wesołości i ważnych zdarzeń" (D XLIX 93), takich jak chociażby rauty jesienne. Będzie można „znowu bywać, bawić się, obmawiać się w sposób nie szkodzący bliźniemu, a dobry do zabicia czasu; rozprawiać o najnowszych miejscowych wiadomostkach" (D XLVII 104). A wszystko to w oczekiwaniu najważniejszego sezonu – zimowego.

Kim był czytelnik felietonów Litwosa? Sądząc po tym, jak wiele w nich zwrotów i wyrazów obcojęzycznych, głównie francuskich i łacińskich, cytatów z literatury pięknej, odwołań do literatury, historii, mitologii czy współczesnych wydarzeń, powinien być człowiekiem wykształconym. Poznajemy go poprzez nakreślone w felietonach portrety domniemanych odbiorców, a ci rekrutują się

> z kręgu arystokratyczno-ziemiańskiego i bogatej burżuazji. Powoduje to znaczne ograniczenia w sferze tematyki, stylu i kompozycji tekstów. Przedmiotem relacji staje się tylko pewna warstwa zdarzeń z życia miasta. Kronikarz odwołuje się najczęściej do modelu felietonu francuskiego, znanego temu środowisku czytelniczemu. Kronika wspomnianego typu miała być, na tle pozostałych tekstów wypełniających szpalty pisma, swobodną relacją o tych wydarzeniach, które mogły zainteresować czytelników, popisem umiejętności stylistycznych i kompozycyjnych autora. Obowiązywała w niej konwencja familiarnej pogawędki. Przebieg regularnych spotkań kronikarza z czytelnikami regulowany był takimi samymi przepisami zwyczajowymi, jakie obowiązywały w kontaktach towarzyskich, przebiegających w płaszczyźnie życia realnego[16].

[16] B. Bobrowska, *Bolesław Prus - mistrz pozytywistycznej kroniki*, Białystok 1999, s. 128–129.

Pisarz przekazuje głównie to „o czym się mówi w towarzystwie". W przeciwieństwie do innych współczesnych felietonistów[17] daje pierwszeństwo relacjom ustnym czy nawet plotkom. „W ten sposób staje się bardziej jednym z członków społeczności, do której przemawia, niż człowiekiem prasy[18]. Nie moralizuje i nie poucza czytelników, stara się pozostać w konwencji gatunku: „ale po cóż ja wpadam w ten kaznodziejsko-ekonomiczny styl? To rzecz już nie moja, to rzecz artykułów wstępnych" (D XLVIII 111). Relacjonując fakty z życia miasta, rzadko opuszcza śródmieście, czyniąc czasami wyjątek dla Pragi gdzie odwiedza Antokol, nowo otwarty teatrzyk ogródkowy, czy obserwuje zabawę kwiatową w Parku Aleksandryjskim, z której dochód był przeznaczony na szpital praski.

W „pogawędkach" Litwosa z czytelnikiem nie brakuje humoru, ale w przeciwieństwie do spotykanego w felietonach Prusa, „jest to «humor salonowy», dbający o poziom i elegancję wypowiedzi, unikający dosadności i innych przejawów wesołości plebejskiej"[19]. Satyra to również nieodłączny element Sienkiewiczowskich kronik, a jej obiektem jest głównie „wysokie mieszczaństwo co udaje arystokrację" (D XLVII 231) uosabiane w rodzinie Dziurdziulewiczów, której

[17] Porównanie kronik Sienkiewicza i Prusa zob. tamże, s. 120–135.

[18] B. Bobrowska, *Twarze i maski. Kreacje autora i czytelnika wewnętrznego w kronikach Sienkiewicza, Prusa, Konopnickiej i Świętochowskiego* // w: *Miasto słów. Studia z historii literatury i kultury drugiej połowy XIX wieku*, pod red. E. Paczoskiej, Białystok 1990, s. 60.

[19] S. Fita, *Warszawskie felietony Sienkiewicza*, jw., s. 12.

Ulica Źródłowa w Warszawie,
rys. Edward Leski,
„Tygodnik Ilustrowany" 1867 nr 431, s. 304

członkowie „o mały włos nie są spokrewnieni z najznakomitszymi rodzinami kraju" i „jak wiele innych, równie świeżo wyprezesowanych, wydyrektorowanych i w ogóle wyobywatelowanych rodzin (...), reprezentowanie dobrego tonu uważają za swe dziejowe posłannictwo" (D XLVIII 62–63). Dostaje się czasem i arystokracji, reprezentowanej w felietonach przez stałe postacie, takie jak hrabina Bezikiewiczowa, *chevalier* Zielonogłowski czy *l'abbé* Wylizalski, ale głównie tym jej przedstawicielom, którzy pozują na cudzoziemców. Jednocześnie „Sienkiewicz każe wierzyć, że

autentyczna rodowa arystokracja, pod maską konwenansu ukrywa odziedziczone po przodkach nieskazitelne poczucie honoru”[20].

> Przywiązanie do miasta – ogniska kultury i cywilizacji, a jednocześnie zmęczenie szarzyzną współczesnej zabudowy, kurzem i hałasem, ruchem i tłumem przewalającym się ulicami, w którym jednostka staje się często zawadą, krytyka płyciny gustów mieszczańskich i nijakości codziennych obyczajów, to dwa oblicza Sienkiewicza wobec ówczesnej Warszawy, głównego „bohatera” jego felietonów. Troska o los najuboższych i najbardziej pokrzywdzonych oraz niechęć do plebejskiej obyczajowości i „kultury” życia codziennego to inne jeszcze cechy postawy Sienkiewicza wobec współczesnego społeczeństwa. A w tym wszystkim widoczna jest potrzeba oderwania się od pospolitości oraz poszukiwanie spokoju, harmonii i piękna[21].

Odnajdywał je w samej Warszawie, obserwując chociażby „widoki, jakie przedstawia Wisła, gdy z fal wstaną mgły, a w mgłach i falach łamie się białe światło księżycowe”, a wtedy „Ciemne kontury drzew Saskiej Kępy topnieją coraz bardziej w wilgotnych oparach, rozpływają się i w końcu nikną zupełnie; od fal bije wielka świeżość i rzeźwy chłód, po obu brzegach, od strony Warszawy i Pragi, błyszczą w wodzie kolumny świateł, które z północy i południa zamyka mgła, niby zasłona pokrywająca bezbrzeżne jakieś przestrzenie, rzekłbyś – morza, rzekłbyś – samą nieskończoność” (D XLVII 83).

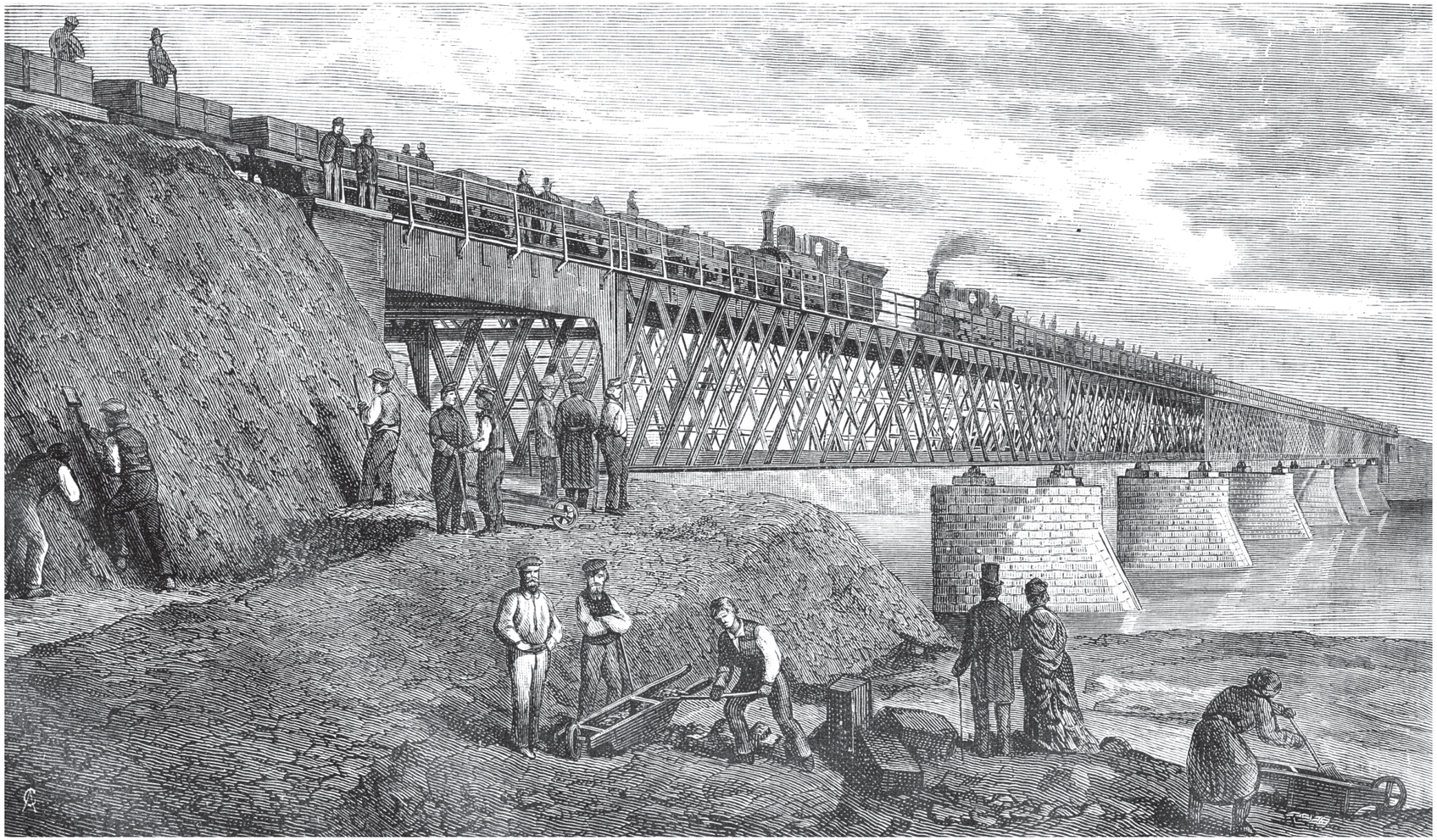

Nowy most żelazny na Wiśle [koło Cytadeli], rys. Ludomir Dymitrowicz, ryt. A.C., „Tygodnik Ilustrowany” 1875 nr 414, s. 353

[20] B. Bobrowska, *Twarze i maski*, jw., s. 62.

[21] S. Fita, *Oblicze współczesności w felietonach Sienkiewicza*, jw., s. 305.

Felietony w „Słowie” (1882) dzieli od pozostałych znaczny przedział czasowy, dlatego zdecydowano, że przedmiotem niniejszej prezentacji będą kroniki opublikowane w latach 1873-1875 w „Gazecie Polskiej” i „Niwie”. I nie chodzi o to, że felietony z 1882 r. opisują zupełnie inną warszawską rzeczywistość – w ciągu tych kilku lat miasto niewiele się zmieniło. Za to zmienił się autor: *Kroniki tygodniowe* pisane są bardziej dojrzałym stylem, ale jednocześnie brak w nich tego młodzieńczego zapału i humoru, w które obfitowały wcześniejsze. A właśnie owo humorystyczne spojrzenie Litwosa na Warszawę chcemy tutaj uwypuklić. Pod tym kątem wybrano z mozaiki felietonowej fragmenty starając się przy tym, aby ich tematy były reprezentatywne dla zainteresowań Sienkiewicza felietonisty i ukazywały (w miarę możliwości) różnorodne życie Warszawy. Teksty, podobnie jak we wstępie, zaczerpnięto z wydania zbiorowego *Dzieł* pisarza pod red. Juliana Krzyżanowskiego[22].

Fragmenty podano w układzie alfabetycznym tytułów określających ich zawartość. Tylko w niektórych przypadkach zachowano oryginalne Sienkiewiczowskie podtytuły zawarte w nagłówkach[23] do kronik, większość otrzymała nowe. Teksty opatrzono przypisami mającymi ułatwić czytelnikowi ich odbiór oraz zilustrowano grafiką wybraną z XIX-wiecznych warszawskich czasopism satyrycznych i tygodników ilustrowanych: „Mucha”, „Kolce”, „Kurier Świąteczny”, „Tygodnik Ilustrowany”, „Kłosy”, „Biesiada Literacka”.

Dołączony wybór literatury ma zachęcić do poszerzenia wiedzy dotyczącej twórczości publicystycznej Sienkiewicza oraz historii Warszawy drugiej połowy XIX wieku.

Przewodnik kierujemy nie tylko do miłośników twórczości pisarza, varsavianistów, historyków czy polonistów. Z całym przekonaniem polecamy ją zwłaszcza ludziom młodym, których znajomość twórczości noblisty ogranicza się zwykle do Trylogii oraz kilku nowel. Dla wielu może to być niezwykle interesująca niespodzianka.

[22] Odsyłając zarówno do *Dzieł*, jak i pierwodruków (D – *Dzieła*, liczba rzymska oznacza tom, arabska – stronę; GP – „Gazeta Polska”; N – „Niwa”).

[23] Na temat nagłówków w felietonach zob. M. Pietrzak, *Wyznaczniki gatunkowe felietonu drugiej połowy XIX wieku* (*na przykładzie tekstów Henryka Sienkiewicza, Bolesława Prusa i Aleksandra Świętochowskiego*), Łódź 2013, s. 65-79.

Przewodnik

Amatorskie przedstawienie w oryginalnych dekoracjach

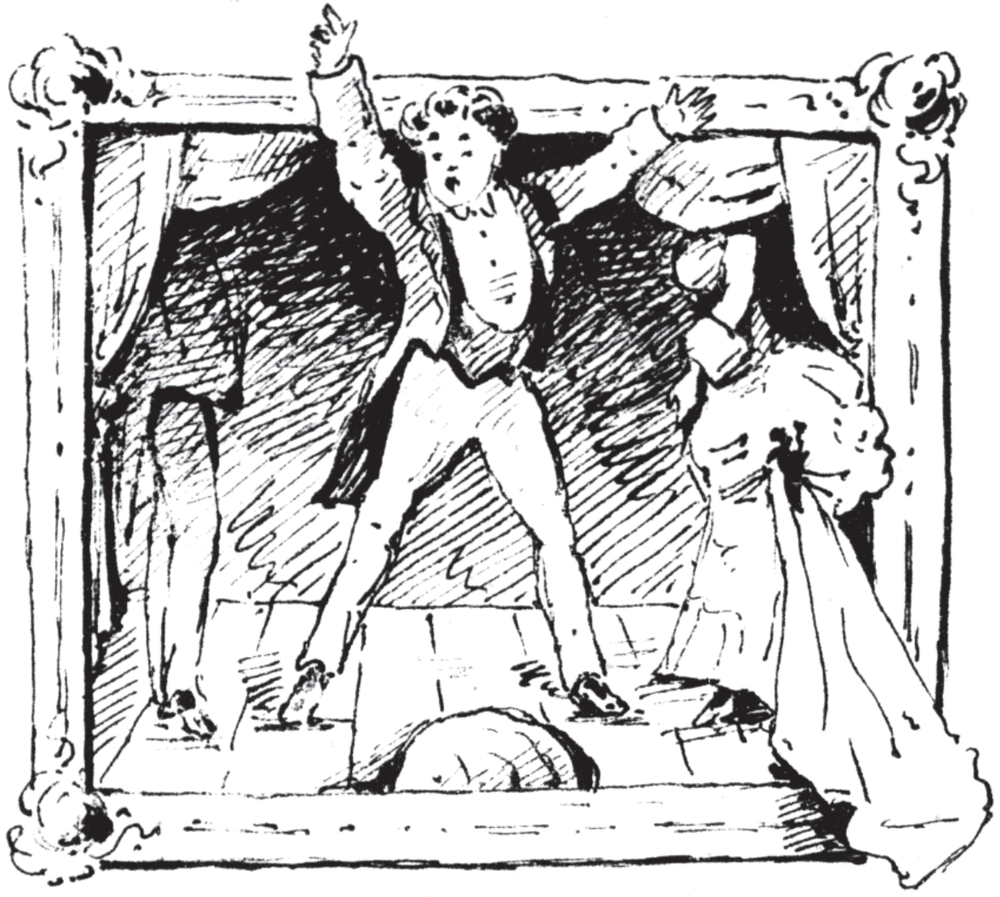

Wiadomości bieżące,
„Mucha" 1875 nr 3, s. 2
ebuw.uw.edu.pl

Sługa wasz, pełniący zaszczytne i wysokie obowiązki felietonisty, był na czwartkowym przedstawieniu w Teatrzyku Dobroczynności [1]. (...) Amatorowie i amatorki, wprawiwszy się na pierwszym przedstawieniu [2] , grali pewniej, bieglej i daleko lepiej. Gra p. Kotarbińskiego [3], jakkolwiek wykazywała nie dość wprawne jeszcze stosowanie teorii, zresztą wybornych teorii, w praktyce, odznaczała się jednak tak wysokimi przymiotami, że mógłby mu ich pozazdrościć niejeden rzeczywisty artysta. Powierzchowność młodego amatora przyjemna, głos pełny, głęboki, dźwięczny, składały, razem wzięte, do wysokiego stopnia pokaźną całość. Drugi amator grający w tejże samej sztuce, pan Piramowicz [4], przewyższał nawet poprzedzającego rutyną. Równie doskonałą, a zarazem do wysokiego stopnia inteligentną była gra pani D. [5], bohaterki sztuki. W ogóle w pierwszej sztuce przemagały wdzięki, w drugiej talenta, w obu zaś litością zdejmowały serca dekoracje. Boże! Cóż za dekoracje! Nie wiem, czy w Pacanowie, gdzie kozy kują, w Kiernozi, gdzie jest środek Ziemi, i w Łysobykach, sławnych z jarmarków na gęsi, są teatra; ale gdyby były, niezawodnie dekoracje miałyby lepsze. Panie nie mogły wychodzić przez drzwi. W pierwszej sztuce topole otaczające dom nie dochodziły do cylindra kochanka Zdzisława; dom Orgona [6] wyglądał jak budka strażnicza; kortyna wreszcie, w chwili gdy ją przed drugą sztuką podnoszono, podniosła się na łokieć - i dalej ani rusz. Publiczność widziała cztery pary nóg poruszające się niespokojnie i kawałek podłogi. Poczęły się śmiechy. Dopiero wspólne usiłowania służby, a może i członków Dobroczynności, zdołały skłonić staruszkę, że skrzypnąwszy, stęknąwszy, namyśliła się, okazać oczom publiczności nie tylko buty i trzewiczki, ale i głowy grających. (D XLVIII 17-18; GP 1875 nr 12)

[1] Na niewielkiej scenie, w siedzibie Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności (przy Krakowskim Przedmieściu 62) często wystawiano amatorskie przedstawienia organizowane na cele dobroczynne. „Aktorami byli przeważnie przedstawiciele warszawskiego towarzystwa, rekrutujący się z kręgów arystokracji, finansjery, przemysłu.

Amatorskie przedstawienie w oryginalnych dekoracjach

Reżyserią tych widowisk często zajmowali się aktorzy lub nawet reżyserzy teatrów warszawskich – oczywiście bezinteresownie. Wiadomo, że mieli w nich swój udział m.in. Helena Modrzejewska i Bolesław Leszczyński. Mimo szlachetnych usiłowań poziom przedstawień często pozostawiał wiele do życzenia". B. Król-Kaczorowska, *Teatry Warszawy. Budynki i sale w latach 1748-1975*, Warszawa 1986, s. 76-77.

[2] Przedstawienia na dochód Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności odbyły się 29 grudnia 1874 i 14 stycznia 1875 r.

[3] Józef Kotarbiński (1849-1928), aktor, reżyser, krytyk literacki i teatralny, przyjaciel Sienkiewicza. Początkowo deklamował publicznie na koncertach i wieczorach towarzyskich, brał też udział w przedstawieniach amatorskich w Towarzystwie Dobroczynności, od 1877 r. był aktorem Warszawskich Teatrów Rządowych. W l. 1899-1905 pełnił funkcję dyrektora Teatru Miejskiego w Krakowie, po powrocie do Warszawy do końca życia był związany z teatrami stołecznymi.

[4] Marceli Piramowicz (zm. 1893), długoletni reżyser teatrzyku Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności.

[5] Pani D. - Józefa Dębicka.

[6] Zdzisław i Orgon – bohaterowie *Listu*, jednoaktówki Aleksandra Fredry. Drugą komedią wystawioną w teatrzyku był *Pierwszy mąż*, anonimowa jednoaktówka tłumaczona z francuskiego.

Atrakcje powrotu z Teatru Letniego

Jedyny możliwy sposób zabezpieczający od rozbicia łba, przy powrocie do domu z Letniego Teatru w Saskim Ogrodzie, rys. Arkadiusz Mucharski, „Kurier Świąteczny" 1877 nr 46, s. 4

Muszę zejść w ciemne i duszne ulice grodu naszego choćby dlatego, że oto rozpoczęły się już przedstawienia w Letnim Teatrze [1], które się o wzmiankę upominają. Saski Ogród [2] stoi tedy do późnej nocy otworem i po staremu powraca się z teatru, jeśli noc ciemna, od drzewa do drzewa, instynktem więcej kierując się i pamięcią niż oczyma. Czasem, na oślep idąc z wyciągniętymi rękoma, trafisz na głowę bliźniego idącego przed tobą; czasem idziesz sobie w najlepsze, aż tu czarna jakaś postać zamajaczy ci niewyraźnie przed oczyma; nagle ktoś łapie cię za nos i poczuwszy, że miękko, mówi przestraszonym głosem:

– Och, przepraszam, ja myślałem, że to gałęź!

– Hę? Co?

– Myślałem, że gałęź. Tak ciemno!

– Ciemno?

– Bardzo przepraszam. Mogliby też już tę drogę oświecić.

– Kiedy to u nas wszystko tak... Jezus Maria!

– Co to?

– Drzewo. Rozbiłem się o drzewo.

Czasem znów, jeżeli z teatru wyszedłeś z towarzyszem lub towarzyszką, przez drogę z całym zaufaniem opowiadasz mu jakieś sekreta lub sprawy natury domowej, aż tu przy bramie, gdy światło latarni was obleje, spostrzegasz z przerażeniem, żeś towarzysza zgubił, a szedłeś z kim innym, a co gorsza, może z kim znajomym, który tych sekretów nie powinien był wiedzieć. Źle, do licha! Wystawmy sobie młodzieńca opowiadającego w najlepszej wierze mężowi sukcesa, jakich się spodziewa u jego żony; albo ojca familii, który z całym zaufaniem pochyla się do ucha konkurenta jednej ze swoich córek i sądząc, że mówi do córki, pyta:

– Kiedyż ci się ten cymbał oświadczy?

Bywają położenia drażliwe i *qui pro quo* [3] jeszcze drażliwsze. Zarząd Ogrodu czy też Letniego Teatru ma zamiar podobno zapobiec nadal podobnym wypadkom przez zaprowadzenie szeregu latarń naftowych. Dlaczego nie gazowych? Oto wkopanie rur gazowych ma podobno szkodzić roślinności [4].

Z tym wszystkim, przedstawienia już się rozpoczęły; ludzie po staremu uderzają nosami o drzewa, a latarni jak nie ma, tak nie ma. Obiecanka cacanka. Jeśli już mają je postawić, dlaczegoż nie zostały postawione przed rozpoczęciem letniego sezonu? Dlaczego?

Odpowiedź nietrudna. Od przeszłego lata – rozumował sobie zarząd – zapomnieli już ludzie, jak to niemiło wracać po ciemku i przewracać koziołki przez bariery; gdyby więc latarnie postawiono przed rozpoczęciem przedstawień, nie umieliby cenić, jak należy, dobrodziejstwa, gdy zaś spróbują parę razy wracać po omacku, dopiero potrafią w całej pełni odczuć wyświadczoną sobie usługę.

Odpowiadam w imieniu publiczności: – Jużeśmy spróbowali – prosimy o latarnie!

(D XLVIII 169-170; GP 1875 nr 115)

— Doktorze! wczoraj wychodząc z Teatru Letniego — nabiłem sobie guza, bom palnął głową o drzewo — a żona zawadziła się o drut od barjerki i wykręciła nogę — kochany konsyliarzu poradź że nam teraz.
— Przedewszystkiem radzę... do Teatru Letniego nie chodzić.

Praktyczna rada.
rys. Franciszek Kostrzewski,
„Kolce" 1876 nr 30, s. 240
ebuw.uw.edu.pl

[1] Teatr Letni zob. s. 148

[2] Ogród Saski zob. s. 125

[3] *Qui pro quo* (łac.) – dosłownie jeden zamiast drugiego; w przenośni: nieporozumienie, pomyłka.

[4] W 1857 r. z polecenia namiestnika zakazano układać przewody gazowe w ogrodach i blisko drzew, co było podyktowane troską o miejską zieleń, ponieważ wydzielający się gaz miał niszczyć drzewostan. Ogród Saski oświetlały lampy olejowe. Zob. *Odezwa objawiająca decyzję namiestnika, aby nie zaprowadzać latarni gazowych w Ogrodzie Saskim i wszędzie, gdzie rosną drzewa i znajdują się ogrody (d. 29 czerwca/11 lipca 1857 r.)* // w: *Zbiór przepisów administracyjnych Królestwa Polskiego. Wydział Spraw Wewnętrznych. Zarząd Gospodarczy Miasta Warszawy*, cz. 5, t. 2, Warszawa 1868, s. 679.

Atrakcje powrotu z Teatru Letniego

Bal w Ratuszu i nieoczekiwana zamiana odzieży wierzchniej

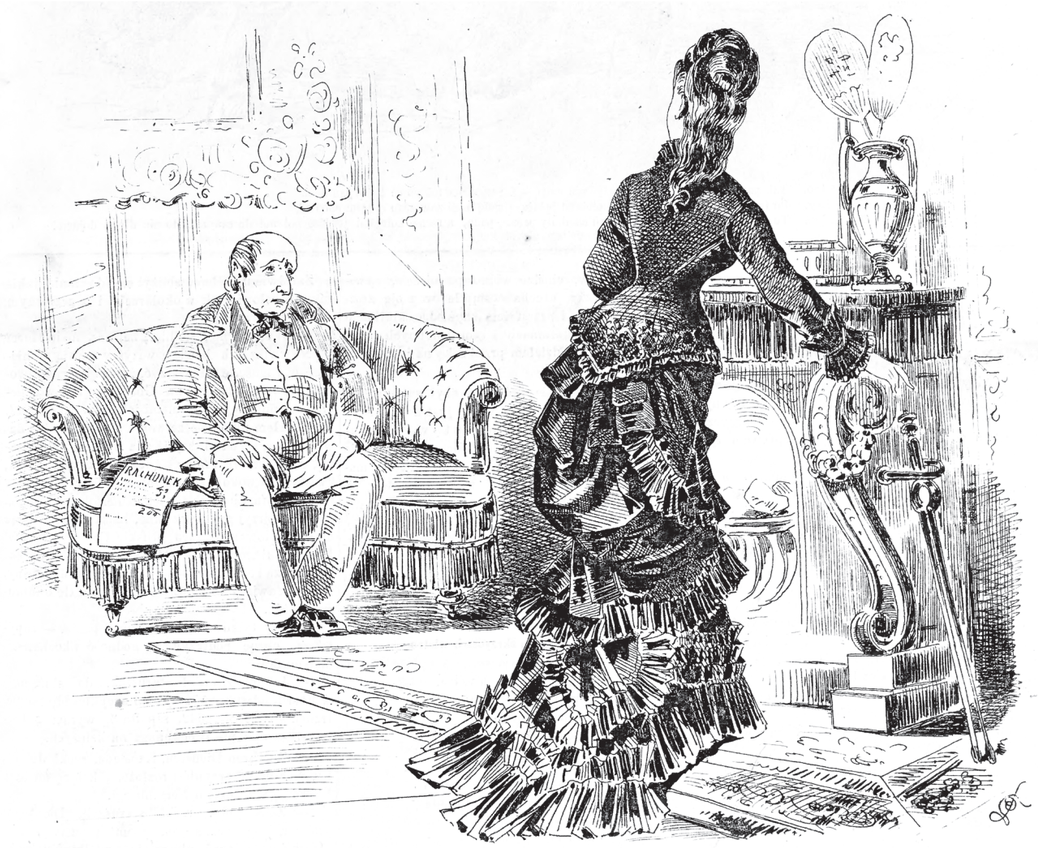

— Zamiast się cieszyć, że twoja droga żoneczka była królową balu, to ty mi jeszcze jakieś miny stroisz?
— Owszem duszko.... ja się cieszę.... nawet nie posiadam się z radości.... tylko mam taką nieszczęśliwą fizjognomię, że tego po mnie nie widać....

Po balu w Ratuszu,
„Kolce" 1876 nr 8, s. 57
ebuw.uw.edu.pl

Od czego zacząć, jeżeli nie od ostatniego balu w Ratuszu? [1] Odbył się i udał w całym znaczeniu tego wyrazu. Było wszystko: świetne towarzystwo, świetne ubiory, piękne kobiety, światła, muzyka, upał, ścisk, a na koniec koła tańczące tak zaciskane mnóstwem widzów, że kadryl odbywał się na szerokości dwóch kroków, a kontredansowe balanse były prostym przestępowaniem z nogi na nogę, jakby z powodu bólu odcisków.

Na dole bawiono się, robiono „kurę" [2] damom, rozmawiano po francusku, tańczono, gnieciono, obrywano, wachlowano, szeptano miłe słówka, a odbierano milsze jeszcze uśmiechy. Strojne damy w obłokach gazy, tiulu, koronek i atłasu, iskrzące brylantami, zarumienione, z falującą piersią i jasnymi oczyma, obok zbite szeregi młodzieży; nad tym wszystkim potoki światła; gorąca atmosfera balowa, ruch, gwar, a wreszcie wśród gwaru i nad gwarem półsmętne, półpoetyczne tony walca - oto i bal piątkowy.

Ale to wszystko działo się na dole. Na dole bawiono się - na górze pocono się i obmawiano. Tualety dam! Cóż to za niewyczerpana kopalnia rozmów, uwag i złośliwych krytyk. Toż to będą się schodzić dobre znajome i udzielać sobie wzajemnych spostrzeżeń! A ileż to wywiąże się z tego powodu sprzeczek! (...)

Piątkowy bal miał jednak i swoją stronę odwrotną. Tą stroną odwrotną była kontramarkarnia [3]. Widocznie wesołość panująca w sali głównej udzieliła się pod postacią niedobitków z butelek mężom pilnującym rzeczy w przedsionkach. Lica tych dostojników pokryły się rumieńcem, rozjaśniły się ich wejrzenia, rozwiązały się języki, a niestety rozwiązały się i rzeczy, których mieli pilnować. W sali głównej brzmiała muzyka, a w kontramarkarni poczęły się śpiewki. Wiadomo, że kiedy człowiek jest w dobrym humorze, to mu się czasem i chce zaśpiewać. Zresztą, że tam sobie ktoś mruknie przez zęby: „Wiwat kawalerski stan" albo: „Sułtanem być to jest los", to znowu nic złego. Gorzej już, gdy na pytanie: Gdzie moje futro? - odbiera się odpowiedź: Niech mi pan głowy nie zawraca! - A podobno trafiało się i tak. Zresztą przy

Bal w Ratuszu i nieoczekiwana zamiana odzieży wierzchniej

— Mój Jacenty, nie tak to dawniej bywało. Tera zostawi dziurawe kalosze, a krzyczy żeby mu zwrócić całe, a jak da złocisza to chce dyskę reszty, oj czasy... czasy...

W kontramarkarni. (*Stagnacyjna maskarada vel maskaradowa stagnacja*) [fragment],
rys. Stefan Mucharski,
„Mucha" 1886 nr 4, s. 4
ebuw.uw.edu.pl

wyjściu był prawdziwy zamęt: Moje futro! A mój paltot! A moje kalosze! A laska! A parasol! - Takie coraz rozpaczliwsze okrzyki wydzierały się z piersi wychodzących. Jeden nic nie dostał, drugiemu ofiarowano zamiast paltota salopę damską. Innemu dostał się w podziale jeden tylko kalosz, a gdy nieszczęsny dopominał się o drugi, odebrał odpowiedź: Czy ja panu stworzę kalosz? - Istotnie! Stworzyć kalosz nie łatwo, zwłaszcza po pijanemu; ale w jednym kaloszu chodzić, zwłaszcza po trzeźwemu, nie uchodzi. Byli jednak i tacy szczęśliwi, którym *ad libitum* [4] podawano po dziesięć futer, ale takich było niewielu. W ogóle wszczął się płacz i zgrzytanie zębów. Ojcowie córkom, mężowie żonom, narzeczeni oblubienicom nie mogli dostać ani futer, ani okryć, ani szalów, ani żadnej rzeczy, która ich była, przynosząc za to z łatwością bardzo wiele rzeczy, które nie ich były. Damy nie chciały owych rzeczy przyjmować; stąd nieukontentowanie, stąd suche uwagi, że są czasem między mężczyznami istoty tak niezaradne, że nawet kiedy idzie o rzeczy - nie można na nie rachować; stąd rozpaczliwe usiłowania, stąd powiększenie zamętu, stąd hałaśliwe zajścia, stąd dygotanie od zimna i - *utinam sim falsus vates!* [5] - stąd gorączki, bóle gardła etc. etc. etc.

Los okazał się, jak zwykle, dziwnie złośliwym. Widziano mężczyzn, przypominających wzrostem grenadierów pruskich, wracających do domu w paltocikach przypominających długością kurtki myśliwskie. Wiatr szarpał na ulicy zwieszone smutnie i niczym nie nakryte, a widoczne spoza krótkich kaftaników poły ich fraków; o jakże szarpał je, jak kręcił nimi, jak rozdzierał je i łączył lub podnosił niby żagle, dmąc w nie swobodnie! Przyczyniało się to może do szybszego powrotu do domu; ale co było chłodno, to chłodno. Małych, oczywiście, tenże sam złośliwy los obdarzył paltotami, które im miejsce szlafroków zastąpić by mogły, a że było ślisko - łatwo więc wystawić sobie, że takie asyryjskie szaty, przydeptujące się za każdym krokiem, nie przyczyniły się wcale do silniejszego trzymania się na nogach. Ale powoli gmach ratuszowy począł opróżniać się coraz bardziej; coraz mniejsza liczba nieszczęśliwych poszukiwała swoich ubrań, aż wreszcie ucichło wszystko, światła pogasły, ciemność otuliła gmach cały i na pobojowisku pozostało kilka tylko podobno mundurów z wojska, kaloszy i jakich kilka futerek, których właściciele się nie znaleźli. (D XLVIII 29-31; GP 1875 nr 24)

[1] Ratusz mieścił się w pałacu Jabłonowskich wzniesionym w l. 1773-1785 dla Antoniego Jabłonowskiego, na podstawie projektu Jakuba Fontany i Domenico Merliniego, przebudowanym następnie w l. 1817-1819 na ratusz miejski wg projektu Fryderyka A. Lessla i Józefa G. Lessla. Po pożarze, któremu uległ w czasie powstania styczniowego, został odbudowany w l. 1864-1869 wg projektu Rafała Krajewskiego i Józefa Orłowskiego. Kolejna modernizacja pałacu wg projektu Oskara Sosnowskiego miała miejsce w okresie międzywojennym. Rozebrany, po zniszczeniach jakim uległ w czasie II wojny światowej, został w l. 1995-1997 odbudowany na siedzibę BRE Banku. Sala Ratusza, nazwana urzędowo Salą Aleksandryjską na cześć cara Aleksandra II, była jedną z największych i najpiękniejszych w Warszawie. Odbywały się tutaj koncerty, odczyty, bale oraz inne tego typu wydarzenia.

[2] „Robiono kurę" – zalecano się; nieudolne spolszczenie francuskiego zwrotu: *faire la cour*.

[3] Kontramarkarnia – szatnia.

[4] *Ad libitum* (łac.) – w dowolnej ilości, bez ograniczeń.

[5] *Utinam falsus vates sim!* (łac.) – obym był fałszywym prorokiem.

Bal w Ratuszu i nieoczekiwana zamiana odzieży wierzchniej

Baliki w Tivoli

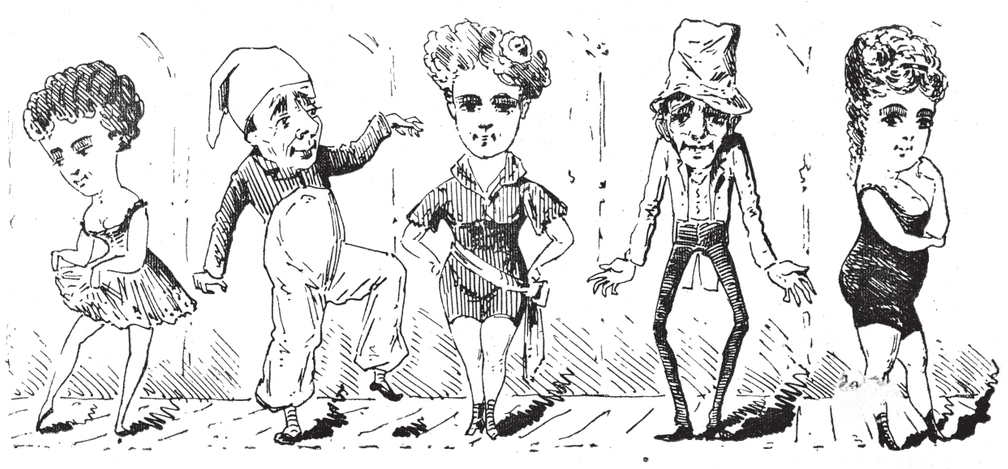

Menażeria w Tivoli,
„Kurier Świąteczny" 1877 nr 15, s. 4

Kto chce u nas zabijać czas i tracić pieniądze, ten w więcej lub mniej elegancki sposób może to czynić z cała swobodą, bez uskarżania się na brak sposobności.

Sposobności te dzielą się na przemijające i stałe. Do tych ostatnich policzyć już można orkiestrę węgierską Baloga [1], która, przyjęta sympatycznie przez publiczność zeszłego lata, zagościła u nas na całą zimę. Miejscem jej pobytu jest, jak i dawniej, Tivoli [2], gdzie także odbywają się „przyjacielskie" baliki dla lubiącej swobodę młodzieży i wesołych kumoszek warszawskich.

Tivoli jest rodzajem Mabilu [3] warszawskiego, rodzajem wprawdzie zmniejszonym, mniej okazałym i eleganckim, ale w każdym razie jedynym miejscem w Warszawie, w którym strojny w winogradowe wieńce Bachus [4] brata się z złotowłosą Afrodytą [5] i przejęty duchem dziewiętnastego wieku otwiera na oścież wrota nowożytnym bachanaliom. I tu więc atmosfera ćmi się dymem ofiarnym, wprawdzie nie mirry lub bursztynu, ale cygar i papierosów; i tu migoce płomień, wprawdzie nie pochodni, ale gazu, i to powietrze dyszy żarem, krew burzy się w żyłach, a lud wykrzykuje *„evoe!"* [6] który to wyraz odgrzebał w wykopaliskach starożytności i powołał do życia Offenbach [7]. Tivoli i jego wieczory są także smętną w skutkach szkołą, która przerabia naszych gołowąsych „synków mamuni" na ludzi bez złudzeń, na modnie znudzonych bajronistów, na „interesujących *nil admirari*" [8], admirowanych z kolei przez pensjonarki przypuszczające, że musieli wiele cierpieć w życiu, jak to zaświadcza wczesna na ich głowach łysina. Tivoli jest dalej wyspą, jak mówi Słowacki, „dla naszych grubych Sancho-Panszów" [9], na której wiszą, jak pijawki, na uszach kufli napełnionych piwem i wodząc smętnymi oczyma za tańczącymi parami, zasypiają wreszcie - *procul negotiis* [10]. Tivoli jest na koniec sztucznym horyzontem dla błędnych gwiazd, schronieniem dla koników polnych prześpiewujących lato życia, słowem, jest to taki przybytek, jakich wiele w każdym większym mieście - przybytek wesołości w zamiarze, sztucznego szału w czynie, nudów w skutku. (D XLVII 133-134; GP 1873 nr 269)

Baliki w Tivoli

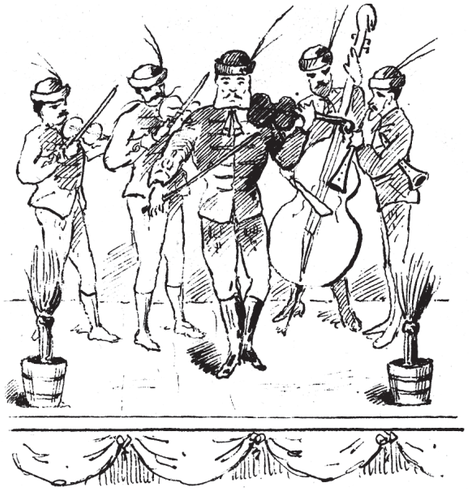

— Że lubimy cudzoziemców, wiedzą o tem państwo Rejner w Tivoli i sprowadzili nam orkiestrę węgierską.

Orkiestra ta zupełnie jest podobną do swej poprzedniczki, grywającej tu dawniej pod dyrekcyą Baloga.

Muzycy tak samo jak tamci są ubrani, tak samo noszą wązkie spodnie, ale daleko częściej od nich fałszują.

Wiadomości bieżące,
„Mucha" 1875 nr 9, s. 2

[1] Karol (Karoly) Balog – dyrygent węgierskiej orkiestry występującej w l. 1873-1874 w Tivoli.

[2] Tivoli – pierwszy teatrzyk ogródkowy w Warszawie otwarty 30 maja 1868 przy ul. Królewskiej 23. W tym czasie dyrektorem sceny był Julian Grabiński. Grano m.in. *Halkę* Stanisława Moniuszki, *Mazepę* Juliusza Słowackiego, *Wolnego strzelca* Carla Marii von Webera. Publiczność stanowili mieszczanie, kupcy i przedstawiciele prasy.

[3] Mabille – słynny ogródek taneczny istniejący w Paryżu w l. 1840-1875 przy avenue Montaigne 87; wg *Przewodnika dla podróżujących za granicę z mappą kolei Europy środkowej*. Cz. 2: *Francja Włochy i Anglia* (Warszawa 1874, s. 282), czynny we wtorki, czwartki, soboty i niedziele. Odwiedzany był przez przedstawicieli wszystkich stanów i zawodów, cudzoziemców i damy z półświatka. Tutaj słynny Chicard i jego partnerki tańczyli kankana.

[4] Bachus (Dionizos) – w mitologii greckiej bóg wina, płodnych sił natury, plonów; syn Zeusa i Semele.

[5] Afrodyta – w mitologii greckiej bogini miłości i piękna.

[6] Evoe! – radosny okrzyk bachantek występujący w operetce Offenbacha *Piękna Helena.*

[7] Jacques Offenbach (1819-1880), kompozytor francuski, twórca popularnych operetek. Należały one do żelaznego repertuaru teatrzyków ogródkowych.

[8] *Nil admirari* (łac.) – niczemu się nie dziwić (cytat z Horacego, *Listy* I 6).

[9] Niedokładny cytat z *Beniowskiego* (pieśń II, w. 89-93). Właściwie:

O Boże! ileż bym stworzył romansów,
Gdybym chciał wszystkich d...w być zabawą,
Wyspą dla grubych naszych Sanczo Pansów,
Na której by się uczyli ze sławą
Sylabizować.

[10] *Procul negotiis* (łac.) – z dala od interesów (Horacy, *Epody* II 1).

Barbarzyńskie zwyczaje teatralne

NA WIDOWISKU.

— Siadać, siadać!
— Prosiemy usiąść!
— Proszę siedzieć!
— Ślicznie dziękuję, nie jestem zmęczony...

Na widowisku,
rys. Franciszek Kostrzewski, ryt. Andrzej Zajkowski,
„Kłosy" 1869 nr 209, s. 8

Niektóre (...) zwyczaje naszej publiki prawdziwie można by nazwać barbarzyńskimi. Do takich zaliczamy przede wszystkim zwyczaj wychodzenia z teatru przed końcem sztuki, a wchodzenia po jej zaczęciu. Podobne *sans façon* [1] nie istnieje nigdzie za granicą. Wystaw sobie, wiejski czytelniku, że jesteś pierwszy raz na jakiejś sztuce i słuchasz Żółkowskiego [2], Modrzejewskiej [3] lub panny Romany Popiel [4], z których gry nie chciałbyś ani jednego gestu lub słowa uronić. Raptem na początku rzędu krzeseł powstaje pewien ruch i hałas. Spoglądasz: wchodzi jakaś postać elegancko urękawiczona, ukrawacona, ozdobna wielkim, białym gorsem (mowa o mężczyznach), wypomadowana, świeża, uśmiechnięta - i poczyna z przymrużonymi oczyma płynąć do środka, pochylając się jednostajnie i powtarzając nieśmiertelne *pardon* przy każdych kolanach, o które zawadza po drodze. Mniejsza o to, że figura owa gniecie ci kapelusz lub następuje na palce, ale robi się szmer, nie słyszysz, co mówią na scenie, i tracisz wątek sztuki. Twój wiejski temperament oburza się i rad byś wybuchnąć przeciw takiej niedelikatności; chętnie byś pokazał drogę po swojemu takiemu śmiałkowi, gdyby nie to, że rozbraja cię owo *pardon*, wymówione z wzorowym akcentem, grassejowane [5] czysto po parysku i zdradzające kogoś z wyższych sfer towarzyskich. Toż samo dzieje się i w końcu sztuki. W chwili, gdy twa ciekawość najbardziej jest naprężoną, w chwili, gdy Numa tuż, tuż ma umrzeć lub też podać rękę uszczęśliwionemu Pompiliuszowi [6], a ty ze wzruszeniem słuchasz pięknego sensu moralnego wypowiadanego przez ojca lub opiekuna nowożeńców, raptem publika zrywa się z miejsc swych, nakłada kapelusze i odwraca się do sceny w ten sposób, że najlepsi artyści mówią do jej pleców. Zwyczaj to iście barbarzyński, dowodzący braku szacunku dla artystów i sztuki, na który zresztą powstałbym w stylu filipik [7] Demostenesowych lub Cycerońskiej „*Contra Catilinam*”, gdyby nie to, że piszę nie kazanie, ale felieton, a zatem wolę śmiać się niż rzucać gromy. (D XLVII 130-131; GP 1873 nr 269)

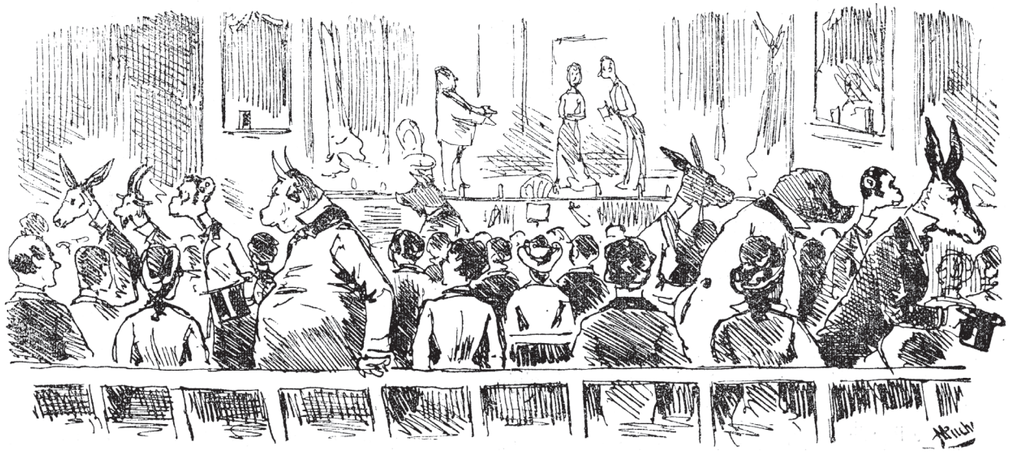

Kto u nas wychodzi z teatru, przed zapadnięciem kortyny?, rys. Arkadiusz Mucharski, „Kurier Świąteczny” 1882 nr 21, s. 4

[1] *Sans-façon* (fr.) – bezceremonialność.

[2] Alojzy Żółkowski (1814-1889), aktor i śpiewak warszawski; występował na scenach Warszawskich Teatrów Rządowych. Niezrównany aktor komediowy, grał w repertuarze współczesnym, m.in. w sztukach Aleksandra Fredry, Józefa Korzeniowskiego.

[3] Helena Modrzejewska (1840-1909), największa polska aktorka o światowej sławie, odtwórczyni zwłaszcza ról tragicznych. W Warszawie występowała w l. 1868-1876.

[4] Romana Popiel (1849-1933), aktorka; zasłynęła w rolach tzw. naiwnych i komediowych, m.in. w sztukach Aleksandra Fredry. Występowała w Warszawskich Teatrach Rządowych w l. 1870-1881.

[5] Grassejować – wymawiać na sposób francuski spółgłoskę *r* (gardłowo z wibracją języczka).

[6] Numa Pompiliusz (Numa Pompilius) – drugi król rzymski, następca Romulusa. „*Numa* wyszła za *Pompiliusza*” - powiedzenie żartobliwe, oznacza, że fabuła utworu zakończyła się małżeństwem.

[7] Filipika - gwałtowna, namiętna mowa skierowana przeciwko komuś. Określenie pochodzi od mów Demostenesa, mówcy i polityka ateńskiego, skierowanych przeciw Filipowi II Macedońskiemu. Cyceron, rzymski mówca, filozof i polityk, również tak nazwał swoje wystąpienia przeciw Markowi Antoniuszowi i Katylinie.

Barbarzyńskie zwyczaje teatralne

Bigos różnojęzyczny

Tylko w angielskim korcie człek po ludzku wygląda.
(*Zasady XIX wieku*) [fragment],
rys. Franciszek Kostrzewski,
„Kłosy" 1865 nr 6, s. 68

Smutno pomyśleć, jak u nas lekceważą język, nie rozumiejąc, czy nie chcąc rozumieć jego znaczenia. Pójdź na salony arystokratyczne, usłyszysz francuszczyznę lub taki bigos różnojęzyczny, że choć uszy zatykać z oburzenia: tam panowanie guwernantek posprowadzanych ze wszystkich krańców świata; tam miłość rodzicielska w troskliwości o dobry akcent paryski się objawia; tam panowie szepcą damom francuskie słówka na ucho; tam głupcy w długich surdutach udają Anglików, przekręcając angielskie wyrazy; tam posługujących mazowieckich Bartków i Jaśków na Dżonów przerabiają, tam czytają tylko zagraniczne powieści; tam o Mickiewiczu wiedzą, że to „literata jakiś"; tam prenumerują „Revue des Deux Mondes" [1] i dziwią się po francusku, jak się może tyle polskich dzienników utrzymać.

Pójdź między wysokie mieszczaństwo - to udaje arystokrację; pójdź między przemysłowców: mówią po niemiecku; pójdź między kupców: szwargoczą po żydowsku; pójdź na giełdę - język niby polski, ale i słowa z niego nie zrozumiesz. Wszędzie cudzoziemczyzna lub mieszanina najobrzydliwsza w świecie, wszędzie, gdy się wsłuchasz, i płakać, i śmiać ci się chce jednocześnie - aż wreszcie mimo woli spojrzysz w niebo i z wyrzutem zapytasz: „Panie Boże, przecież nie stawialiśmy nigdy wieży Babel, dlaczego nam tak pomieszałeś języki?" (D XLVII 231; N 1875 t. 8, s. 630-636)

[1] „Revue des Deux Mondes" – czasopismo literacko-społeczne ukazujące się od 1829 r. w Paryżu.

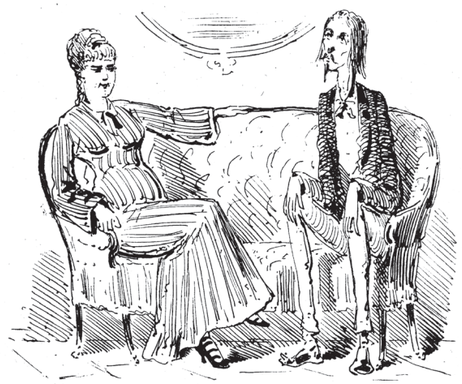

— *P. Alfred* O, bo kobiecość to fenomen dziś wśród dam.
— *P. Pulcherja*. Imaginez vous że ja mam beamoup de kobiecości.

Czystość języka przede wszystkim [fragment],
„Mucha" 1877 nr 28, s. 4

Brukowy przekładaniec

— Słuchajno Wojtek, niedługo nam się urwie zarobek, bo już z robotą dojeżdżamy do końca ulicy.
— Nie bój się, jak dojedziemy do końca, to ją znów od początku będzie trzeba *ryperować*.

Warszawskie Penelopy,
„Kurier Świąteczny" 1876 nr 24, s. 1

Co do bruków [1], chodników i tym podobnie, ulice nasze podobne są do rodzonych sióstr, a córek niezbyt zamożnej rodziny. Z czego wyrośnie starsza, to dodziera młodsza. Gdy wyjmą bruki lub wyłamią chodnik na której z głównych ulic, niezawodnie położą go na mniej głównej, potem gdy i ta wzrośnie, dostaje znowu strój lepszy, a dawny idzie dla jeszcze podrzędniejszej. Jest to, jak widzimy, zasada dość oszczędna i byłaby nawet niezła, gdyby Pan Bóg dawał mieszkańcom pobocznych ulic zdrowsze nogi, a szewcy warszawscy mocniejsze buty. Na nieszczęście, przynajmniej co do szewców, tak nie jest, wskutek czego wydaje się niesprawiedliwością kazać się potykać i drzeć buty na niegodziwych brukach ludziom, którym jako uboższym, najbardziej o to chodzi, żeby im owe buty na długo wystarczyły

Ale jak między dziećmi jednej rodziny jedne są więcej kochane, inne mniej lub wcale, tak i między ulicami są także upośledzone córy, prawdziwe kopciuszki, wiecznie zapominane lub omijane umyślnie. Bodaj czy nie do takich należy ulica np. Marszałkowska. Ma ona wprawdzie kolej konną, ale bruki jej za to mogą śmiało rywalizować z brukami Płońska, Łukowa, Radomska i innych stolic powiatowych. Cudzoziemiec, który po raz pierwszy jest w Warszawie, siadłszy w dorożkę na dworcu wiedeńskim [2] i jadąc Marszałkowską, na widok owych wybojów, dołów, wzgórzy, wąwozów itp. gotów sądzić, że kamienie te ułożone zostały w ten sposób, żeby pewną część miasta uczynić nieprzystępną, a przeto zabezpieczyć ją przeciw jakim nagłym a niespodziewanym nieprzyjacielskim napadom.

Żarty pominąwszy, jak na wielki, trzykroćstotysięczny gród jesteśmy miastem najgorzej zabrukowanym i najgorzej oświetlonym ze wszystkich wielkich miast europejskich. Gdyby na złe bruki i latarnie naznaczono konkurs, dostalibyśmy pierwszą nagrodę niezawodnie. Latem, gdy po tych brukach ciągną jeszcze tumany kurzu zasypujące usta i oczy, gdy ścieki nasze, pozbawione wody, poczną ronić woń zabijającą, gdy owa woń w połączeniu z kurzem, dymami etc. zawiśnie ciężką, ołowianą atmosferą nad miastem, wówczas słusznie powiedzieć można, że Warszawa, którą

Brukowy przekładaniec

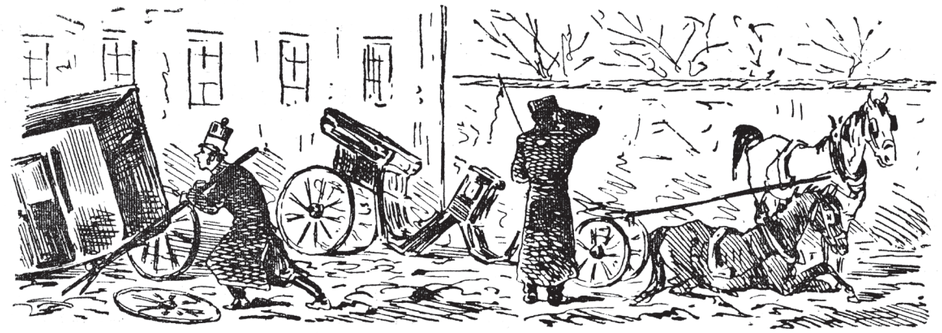

Pruski bruk na Chmielnej ulicy,
„Kurier Świąteczny" 1877 nr 20, s. 4

ze względu na piękność jej mieszkanek nazywają rajem dla oczu, ze względu zaś na ilość katarynek i utalentowanych fortepianów panien - czyśćcem dla uszu, że ta Warszawa jest piekłem dla każdego nosa, który się w niej nie urodził, w niej nie żył, nie zakatarzał i nie wychował.

A jednak Warszawa podoba się cudzoziemcom. Nie wiem, czy piękność warszawianek usposabia ich tak dobrze, ale niektórzy chwalą wszystko bez wyjątku. Koło pałaców stoją na pryncypalnych ulicach na wpół rozwalające się chałupy - to rozmaitość miła dla oka. W nocy ciemno - to romantyczne, w dzień brudno - to oryginalne. Ha! widocznie mamy szczęście. (D XLVIII 126-128; GP 1875 nr 90)

[1] „Stan bruków warszawskich lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych był wysoce niezadowalający tak pod względem jakości, jak ilości. Były to bowiem bruki najgorszego rodzaju, tzw. kocie łby, trudne do utrzymania w porządku, wyboiste, niesłychanie hałaśliwe, trzęsące pasażerów pojazdów, zakładane niemal w całym mieście (87-91% nawierzchni). Na pozostałej niewielkiej części ulic - głównie na krańcach miasta, królował równie fatalny makadam, czyli nawierzchnia szosowa (ubijany tłuczeń bez podkładu, a więc szybko się psujący, mający wszystkie wady kamienia polnego, a ponadto kurz). Bruki ulepszone w latach siedemdziesiątych stanowiły minimalny odsetek (0,8–1,8%), nie miały więc żadnego istotnego znaczenia dla komunikacji. (...) Wprawdzie w porównaniu z miastami rosyjskimi Warszawa znajdowała się w czołówce (jeszcze w 1898 r. z 2660 miast rosyjskich tylko 123 miało bruk na większej części ulic), lecz jak na największe miasto Królestwa, a jednocześnie ośrodek handlu i przemysłu – nie był to powód do dumy". A. Słoniowa, *Początki nowoczesnej infrastruktury Warszawy*, Warszawa 1978, s. 137-138.

[2] Dworzec Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej zbudowano w l. 1844-1845 wg projektu Henryka Marconiego u zbiegu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej.

„Być albo nie być" pomnika Moniuszki

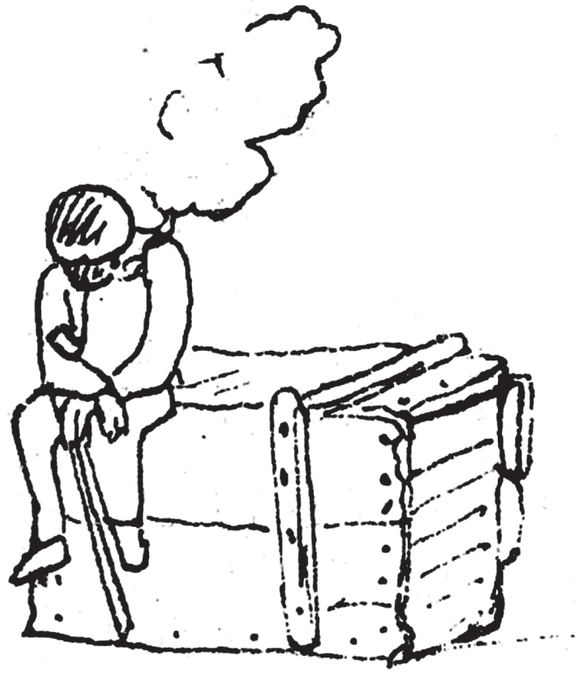

Pomnik Moniuszki w tymczasowem pomieszczeniu.

Przegląd roku 1874,
„Mucha" 1875 nr 2, s. 4
ebuw.uw.edu.pl

Wspomniałem, że w program przedstawienia teatralnego dla dyrektorów weszła i *Hrabina*, niechże więc wolno będzie pomówić o autorze jej, Moniuszce [1]. Wiadomo wam zapewne, czytelnicy, że p. Cyprian Godebski [2] wykonał pomnik [3] dla zgasłego artysty, obecnie znajdujący się w sali rzeźby na wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych [4]. Losy tego pomnika tak są dziwne, a okoliczności towarzyszące tym losom tak każdego dobrego chrześcijanina budujące, że zamierzam bliżej poznajomić z nimi czytelników. Był ów pomnik pierwiastkowo przeznaczony do jednego z naszych kościołów. Tymczasem – któż zdoła przewidzieć przyszłość? - właśnie teraz dopiero rozpoczęły się szkopuły. W chwili kiedy wyszukiwano najodpowiedniejszego miejsca na pomnik, dostrzeżono: z jednej strony, straszną odpowiedzialność, jaką na siebie ściągano umieszczając pomnik w kościele, a z drugiej, okropne skutki, jakie dla całego warszawskiego katolickiego świata z umieszczenia owego wyniknąć by mogły. Czy to herezja, czy nie herezja? Czy profanacja, czy nie profanacja? - oto pytanie, które jak Hamletowskie: „być albo nie być?" powstało nagle w umysłach. Zmarły był wprawdzie genialnym i przez cały ogół ukochanym artystą, ale czy był zawsze dostatecznie prawowiernym, tak jak rozumieją nasi modlący się z francuskich książek wychowańcy tutejszych salonów, czy był dostatecznie przekonany, że czarny pilśniowy kapelusz o nadzwyczajnie szerokich skrzydłach jest widocznym znakiem największej doskonałości chrześcijańskiej? Czy zgadzał się zawsze ze świątobliwymi zasadami dzieła zatytułowanego: *Życie nie jest życiem, czyli wielki błąd dziewiętnastego wieku?* [5] Słowem: czy wierzył w powyższe i wiele innych najnowszych prawd, bez których żaden warszawski wyznawca nie może być w opinii dobrze urodzonych pań i panów zbawionym? Wszystko to były rzeczy niepewne, nierozstrzygnięte albo też zgoła wątpliwe. Wobec tego umieszczać jego pomnik w kościele równało się dobrowolnemu narażaniu własnej osoby na ewentualne nieprzyjemności na sądzie szczegółowym, jaki arystokratyczne damy dla rozrywki przy szyciu ornatów składają nad każdą duszą jeszcze za dni jej śmiertelnego żywota. Zresztą kościół nie jest to muzeum, zatem pomników dla wielkich ludzi nie ma ani potrzeby, ani obowiązku umieszczać.

Ten ostatni argument szczególniej przyczynił się do rozproszenia resztek wątpliwości, zwłaszcza że zauważono, że jakkolwiek muza ta jest od stóp do głów pokryta szatą, jednakże pewne jej kształty są zbyt plastyczne, co sprzeciwia się stanowczo doświadczonym zresztą w tych rzeczach poglądom, a zatem żadną miarą nie może być w kościele cierpianym. Ale jeżeli tak jest, zwracam uwagę na kłopotliwe położenie tych osób, które porównanie z muzą pod względem plastyki wytrzymać mogą. Cóż winny te nieszczęśliwe istoty i czy rzeczywiście dla tak niezależnych od siebie jak zależnych od rozmaitych gustów przyczyn mają być źle widziane? potrzeba konieczna uspokoić te strapione dusze, a zatem jedno z dwojga: albo powiększyć dotychczasowe plastyczne maksimum, albo zgodzić się raz na zawsze, że owo maksimum stosuje się tylko do dusz pogańskich.

Tymczasem jednak nie wiem, co będzie dalej, wiem tylko, że muza nie została wpuszczona nawet do przedsionka kościelnego, jakkolwiek na pomniku obok muzy, która zresztą tak dobrze za chrześcijańskiego anioła smutku jak i za pogańską muzę może uchodzić, znajduje się także i krzyż. Towarzystwo Muzyczne [6], które chciało się zająć tym pomnikiem, nie wie teraz, jak i gdzie go umieścić. Co do mnie, sądzę, że skoro grobowiec naszego kompozytora nie znalazł ostatecznie

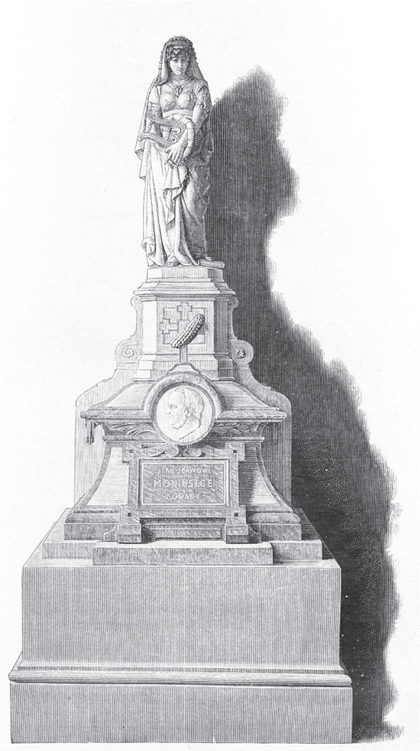

Pomnik śp. Stanisława Moniuszki dłuta C. Godebskiego umieszczony w kruchcie kościoła Wszystkich Świętych w Warszawie,
fot. Jan Mieczkowski, ryt. Adam Malinowski,
„Kłosy" 1887 nr 1165, s. 257

miejsca w żadnym z naszych kościołów, należy umieścić go na Powązkach. Potrzeba tylko, dla ochronienia go przed deszczami, dać dach wsparty na czterech słupach i oto wszystko. Lepiej mu tam będzie i stosowniej

„Być albo nie być" pomnika Moniuszki

niż w salce rzeźb na wystawie, gdzie pokrywa go kurz i pajęczyna. (...)

Należy pamiętać, że Moniuszko był człowiekiem wielkiego dla naszego ogółu znaczenia, należy pamiętać, że był, jest i będzie chlubą naszą i że sam jeden więcej jest wart niż pięć tysięcy dewotek razem z ich pobożnymi galopantami i z całym tym kwaśno-słodkim taborem, na którego wszelkich ćwiczeniach pobożnych Pan Bóg niewiele zyskuje - ale i diabeł z pewnością niewiele traci.

(D XLIX 129-132; GP 1875 nr 209)

[1] Stanisław Moniuszko (1819-1872), kompozytor, dyrygent, pedagog, twórca polskiej opery narodowej (*Halka*, *Straszny dwór*, *Hrabina*).

[2] Cyprian Godebski (1835-1909), rzeźbiarz; urodził się i zmarł oraz większość życia spędził w Paryżu. Mieszkał i tworzył również we Lwowie, Wiedniu i Petersburgu. W Warszawie gościł w 1870 r., a w 1875 r. wraz z żoną, rzeźbiarką Matyldą z domu Rosen, prowadził salon, w którym zbierała się miejscowa elita intelektualno-artystyczna. W tym czasie opublikował na łamach „Gazety Polskiej" cykl felietonów *Listy o sztuce*. Był twórcą pomników (m.in. Adama Mickiewicza przy Krakowskim Przedmieściu), kompozycji alegorycznych, rzeźb salonowych, posągów nagrobnych.

[3] Pomnik Moniuszki autorstwa Godebskiego powstał w kilka miesięcy po śmierci kompozytora. Przez długi czas nie można było znaleźć dla niego odpowiedniej lokalizacji. Rok przeleżał na podwórzu kościoła św. Krzyża, skąd przeniesiono go w 1874 r. do dolnej sali Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Dopiero w 1884 r. abp archidiecezji warszawskiej Wincenty Chościak-Popiel zdecydował o ustawieniu go w kościele Wszystkich Świętych przy placu Grzybowskim, gdzie został uroczyście poświęcony 20 października 1887.

[4] Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych zob. s. 173

[5] J.J. Gaume, *Życie nie jest życiem, albo Wielki błąd XIX-go wieku*, przekł. X. W. M. [W. Magnuski], Warszawa 1872.

[6] Warszawskie Towarzystwo Muzyczne zob. s. 174

Bywalcy teatrzyków ogródkowych

Prawdziwi amatorowie sztuki teatralnej w ogródku, rys. Władysław Szymanowski, „Kurier Świąteczny" 1877 nr 48, s. 1

Teatra te [ogródkowe] [1], zwłaszcza Eldorado [2] i Alhambra [3], urządzone są nie tylko wygodnie, ale nawet wykwintnie. Dość wykwintne krzesła, pokrycie nad głową, schludna scena, ochocza publiczność - i czegóż więcej potrzeba? Teatrzyki te dziwny dla publiczności naszej mają urok i ponętę. Ileż to w tym wszystkim swobody i jakże barwista ich charakterystyka! Teatr i bawar [4], dramat i papierosy, zachwyty sceniczne i noc gwiaździsta nad głową - cóż to za sprzeczne żywioły. W krzesłach widzowie z kapeluszami ponasuwanymi na tył głowy; za barierką [5] publika: prostoduszna, zapalna, ciekawa, wołająca co chwila: „Głośniej! głośniej!", nie ustępująca z placu w ciekawszych miejscach nawet w czasie ulewy, skłonna do oklasków a niecierpliwa. Wreszcie cóż to za mieszanina! Tam młodzi panicze specjalnie przyszli dla brylantowych oczu panny Czesi [6]. Rozmawiają właśnie po francusku, przy czym niedościgniony w rzeczach szyku *prince* Lolo przeciera binokle, a „rozkoszny" *comte* Joujou schwyciwszy się za stopę jednej nogi, zakłada ją na kolano drugiej, pozwalając przy tym podziwiać gawiedzi swoje prawdziwe *fil d'Ecosse* [7] skarpetki; tam kilku szlachty, o opalonych, koloru miedzi obliczach i pogodnym wejrzeniu, rozprawia „mości dobrodzieju" o cenach wełny, zamiast o sztuce, i o zasiewach, zamiast o aktorach. Dalej grupa kantorowiczów [8], poubieranych, wedle ostatniej mody, w kołnierzyki, jakie się tylko w „Journal Amusant" [9] widzieć dają, rozmawia z cicha i tylko od czasu do czasu można usłyszeć w „nacjonalnym langażu" [10] wymówione: „żewu zasiur, Michasz" [11] albo „antrnusuadi, Staszu!" [12]. Dalej kilku literatów; dalej urzędnicy. Za barierą słychać narzecze z Franciszkaner Gasse [13]. Tam znów komety z *demi-mondu* [14] chrzęszcząc sukniami i szczebiocząc, rzucają błyskawicowe z czarno obwiedzionych oczu spojrzenia. Gdzie indziej kilku rzemieślników kłóci się z Żydkiem o miejsce blisko filaru; nad głową szeleszczą liście drzew, od strony bufetu groźne nawoływania; słowem: mieszanina głosów, języków, warstw społecznych, wychowań, usposobień; istna wieża Babel z ludzi połączonych z sobą tylko nadzieją odpoczynku, swobody i rozrywki.

To jednak pewne, że nikt się nie bawi tak szczerze i serdecznie jak właśnie owa

Charakterystyka widzów w teatrach ogródkowych, „Mucha" 1876 nr 33, s. 4

zabarierowa publiczność. Teatra ogródkowe mogłyby dla niej być prawdziwą szkołą moralności.

Dyrektorowie jednak powinni pamiętać, że jeżeli z jednej strony, należy się do pewnego stopnia do smaku publiczności stosować, to z drugiej strony, należy i trzeba koniecznie smak ten w kierunku najszlachetniejszym wyrabiać. Jest to po prostu obywatelski obowiązek. Teatr psuje ludzi, ale i teatr ich podnosi. (D XLVIII 171; GP 1875 nr 115)

[1] Teatrzyki ogródkowe były to letnie teatry pod gołym niebem działające w Warszawie w l. 1868-1907 w ogródkach restauracji, kawiarni czy piwiarni. W tym okresie było ich ok. 20. Mieściły się zwykle w nietrwałych drewnianych budynkach, ze sceną otwartą ku ogródkowi, prymitywnym zapleczem oraz miejscem dla orkiestry lub akompaniatora. Łączono tutaj występy z konsumpcją, stąd właścicielami byli zwykle restauratorzy, którzy angażowali zespoły i wybierali repertuar. Większość teatrzyków, jak np. Antokol, była uboga, ale też zdarzały się eleganckie, takie jak Alhambra, Tivoli czy Eldorado, z zamożniejszą i bardziej wybredną widownią. Repertuar składał się z fragmentów komedyjek, fars, operetek, przeplatanych występami cyrkowymi i baletowymi; z czasem wystawiano jednoaktówki, operetki, wodewile, a w ramach rywalizacji z Warszawskimi Teatrami Rządowymi, również klasykę czy rodzime utwory współczesne. „Ogródki" prawie do końca XIX w. cieszyły się ogromnym powodzeniem. Odegrały w dziejach teatru, nie tylko warszawskiego, dużą rolę. Jako pierwsze teatry prywatne przełamały monopol WTR, stały się szkołą młodych aktorów, często wcześniej niż WTR zapoznawały publiczność z nowym repertuarem. Na podst.: B. Frankowska, *Encyklopedia teatru polskiego*, Warszawa 2003, s. 507-508.

[2] Eldorado – teatrzyk ogródkowy przy ul. Długiej 23 działający od 1868 r. W 1875 r. dyrektorem sceny był Józef Teksel (Texel), który wystawiał w tym czasie m.in. *Słomkowy kapelusz* Eugène'a Labiche'a, *Księżniczkę Trebizondy* Jacquesa Offenbacha. Bywała tutaj głównie „złota młodzież" i przejezdni obywatele. Więcej zob. *Eldorado* „Tygodnik Ilustrowany" 1871 nr 187, s. 50.

[3] Alhambra – teatrzyk ogródkowy założony w 1870 r. przy ulicy Miodowej 15, w miejsce działającego od 1868 Orfeum. W tym czasie występował w nim zespół Anastazego Trapszy. Grano m.in. *Poczciwych wieśniaków* Victoriena Sardou, *Ostrożnie z ogniem* Alfreda de Musseta, *Don Juana* Moliera. Wśród widzów przeważali mieszczanie, kupcy i dziennikarze, Więcej zob. *Teatr ludowy w Alhambrze*, „Tygodnik Ilustrowany" 1870 nr 136, s. 62.

[4] Bawar – piwo bawarskie.

[5] Barierka (szlaban drewniany) oddzielała w „ogródkach" dwa rodzaje miejsc: droższe – siedzące i numerowane oraz tańsze – położone dalej od sceny i stojące.

[6] Czesława Czapska (działała 1864-1880), aktorka występująca w trupie Józefa Teksla (Texla) w Eldorado. Obdarzona nieprzeciętną urodą, pomimo braku talentu, cieszyła się ogromną popularnością ogródkowej publiczności, zwłaszcza gimnazjalistów.

[7] *Le fil d'Ecosse* (fr.) - nić szkocka; skarpetki z bawełny egipskiej merceryzowanej, którą charakteryzuje zwiększona wytrzymałość oraz elegancki połysk.

[8] Kantorowicze - pracownicy kantorów bankowych.

[9] „Le Journal Amusant" – tygodnik humorystyczno-satyryczny wydawany w Paryżu w l. 1856-1933.

[10] W „narodowym języku", żartobliwie o domorosłej francuszczyźnie.

[11] Właściwy zapis w jęz. fr.: *je vous assure* – zapewniam cię, Michasiu.

[12] *Właściwy* zapis w jęz. fr.: *entre nous soit dit* – mówiąc między nami, Stasiu.

[13] Żargon z ulicy Franciszkańskiej na Nowym Mieście, zamieszkanej w większości przez Żydów.

[14] *Demi-monde* (fr.) – półświatek.

Cyrk Salamońskiego i „towarzystwo"

Z życia Warszawy, „Mucha" 1878 nr 14, s. 3

Przedstawienia cyrku p. Salamońskiego [1] tak dalece zaprzątają wszystkie dobrze uczesane i dobrze ukapeluszowane głowy, że w „towarzystwie” prawie nie mówi się o czym innym. Nawet w rozmowie z damami wolno jest spowiadać się z doznanych wrażeń cyrkowych, zwłaszcza gdy się jest młodym i majętnym *gentlemanem*, mającym opinię, która w języku salonowym streszcza się w zdaniu: *Il faut que jeunesse se passe* [2]. Kto by sądził, że w „towarzystwie” zdanie takie przynosi jakąkolwiek ujmę młodzieńcowi, z powodu którego bywa powtarzane, ten nie tylko by błądził, ale zarazem dowiódłby, że jest prostakiem, nie mającym najmniejszego o *high-life* [3] pojęcia. Owszem, naprzód i samo zdanie mieści w sobie tyle pobłażliwości, że owa pobłażliwość kipi z niego jak z przepełnionego naczynia, a po wtóre, opinia trochę lowelasa, trochę utracjusza, a razem wziąwszy: znanego i niebezpiecznego pogromcy serc niewieścich - uważa się nawet za coś, z czym młodemu człowiekowi arcy do twarzy, co daje mu pewien ton towarzyski i na koniec istotnie furtki panieńskich serduszek otwiera.

(...) młodzieniec - niedościgniony wzór szyku i poloru - rozpytywany przez młodą panienkę o cyrk Salamońskiego, rzekł:

- Warto widzieć pannę ***.

- A czy ona jutro jeździ? - spytała panienka.

Mój znajomy oparł się wygodniej o poręcz krzesła, wyciągnął trochę nogi i odrzekł z pyszną niedbałością:

- Mówiła mi, że jutro i pojutrze.

- Jak to, to pan znasz pannę *** osobiście?

Młodzieniec zatoczył szapoklakiem [4], wydobył zza kamizelki fularową błękitną chustkę, przymknął oczy i dotykając z lekka chustką ust, na których błądził jakiś nieokreślony uśmiech, odpowiedział:

- To jest... *un peu!... vous savez...* [5] - I tu zaczyna się niby trochę tłumaczyć. Nie może się zaprzeć, że ją zna. Poznał ją na próbach. On wie, że było z tego powodu dużo plotek. Zawsze tylko o nim i o nim. Ale cóż robić! Jest już do tego przyzwyczajony. Na koniec w pannie *** kochali się za granicą najznakomitsi ludzie z całej Europy, on jeden tylko nie, i może właśnie dlatego... Tu urywa i stara się przejść do innego przedmiotu.

Pan Salamoński po dwuletniej przerwie przywitał w zeszłą sobotę publiczność warszawską.

Sprawiedliwość pzzyznać nam każe, że cyrk posiada wybornych jeźdźców, *dzielne amazonki i prześliczne konie*, będzie więc miał powodzenie.

Radzimy tylko p. Salamońskiemu wprowadzenie małego ulepszenia. Oto niech się postara, żeby konie były *dzielne* a amazonki *prześliczne* a wtedy strach co za powodzenie mieć będzie.

Wiadomości bieżące,
„Mucha” 1875 nr 15, s. 2
ebuw.uw.edu.pl

Co do mnie, mam to przekonanie, że mój znajomy nie zna się z panną ***, bo nie bywa na próbach; na próbach znowu nie bywa, bo nie jest ani hrabią, ani siodlarzem, czyli jest człowiekiem bez pozycji.

W oczach bowiem cyrkowych dwie są tylko kategorie ludzi, z których cyrk żyć może i powinien: hrabiowie i siodlarze. Hrabiowie są to ci wszyscy bez wyjątku, którzy mają pieniądze; siodlarze są to ci, którzy mają siodła. Poza tymi więc dwiema kategoriami nikt nie ma pieniędzy, ani siodeł, z takimi zaś żyć nie warto. (D XLVIII 96-98; GP 1875 nr 74)

[1] Cyrk Alberta Salamońskiego, przyjeżdżający do Warszawy z Berlina, występował od 1872 r. we wzniesionej w tym czasie, drewnianej budzie przy ul. Włodzimierskiej 19 (obecnie Czackiego). W 1875 r. oddano do użytku nowy, większy budynek, który miał tam pozostać do czasu postawienia stałego murowanego cyrku. Salamoński (1839-1913), pochodzący z rodziny żydowskiej zamieszkałej we Włocławku, był wszechstronnie utalentowanym artystą: jeźdźcem, woltyżerem, treserem koni, skoczkiem parterowym i batutowym, klaunem i mimem. Znakomitym woltyżerem cyrkowym był też jego ojciec Wilhelm Salamonsky, którego swego czasu mogła oglądać warszawska publiczność.
Więcej zob. *Nowiny bieżące krajowe*, „Wiek” 1874 nr 193, s. 3; Agni (Stokrotka), *Sztuka cyrkowa – sztuka ludzkich możliwości*, http://kuglarstwo.pl/dropsy/historia_cyrk_nowozytny.php [dostęp: 17.08.2016].

[2] *Il faut que jeunesse se passe* (fr.) - młodość musi się wyszumieć.

[3] *High-life* (ang.) – wyższe sfery.

[4] Szapoklak – składany cylinder.

[5] *Un peu!... vous savez* (fr.) - troszkę... wie pani.

Cyrk Salamońskiego i „towarzystwo”

Czy poczta dla klientów, czy klienci dla poczty

Przed pocztą,
rys. Arkadiusz Mucharski,
„Kurier Świąteczny" 1878 nr 49, s. 4

Czytaliśmy, nie pamiętamy już w jakim piśmie, że w Ameryce powszechne jest oburzenie i powszechne skargi na służbę pocztową żeńską. Starzy skarżą się, że nie mogą nic na czas odebrać, bo urzędniczki kokietują z młodymi ludźmi. Nie tak więc źle jest u nas, jak się zdaje, my bowiem nie możemy się skarżyć, aby zarząd pocztowy lub jego urzędnicy kokietowali z publicznością. Naprzód słyszeliśmy niemało skarg, zwłaszcza od kobiet, że w całym gmachu pocztowym obok napisów rosyjskich nie ma żadnych innych, a przede wszystkim polskich. Cudzoziemiec albo i krajowiec nieumiejący języka urzędowego, błąka się po całym gmachu od Annasza do Kajfasza [1], nie wiedząc, gdzie oddają pieniądze, gdzie je biorą, gdzie odbiera się listy krajowe, gdzie zagraniczne itp. Na dobitkę, Annasz i Kajfasz nie zawsze bywają w dobrym humorze i nie zawsze chcą odpowiedzieć na pytania. Tak więc, jeżeli ma być tabakiera dla nosa, a nie nos dla tabakiery, to jest, jeżeli mają być napisy dla publiczności, a nie publiczność dla napisów, to potrzeba, żeby te były przystępne zarówno dla wszystkich stanów, płci i wieków.

Co do poczt, doszła nas jeszcze jedna, radosna wiadomość. Oto można będzie posyłać listy z Warszawy w okolice Warszawy. Do tej pory z Warszawy można było pisać do Jedo [2], do Bangkok, do Rio-Janeiro itp., ale nie do Wilanowa, Mokotowa etc. Trudno uwierzyć, a jednak tak było. Teraz ma być urządzona komunikacja. Jak prędko to się jednak stanie – nie wiemy. Im prędzej, tym lepiej.

(D XLVII 159; N 1875 t. 7, s. 213-21)

[1] Od Annasza do Kajfasza – chodzić bezskutecznie od jednej instancji do drugiej; bezskutecznie usiłować załatwić jakąś sprawę w urzędzie.

[2] Jedo (Edo) – dawna nazwa Tokio, stolicy Japonii.

Czy poczta dla klientów, czy klienci dla poczty

Diariusz Wielkiego Tygodnia

Święta,
rys. Franciszek Kostrzewski,
„Kolce" 1876 nr 16, s. 121
ebuw.uw.edu.pl

Oto i Wielki Tydzień. Jeżeli jesteś żonaty, o czytelniku! to wiesz, co to znaczy. Żona zapowiada ci, że nie myśli wprawdzie piec święconego, ale ot... byle tam coś mieć dla gości - i od tej chwili poczyna się w domu jarmark. Zamiast zwykłych rozmów słyszysz tylko narzekania, że jaja podrożały, że rzeźnicy zdzierają, że trzeba kupić to rodzynków, to gorzkich migdałów, to słodkich, to maczków, to fig, to orzechów. Coraz to cięższej wzdychasz - i coraz częściej sięgasz ręką do kieszeni. Coraz to częściej słyszysz przy tym takie zdania, jak np.: „Ja także jestem oszczędna i z pewnością nie wydam więcej, niż potrzeba, ale przyznam się...". Tu następuje lekkie ruszenie ramionami i pewien grymasik, który rozumiesz tak dobrze jak i ja. Źle: żona w coraz gorszym humorze. Frazes: „Nudzisz, mój drogi!" poczyna stawać się w jej ustach przysłowiem. Z kuchni dochodzą cię dialogi tak ożywione i tak smaczne, jak echa „Przeglądu Tygodniowego" [1]. Na dobitkę post. Żona nie da z mięsem. Na próżno rzucasz w przejściu wzrok pełen namiętności na czerwone wzgórzystości szynek i wieńce wonnych kiełbas. A uciekniesz z domu i zjesz w restauracji z mięsem, to znów wyrzuty sumienia męczą cię. Coraz gorzej! Ktoś dzwoni: wchodzi rządca domu z listą przesłaną z magistratu, uśmiecha się, jakby coś najdowcipniejszego miał powiedzieć, i z niezwykłą tej potworze słodyczą mówi, pokazując mu listę: „Oto nazwisko pana dobrodzieja... pan dobrodziej zechce wpisać, ile ofiaruje na biednych". - A ty odpowiadasz: „Ofiaruję diab... chce mówić diabelnie niewiele, bo ciężkie czasy" - i ofiarujesz jakiegoś tam rubla, bo mniej dać nie wypada. W Wielki Piątek, gdy wszyscy mężowie z żonami i dziećmi żon swoich (jak mówi Pismo) idą na groby, idziesz i ty, wedle starego obyczaju, z żoną i małym Jasiem. Wchodząc do kościoła, starasz się przemknąć między dwoma stolikami, przy których kwestują arystokratyczne damy; patrzysz w sufit sklepienia kościoła i odkrywasz w nim nieznane ciekawości, które nie pozwalają ci zauważyć, że właśnie arystokratyczna dama uderza pierścionkiem w tacę i uśmiecha się, spoglądając na ciebie wzrokiem przechodzącym wszelkie pojęcie, jakie o uprzejmości

Diariusz Wielkiego Tygodnia

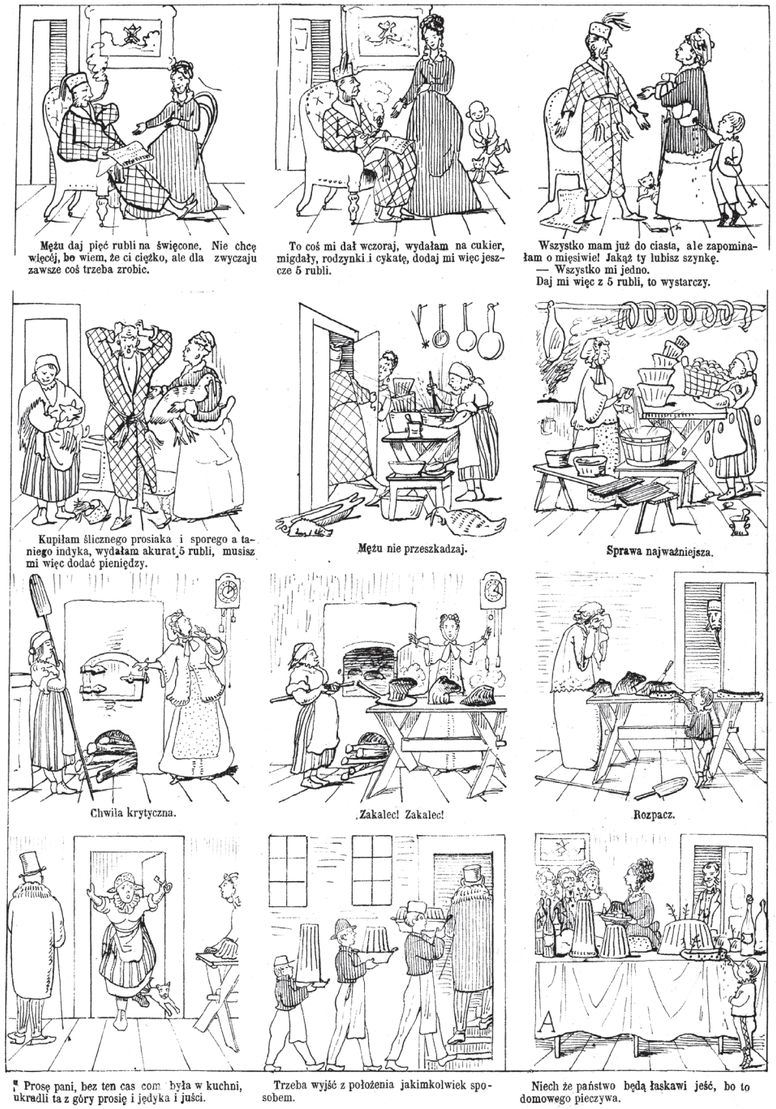

mieć można. Już sądzisz, że dzięki sklepieniom przemknąłeś się między Scyllą a Charybdą [2], gdy nagle słyszysz głośne: „diaaa!" swojego Jasia. Co się stało? Jaś poszedł do stolika, dostał od damy obrazek i dziękuje jej. Cóż robić! Trzeba i tobie za Jasia podziękować. Wydobywasz trzy ruble. „Jaki grzeczny pański synek! - słyszysz od arystokratycznej damy - jak się grzecznie kłania!". - Już ja mu się ukłonię - myślisz sobie - jak tylko przyjdziemy do domu - i wreszcie wracasz do domu zły, bo lekki i głodny.

Wielka Sobota: nie podobna w domu wytrzymać! Coś się tam przypaliło czy przyswędziło czy przydymiło. Jaś łasował rodzynki z brytfanny i sparzył się. W domu krzyk, zgiełk, hałas. Żona nieubrana, nieuczesana, zamęczona. Przekonywasz się, że jest to osoba opryskliwa, wychodzisz na ulicę i przychodzisz późno w nocy.

Wielka Niedziela. Ranek. Jesteś zły; nie patrzysz na żonę. Idziecie do kościoła. Godzina 1: wracacie. Żona wychodzi do drugiego pokoju i wkrótce wraca niosąc talerz z jajkiem święconym. Spoglądasz na nią. Cóż to za rozkoszna, milutka i czyściuchna istota! Ciemne jej włosy wiją się ślicznie uczesane nad białym czołem, a w łagodnych niebieskich oczach ma łzy. Padacie sobie w objęcia i rozczulacie się. Godzina kwadrans na trzecią: zjadłeś święcone, napiłeś się ciepłego bulionu, nakładasz fajkę, siadasz koło żony na kanapie i poczynasz śpiewać:

Raz gdy w gaiku zielonym
Korydon ujrzał Palmirę... [3]
(etc. na nutę: *Było to pod Ciechocinkiem*).

(D XLVIII 93-95; GP 1875 nr 63)

[1] „Przegląd Tygodniowy Życia Społecznego, Literatury i Sztuk Pięknych" – czołowy organ warszawskich pozytywistów wydawany w Warszawie w l. 1866-1904.

[2] Między Scyllą i Charybdą – znaleźć się w sytuacji bez wyjścia, w niebezpieczeństwie zagrażającym z obu stron. Scylla i Charybda to w mitologii greckiej dwa potwory morskie czyhające na żeglarzy po obu stronach cieśniny Mesyńskiej.

[3] Palmira ukochana Korydona, bohatera wierszy Franciszka Karpińskiego.

Przygotowania wielkanocne,
„Mucha" 1875 nr 13, s. 4
ebuw.uw.edu.pl

Diariusz Wielkiego Tygodnia

Domorosłe talenty w Instytucie Muzycznym

Przegląd roku 1874,
„Mucha" 1875 nr 2, s. 4
ebuw.uw.edu.pl

Chcę mówić o popisach w rozmaitych zakładach naukowych. Oto znowu skończył się rok szkolny. Ci, co nie wyszli jeszcze z gimnazjów, posunęli się o klasę wyżej, ci, co skończyli, wejdą do uniwersytetu, z którego znów za jakie kilka lat wyjdą, aby na nowo rozpocząć naukę w wielkiej szkole doświadczeń, doli i niedoli, walki o kawał chleba, w szkole życia na szerokim świecie. (...)

Obok popisów szkolnych odbył się w zeszły piątek i popis w Instytucie Muzycznym [1], na którym śpiewano, grano na rozmaitych instrumentach, dęto w dęte, rznięto w rznięte, egzekwowano przeróżnych mistrzów, a uroczystość ta na większą chwałę Apollina i pożytek instytucji zwabiła dość licznych słuchaczów, amatorów muzyki, których nie brak u nas - Warszawa liczy się bowiem do najmuzykalniejszych miast na świecie!... Wiedzą o tym wszyscy, którzy potrzebując dla pracy umysłowej spokojnego kąta, na próżno szukają go w najodludniejszych nawet ulicach. Głos fortepianów ściga ich wszędzie, niby wyrzut sumienia; nie daje im odpoczynku ani we dnie, ani w nocy; przeszkadza pisać, przeszkadza myśleć, przeszkadza spać; przeróżne walce i poleczki rozstrajają nerwy. Jedyna na to rada: siąść do fortepianu samemu i własnymi palcami zagłuszać palce innych.

Gdyby przynajmniej grano dobrze; ale te domorosłe talenta w poczuciu osobistej samodzielności nie krępują się zbyt muzykalnymi przepisami. Zresztą, znajdują zwykle pobłażliwych słuchaczów, słuchaczami bowiem na familijnych, dawanych przez córeczki koncertach bywają matki, przyjaciele domu i pretendenci do obrączki ślubnej. Pierwsze drzemią uprzejmie podczas koncertu na kanapach, drudzy wybijają z rozpaczy nogą takt pod stołem; a lubo posyłają na dno piekieł instrumenta i artystki, czują się jednak w obowiązku urzędownie rozpływać z radości. (D XLVII 83, 85; GP 1873 nr 143)

[1] Instytut Muzyczny założony przez Apolinarego Kątskiego (1825-1879), skrzypka, kompozytora, jednego z najwybitniejszych wirtuozów swojej epoki, mieścił się w pałacu Ostrogskich na Tamce – obecnie siedziba Muzeum Fryderyka Chopina. Tradycje Instytutu sięgały roku 1810, w którym to Wojciech Bogusławski powołał do życia Szkołę Dramatyczną przy Teatrze Narodowym, przeznaczoną dla jego aktorów i śpiewaków.

Domorosłe talenty w Instytucie Muzycznym

Dorożkarze udzielający bezpłatnych lekcji gimnastyki

ROZJECHANIE
Wychodzi się na plac teatralny i *basta*.

Podręcznik dla samobójców czyli jedyny praktyczny zbiór przepisów odebrania sobie życia tanio i wygodnie [fragment], rys. Arkadiusz Mucharski, „Mucha" 1878 nr 47, s. 4

Gdyby jaka nowożytna Marta chciała, jak owa w balladzie Szyllera, wystawić u nas w Warszawie na próbę męstwo swego Emroda [1], nie potrzebowałaby wcale rzucać rękawiczki „między tygrysa i między dwa lamparty", ale na przykład na rogu Bielańskiej, Senatorskiej i Teatralnego placu. Próba skończyłaby się zapewne tak jak w balladzie, z tą jednak różnicą, że w balladzie Emrod więcej nie wrócił do Marty, bo nie chciał, a nasz na pewno by nie mógł.

Łatwo się bowiem domyśleć, że nasi dorożkarze załatwiliby się z jego kościami i prędzej, i lepiej, niżby to mogły potrafić tygrys i dwa lamparty. Ależ jeżdżą, bo jeżdżą! Już to wszystkie skręty ulic są dla przechodzących prawdziwym Rubikonem, na przejście którego niełatwo i niezbyt bezpiecznie się ryzykować, ale wspomniany róg Bielańskiej i Senatorskiej przechodzi wszystko, o czym można zamarzyć. Dla mieszkańców Warszawy jest to prawdziwa szkoła gimnastyki, w której nauczycielami są nasi woźnice. Choćbyś, czytelniku, był najmniej zręcznym, mimo woli nauczysz się rozmaitych wyginań, łamańców i skoków. Trudno bo ci i nie skoczyć, kiedy nagle np. uczujesz gorący oddech koni za kołnierzem, a dyszel blisko ronda twego kapelusza. Sam potem nieraz zdziwisz się własnej zręczności, bo gdyby tobie - człowiekowi spokojnemu - kazano umyślnie wykonywać podobne sztuki, pewnie byś wolał nawet... (co by tu strasznego wymyślić?), nawet przeczytać wszystkie poezje naszych młodych poetów, nawet tłoczyć się przed okienkiem pana kasjera przed przedstawieniem pierwszy raz granej sztuki, nawet mieć interes z urzędnikami niektórych ubezpieczeń od ognia, niż ważyć się z własnej ochoty na tego rodzaju sztuki.

A jednak, dzięki naszym dorożkarzom, takie sztuki wykonywamy wszyscy codziennie. Ha! trudno! Nie nauczymy się jeździć wolniej na skrętach. To mógłby sprawić chyba tylko wyraźny rozkaz odpowiedniej władzy. Zresztą, gimnastyka podobno idzie na zdrowie; że więc tam komuś przejadą czasem dziecko lub że sam nie doliczy się wszystkich kości, powinien wiedzieć, że cierpi *pro publico bono* [2].

(W cyrkule Sobornym [3] Konstanty Kirszenstein, chroniąc się przed jadącym ekwipażem, upadł i wybił sobie trzy zęby. W tymże cyrkule

Dorożkarze udzielający bezpłatnych lekcji gimnastyki

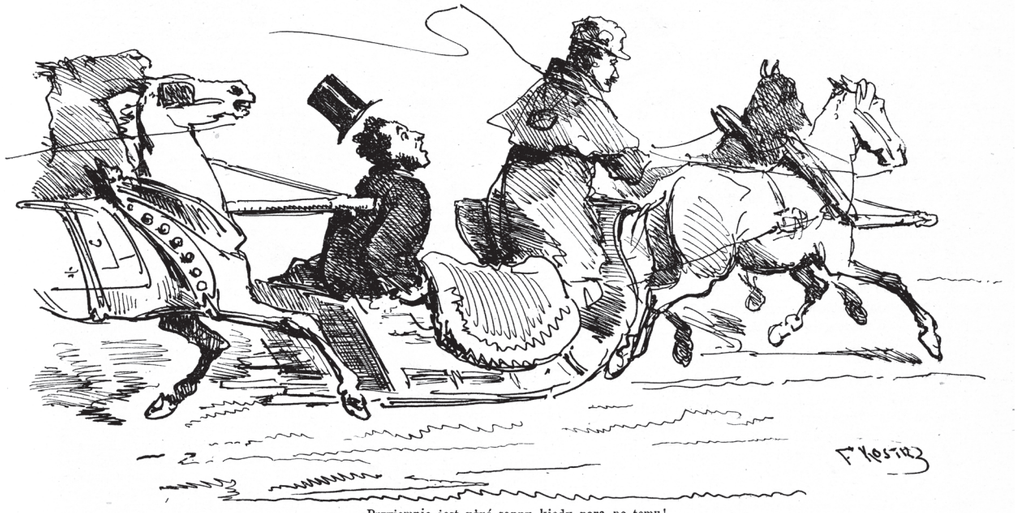

Przyjemnie jest użyć sanny kiedy pora po temu!

Zimowe przyjemności w Warszawie [fragment],
rys. Franciszek Kostrzewski,
„Kolce" 1875 nr 10, s. 77

na ulicy Senatorskiej Haim Majfeld, furman, najechał na przechodzącą damę, którą koń uderzył w głowę; furman przyaresztowany w celu ukarania go według prawa [4]. – „Gazeta Policyjna" [5]).

We wszystkim są dwie strony. Kiedy np. idziesz przez Teatralny plac, nie myśląc zresztą jechać, a nagle z szeregu wypada na ciebie z dziesięć dorożek, tak że sam nie wiesz, w którą stronę uciekać, to także ma dwie strony: złą, bo musisz uciekać, i dobrą, bo jeśli istotnie masz zamiar siąść, to już ci tak blisko, że bliżej być nie może. To pewna, że gdyby np. w Berlinie, gdzie ludzie mniej są zręczni, dorożkarze jeździli tak jak u nas, połowa jego mieszkańców padłaby ofiarą ich gorliwości.

Obecnie niebezpieczeństwo dla nas zwiększa się jeszcze, albowiem nadchodzi czas sanny, a wiadomo, że sanną zamaszyściej się jeździ niż kołową. Trudniej przy tym uciekać, bo znów panuje u nas ten dobry zwyczaj, że konie biegną środkiem ulicy, a sanki to już tam, jak sobie chcą - koło lewego chodnika lub prawego, zależnie od tego, na którą stronę się zatoczą. (D XLVII 115-117; GP 1873 nr 258)

[1] Marta i Emrod – postaci z ballady Fryderyka Schillera *Rękawiczka* (tł. A. Mickiewicza).

[2] *Pro publico bono* (łac.) – dla dobra ogółu.

— Wiele chcesz na Terespolską?
— Rubelka — niech Pan siada.
— Nie-e-e-e!— Ja się tylko pytam, żeby wiedzieć wiele też oszczędzę idąc piechotą....*)

*) Dla uniknienia nowych polemik dotyczących grzeczności dorożkarskiej, nie podajemy ostatniej odpowiedzi zacnego woźnicy.

Dorożkarz bez wychowania,
„Kolce" 1875 nr 23, s. 179

[3] Cyrkuł soborny – rewir policyjny; nazwa pochodziła od soboru (cerkwi) i dotyczyła katedry prawosławnej mieszczącej się w przebudowanym w l. 1835-1837 kościele pijarów przy ul. Długiej 13. Obecnie znajduje się tutaj Katedra Polowa Wojska Polskiego.

[4] Wypadki spowodowane przez dorożkarzy odnotowywała warszawska prasa: „Onegdaj wieczorem w obecności jednego z naszych reporterów dorożkarz zawracający szybkim pędem z Nowego Światu w ulicę Jerozolimską, przewrócił jakiegoś staruszka niemogącego uciec przed końmi, na szczęście nie bardzo szkodliwie, gdyż staruszek skarżył się tylko na stłuczenie boku. Reporter nasz pogonił za dorożkarzem, ale winowajca uciekał bardzo szybko, a że latarnie ciemno się paliły, niepodobna więc było numeru rozpoznać. W dorożce siedziały dwie osoby". „Kurier Warszawski" 1875 nr 154, s. 2.

[5] „Warszawska Gazeta Policyjna" - organ policmajstra warszawskiego wydawany w l. 1845-1915 (od 1868 w jęz. ros. i pol., od 1911 tylko w jęz. ros.) publikujący jego rozporządzenia, wiadomości bieżące, informacje o wypadkach. W celu przyciągnięcia większej liczby czytelników w gazecie zamieszczano później również część literacką. Prenumerata dziennika obowiązywała wszystkich właścicieli lub administratorów domów w Warszawie.

Dorożkarze udzielający bezpłatnych lekcji gimnastyki

Farbiarnia nadzieją na oszczędności

— Możebyśmy się tu zatrzymali przed magazynem, bo doprawdy mój mężulku, — nie wiem gdzie my idziemy?

— Gdzie my idziemy? — ja także nie wiem, — ale gdzieś mnie doprowadziła ciągłem twojem chodzeniem do magazynów, o tem każdy może się dowiedzieć spojrzawszy na moje połatane ubranie.

Gdzie my idziemy?,
„Kurier Świąteczny" 1875 nr 31, s. 1
ebuw.uw.edu.pl

Oto w Grochowie, pod Warszawą, powstał zakład farbierski [1], w którym sztukę posunięto tak daleko, jak wieść głosi, że stare fraki nabierają barwy, blasku życia, świeżości, znoszone sukna odmładzają się w oczach, zgrzybiałe jedwabie odzyskują pierwotną tęgość i połysk - słowem, sprawdziła się bajka o odmładzającej wodzie.

Muszą się z tego zakładu cieszyć serdecznie mężowie młodych żon i ojcowie dorosłych córek (boć kobiece ubranie drożej kosztuje jak męskie). „Chwała Bogu - mówi mąż - taki zakład to prawdziwe dobrodziejstwo! będziecie panie miały zawsze nowe suknie i nosić je..." - „Na co dzień - zapewne! - kończy z silnym naciskiem na „zapewne" małżonka lub córa - na co dzień, zwłaszcza na „po domu". A w duchu dodaje sobie: „Pięknie bym wyglądała w Saskim [2] lub w Botanicznym Ogrodzie! [3] Nawet w Dolinie Szwajcarskiej [4], gdy tam Gungl [5] grywać zacznie, nie mogłabym się pokazać, ani na żadnym spacerze, jednej tylko Saskiej Kępy wyjąwszy. Do kościoła wreszcie byłoby to może także dobre, ale chyba nie na ostatnią mszę - a wcześniej tam chodzić nie ma po co!...".

Nietrudno zgadnąć, na czym stanie. Oszczędność męża i ojca źle się wybrała; oszczędzić więc gotów na edukacji dzieci... Lepiej, żeby te zamiary oszczędności skończyły się na jego własnym ubraniu, jeśli to być może. Oszczędzać na edukacji dzieci, jest to narażać je przez całe życie na ogromne wydatki na stroje. (D XLVII 63; GP 1873 nr 110)

[1] „Fabryka prowadzoną będzie pod firmą G. Wiktor i spółka. Sklep fabryki otwartym będzie wkrótce na Krakowskiem-Przedmieściu wprost Zjazdu w domu Dobrycza" – informował przyszłych klientów zakładu „Kurier Warszawski" (1873 nr 83, s. 2). Wg „Dziennika Warszawskiego" (1873 nr 236, s. 1000) poprzednim właścicielem farbiarni był Bernard Weschke, który sprzedał ją kupcowi warszawskiemu Judlinowi. Więcej zob. J. Berger, *Dzieje Grochowa do 1916 r.* „Rocznik Warszawski" T. 6 (1967), s. 78.

[2] Ogród Saski zob. s. 125

[3] Ogród Botaniczny zob. s. 230

[4] Dolina Szwajcarska zob. s. 116

[5] Josef Gung'l zob. s. 212

Farbiarnia nadzieją na oszczędności

Fartuszki w tanich kuchniach

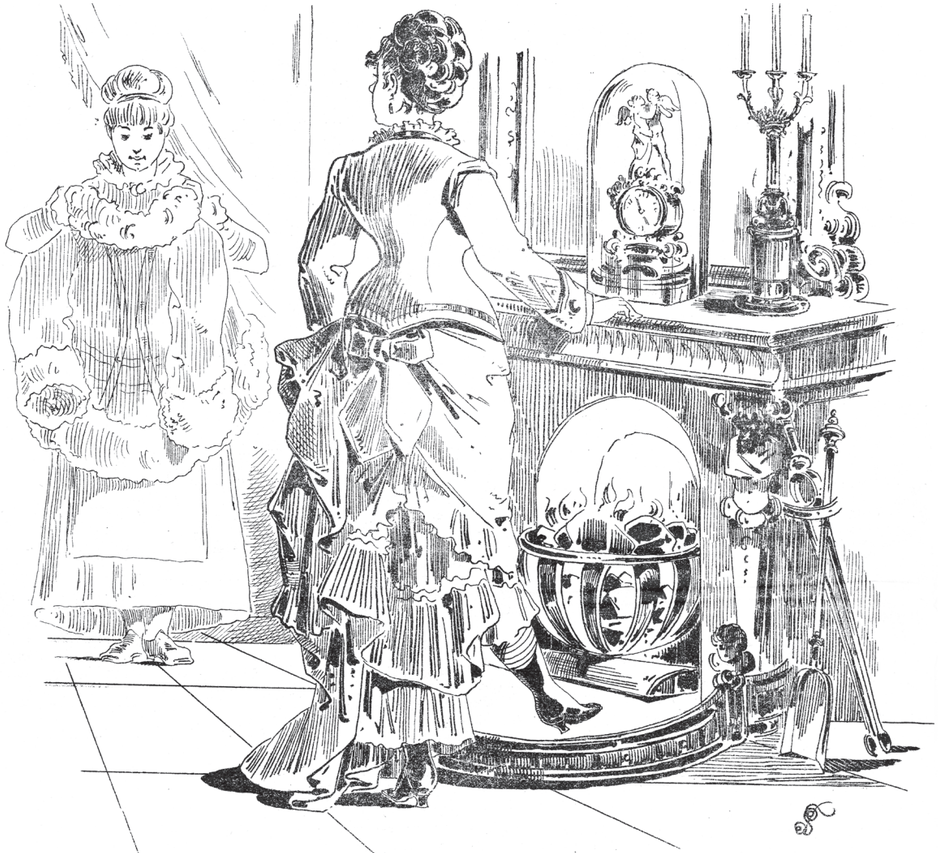

— Niech ich tam Pan Bóg ma w swej opiece z tym Bazarem,—zziębłam tak, że nóg nie czuję.
— Bo też Jaśnie Pani nigdy berlaczów nie nosi . . . . .
— Żebyś ty miała tyle co ja gapiów przy każdem wsiadaniu i wysiadaniu z powozu, tobyś tak nie mówiła.

Męczenniczka filantropii,
„Kolce" 1875 nr 52, s. 412

Wspomniałem tanie kuchnie [1]. Jakoś ucichło o nich, a że to, bądź co bądź, instytucja publiczna, pozwolicie zatem, czytelnicy, że w imieniu waszym i swoim narobię hałasu i spytam: co tam z nimi słychać? Radzi byśmy ujrzeć jakieś sprawozdanie, radzi byśmy wiedzieć, jak tam idzie: w górę czy na dół? Czy instytucja się wzmaga i rozwija, czy opada i kiśnieje, tak jak wszystko u nas? Również ciekawi jesteśmy, co się dzieje z dyżurami dam? Czy to była moda chwilowa tylko, która przyszła, przeszła i znikła, czy poczucie obowiązku?

Co do mnie, nigdy nie chciałem wierzyć złośliwym językom, które twierdziły, jakoby damy nasze przyjmowały dyżury tylko dlatego, że z tej okazji można się było ubrać w kupiony u Penkali [2] lub Thonnesa [3] biały, gosposiowaty fartuszek z kieszonkami. Wiem wprawdzie, że jeden taki fartuszek kosztował tyle, że można by za niego kupić tani obiad dla trzydziestu przynajmniej wyrobników; wiem, że nieczuli mężowie, nie uwzględniając wysoce filantropijnych celów, w jakich były kupowane fartuszki, ani poświęcenia małżonek, kręcili głowami i krzywili się, jak środa na piątek, na wydatki, jakie cała ta, jak ją po grubiańsku nazywali, dobroczynna komedia zwykle za sobą pociągała. Wiem, powtarzam, to wszystko, a jednak patrzyłem na rzecz zawsze z najlepszej strony. Co chcecie? Lubiłem zawsze fartuszki, a nawet dotąd przyjaciele nazywają mnie z powodu mej słabości do płci pięknej Fartuszkiewiczem. A przy tym, komuż nie rozpływało się serce na widok tych dam przyzwyczajonych do zbytku i elegancji, a uwijających się z talerzami w ręku; szczebiocących wesoło po francusku i tak dowcipnie a lekko i niewinnie przedrwiwających „manijery" i złe ułożenie tych, którym posługiwały. Nieraz zdarzało się, że jakiś nieokrzesany, gburowaty robotnik nie wiedząc, do kogo mówi, odwracał przez plecy głowę do dyżurującej damy i wyjąwszy na chwilę z ust drewniany cybuszek wołał: „Panno! prosiłem już o kawałek śledzia za trzy grosze!". A niewzruszona niczym dama, z wyrazem anielskiej cierpliwości i rezygnacji, zwracała piękne oczy do otaczających ją

Fartuszki w tanich kuchniach

i „robiących jej kurę”[4] galopantów[5] – i wygłosiwszy zarówno głębokie jak pełne chrześcijańskiej wzniosłości zdanie: *Ça est inévitable!*[6] – kazała robotnikowi podawać śledzia za trzy grosze. (D XLIX 138-139; GP 1875 nr 219)

[1] „Kuchnie tanie przeznaczone są dla ludności niezamożnej i mają charakter pół dobroczynny, pół ekonomiczny. Przygotowują w nich obiady mięsne i postne, całe i połowiczne. Obiady wydają się od godziny 12 w południe do 1, mogą być brane i na miasto. Za cały obiad płaci się kopiejek 11, za pół obiadu kopiejek 6. Obiad składa się z zupy i mięsa z jarzyną oraz kawałka chleba. Obecnie istnieją dwie tanie kuchnie, jedna na ulicy Freta nr 8 w gmachu podominikańskim, druga przy ulicy Chmielnej nr 31. (...) Dla bezpośredniego nadzoru nad sporządzaniem i wydawaniem obiadu codziennie odbywają dyżury uproszone w tym celu damy. (...) Kuchnie tanie oddają wielkie usługi, bezpośrednio dając niezamożnym osobom pożywienie zdrowe i tanie, pośrednio też są hamulcem drożyzny w tak zwanych garkuchniach. Przecięciowo dziennie w obu kuchniach jada osób około 600. Korzystają głównie wyrobnicy, ale przychodzą też niezamożni uczniowie, b. urzędnicy i wojskowi i podupadli mieszkańcy. Klasy rzemieślnicze mały biorą udział”. F. Fryze, I. Chodorowicz, *Przewodnik po Warszawie i jej okolicach na rok 1873/4...* ułożony i wyd. przez..., Warszawa 1873, Dział dobroczynny, s. 395. Więcej zob. B. Mellerowa, *Tanie kuchnie* w *Warszawie w latach 1869-1914*, „Kwartalnik Historii Kultury Materialnej” 1974 nr 1, s. 75-85.

[2] „Julian Penkala dawniej Ksawery Szlenker. Magazyn bławatny z pracownią strojów i sukien damskich. Magazyn futer z pracownią kuśnierską. Magazyn dywanów i obić meblowych. Skład płótna i bielizny gotowej”, ul. Senatorska 459.

[3] „Magazyn towarów bławatnych, okryć i sukien damskich Jana Thonnes”, ul. Senatorska 496.

[4] „Robić kurę” zob. s. 43

[5] Galopant – przestarzałe; żartobliwie: zalotnik, konkurent.

[6] *Ça est inévitable!* (fr.) - to jest nieuniknione.

Głód kultury

Wiadomości bieżące,
„Mucha” 1875 nr 8, s. 2
ebuw.uw.edu.pl

Gorączkowa chęć zrobienia pieniędzy w budownictwie

Zima! Wczesnym wieczorem miasto błyszczy tysiącami lamp po sklepach lub spogląda wesoło oświeconymi oknami mieszkań, w których rodziny zabierają się już do zwykłych na zimowe wieczory zajęć.

Wśród tej powodzi świateł najżywiej jednak płoną okna teatrów, barwiąc różowym światłem szary blask uliczny i nęcąc przechodniów, niby urocze oczy, pełnym obietnic mruganiem. Istotnie, warto zawierzyć tym obietnicom, albowiem co kilka dni czerwony afisz zapowiada nam nowe sztuki! Już jeśli kiedy, to obecnie nie ma powodów narzekania na reżyserię, albowiem trzyma się wcale odmiennej niż poprzednio metody. Dawniej, spoglądając na afisz, kiedyś ujrzał np. nieśmiertelne: *Było to pod Wagram* [1], myślałeś sobie ze smutkiem w duszy: było to wczoraj, było onegdaj, a będzie to jutro i pojutrze! Dziś bywa inaczej, a że teatr, zarówno jak i publika, dobrze na tej odmianie wychodzi, dowodem tragikomiczne sceny, które się dzień dziennie rozegrywają przy kasach.

Nigdy darwinowska walka o byt nie odbywała się tak zgiełkliwie jak ta, w której bronią jest łokieć, celem bilet, nagrodą słodkie, karą po przegranej kwaśne humory naszych żon i córek. Ile tam gwaru, ile tłoku, hałasu, popychań, ile połamanych kapeluszy, zaklęć, złorzeczeń, gorących modlitw do tego nieubłaganego dzierżyciela losów przedokienkowych suplikantów. Ale za to na tle tego chaosu jakże wzniosłe myśli może budzić to znane wszystkim niewzruszone oblicze spoglądającego spoza szyby szklanej z niewzruszonym spokojem na zabiegi i walkę tłumów o te czerwone i żółte kartki. Na próżno tłum ciska zaiskrzonym wzrokiem na faszerowaną nimi księgę leżącą poza ramą okienka; na próżno prosi się, dobija, popycha, wre, szumi, błaga i złorzeczy, na obliczu owym ani na chwilę nie znika ta godność i spokój, świadectwo poczucia swej wyższości ponad zwykłych śmiertelników tego świata.

Co za antyteza, godna Wiktora Hugo: spokój obok zamętu, pogoda obok burzy, cisza obok wrzawy, majestat wobec tłumów.
(D XLVII 117–118; GP 1873 nr 258)

[1] *Było to pod Wagram* – komedia w 1 akcie mająca swoją premierę w warszawskim Teatrze Rozmaitości 1 stycznia 1863 r. Jej autorami byli Eugène Pierre Grangé i Lambert Thiboust.

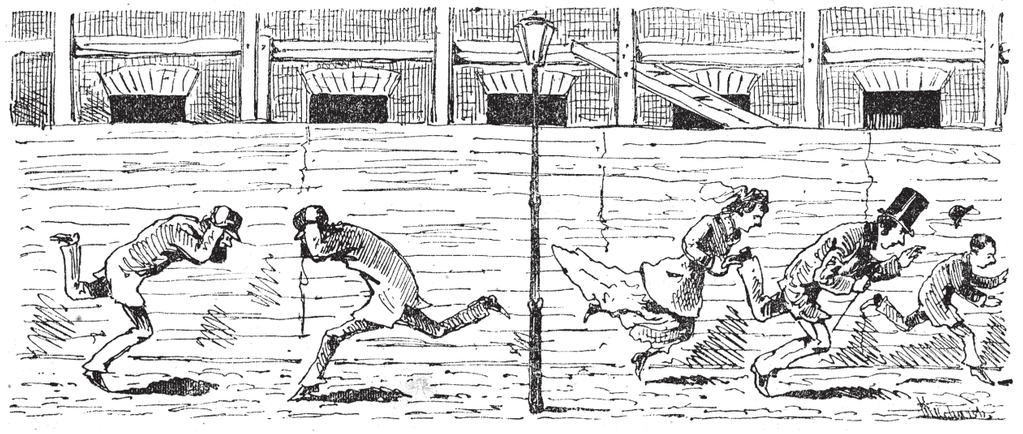

Przejście obok nowo budujacych się domów,
rys. Arkadiusz Mucharski,
„Kurier Świąteczny" 1879 nr 27, s. 4

Gorączkowa chęć zrobienia pieniędzy jakimi bądź środkami zaczyna coraz silniej palić się w spokojnych dotąd głowach naszych filistrów i przybierać charakter niepokojący. Gwałtowny symptomat owej *febris aurea* [1] mieliśmy w zeszłym tygodniu [2], w którym aż trzy stawiające się niedaleko Pawiej ulicy domy, wskutek nieuszanowania fizycznych praw ciężkości zwaliły się na głowy robotników. W jednym z nich naliczono sporo ofiar. Późniejsze wieści donosiły nawet o większej liczbie zwalonych domów. Bezpośrednim tego skutkiem będzie - czy wiecie, czytelnicy, co? - oto najprawdopodobniej podniesienie komornego w całej Warszawie. Trzy domy mniej to znaczy przynajmniej sto mieszkań mniej, mieszkania więc zdrożeć powinny. - Dobrze! - mówicie - musimy płacić, ale niechże przynajmniej za to sufity nie zapadają się nam na głowy. - O prostaczkowie! prostaczkowie! Właśnie dlatego, że sufit lada chwila może upaść wam i mnie na głowy, musimy drożej płacić. Jeżeli sufit istotnie się zapadnie, to - pominąwszy was i w ogóle lokatorów, którzy w rachunek nie wchodzą - gospodarz straci od razu cały kapitał. Kiedy więc kapitał może stracić, niechże przynajmniej, nim go, tj. gospodarza, do kozy za zwalenie się domu zaprowadzą, ma przyzwoity procent od swego tak niepewnie lokowanego kapitału.

Ale uspokój się, o czytelniku! jesteśmy pomszczeni. Od dziś dnia żaden gospodarz nie chce w swoim własnym domu mieszkać, każdy więc będąc gospodarzem będzie zarazem lokatorem, a zatem będzie, na równi z nami, żywcem ze skóry odzierany. Jeden będzie pożerał drugiego. To nawet dość zabawne! Znacie tę bajkę: złapano raz szczupaka, w którego żołądku znaleziono jeszcze mniejszego itd. Podobna historia się powtórzy. Chyba że prawo przełamie tę niechęć do mieszkania we własnych domach rozkazem, ażeby każdy właściciel - po wybudowaniu domu - dla wypróbowania takowego mieszkał w nim przed wszystkimi lokatorami przez rok jeden.

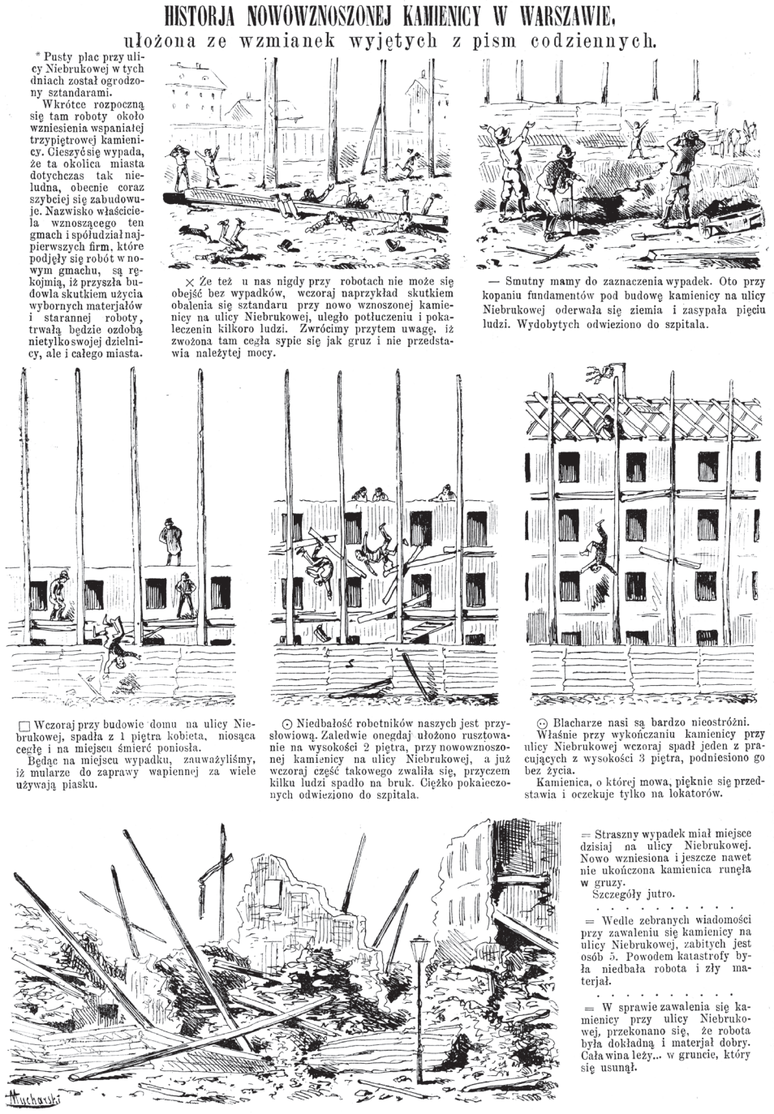

Historia nowo wznoszonej kamienicy w Warszawie, ułożona ze wzmianek wyjętych z pism codziennych,
rys. Arkadiusz Mucharski,
„Mucha" 1878 nr 49, s. 4

Gorączkowa chęć zrobienia pieniędzy w budownictwie

Ale żarty na bok: wróćmy teraz do owych kół bolesnych, w które każdy dobrowolnie się wplata. Owóż, gdyby właściciele tych zwalonych budowli chcieli byli pomyśleć o stawianiu ich na mieszkanie, nie na spekulację; gdyby nie ich iluzje, że budowanie, jak to mówią, „na okpisza", może być dobrym interesem; gdyby się nie łudzili nadzieją, że im się uda dom pozornie dobrze wybudowany sprzedać z zyskiem i móc sobie potem powiedzieć: *Après moi le déluge* [3], gdyby rozumieli, że życie najuboższego robotnika, a nawet biednego lokatora, który do takiej pułapki będzie zmuszony się wprowadzić, warte jest przynajmniej tyle, ile ich napełniona kieszeń – to by może stawiali domy nie na gruz i piasek, ale na czystą cegłę. Kontentowaliby się mniejszym zyskiem przy sprzedaży, a co najważniejsza, nie narażaliby się na przeprowadzenie się z tak ruchomych nieruchomości do stojącego na nieuszkodzonych fundamentach w sąsiedztwie gmachu, który będzie sceną epilogu czy też piątego aktu rozegranego przed naszymi oczyma dramatu. Za późno, ale nieuchronnie przychodzi rozpamiętywanie. Lepiej było wyrzec się kilku tysięcy rubli, a nie siedzieć tutaj w smutnej ciupie i przez kratę na świat boży i na rozwijającą się wiosnę spoglądać. A któż im winien? Sami winni!
(D XLVIII 119-120; GP 1875 nr 84)

[1] *Febris aurea* (łac.) – gorączka złota.

[2] Wg sobotniego wydania „Kuriera Warszawskiego" (1875 nr 83 z 17 kwietnia, s. 1) w mijającym tygodniu wydarzyły się cztery katastrofy budowlane. Trzy miały miejsce w poniedziałek 12 kwietnia przy ul. Dzikiej (dom p. Halperna), Pawiej (pod nr. 14) i Smoczej (naprzeciwko Zakładów Garbarskich Pfeiffera). Najtragiczniejsza w skutkach nastąpiła w czwartek 15 kwietnia przy ul. Dzikiej nr 8, w domu będącym własnością p. Tajtelbauma.

[3] *Après moi le déluge* (fr.) – po mnie choćby potop.

Harce na Marszałkowskiej

Marszałkowska ulica,
rys. Arkadiusz Mucharski,
„Kurier Świąteczny" 1881 nr 24, s. 4

Pod względem kurzu niektóre ulice są szczególniej uprzywilejowane. Tradycja jeżeli nie niesie, to mogłaby nieść, że na przykład Marszałkowska [1] ulica zbudowana była na rozstajnych drogach, gdzie za króla Ćwieczka „złe" wyprawiało harce na przestrach podróżnym. Istotnie, dzieją się tu nieraz rzeczy zadziwiające. Idziesz sobie na przykład w najspokojniejszy dzień, kiedy powietrza nie wzrusza najlżejszy powiew wiatru, raptem przed tobą lub za tobą zakręci się coś na bruku ulicznym, zaszumi - i ni stąd, ni zowąd podnosi się słup kurzawy, zbliża się zwolna, potem prędzej i jeszcze prędzej, rośnie, wzmaga się, rozszerza, potężnieje, na koniec - jeden olbrzymi oddech i na ulicy robi się ciemno z dwóch powodów: raz wskutek kurzu, a po wtóre, że wszyscy zamykają oczy. Wtedy to dorożkarze wołają: „na bok!", czy jest potrzeba, czy nie ma, dla pewności dzwoni omnibus żelazny, gnana wiatrem płeć piękna puszcza się w mimowolnego truchcika, a ty, mój miły przechodniu, zamykasz oczy, usta - słowem, wszystko, co możesz, wyciągasz przed siebie laskę i po niedługiej chwili trafiasz na coś miękkiego.

- Mój panie, co to za żarty? - pyta się głos, po którym poznajesz, że osobą pytającą jest kobieta.

- Ach! przepraszam panią najmocniej.

- Co ci ten pan uczynił? - odzywa się nagle drugi, gruby i groźny głos męski.

- Postawił mi laskę na nodze.

- Jak pan śmiesz stawiać mojej żonie laskę na nodze?

Ty, czytelniku, nie odpowiadasz już więcej, a korzystając z tego, że i pytający nie mogą również oczu otworzyć, dyskretnie usuwasz się na bok. Po chwili tuman przechodzi, znów cicho i spokojnie, a kurz spada, jakby dla nabrania sił do nowego rzucenia się na oczy ludzkie.

I tak bez końca.

Mniej przesądni tłumaczą ten fenomen nie tradycją prawiącą o harcach szatańskich, ale sposobem zabrukowania ulicy. Nasypano (mówią) między kamienie żwiru pomieszanego z miałem - i oto powód. Nie przesądzając, które z powyższych zdań słuszne, powiemy tylko, że jeżeli w wielu rzeczach naśladujemy zagranicę, w kwestii bruków mamy na pewno swoje własne a chwalebne i oryginalne pojęcia. (D XLVII 72-74; GP 1873 nr 131)

NADZWYCZAJNY WYNALAZEK.

Gazeta Warszawska i Kurjer Codzienny doniosły, iż jeden z mieszkańców Warszawy wymyślił nowy sposób polewania ulic. Sposób ten zasadza się na tem mianowicie, że każda dorożka obowiązaną będzie do posiadania pod kozłem skrzynki blaszanej napełnionej wodą. W czasie jazdy dorożki woda ta będzie skrapiała ulice.

Wielka myśl rodzi zwykle inne myśli także wielkie, a czasem większe nawet. Jakoż po dowiedzeniu się o zasadzie nowego projektu polewania ulic w Warszawie, wpadliśmy na pomysł przyrządu do polewania alei w ogrodzie Saskim i w ogóle w ogrodach publicznych. Rysunek przyrządu zamieszczony poniżej objaśnia wszystko.

Nadzwyczajny wynalazek,
„Mucha" 1875 nr 24, s. 4.
ebuw.uw.edu.pl

[1] W tym czasie na części ulicy Marszałkowskiej położono kostkę granitową. Pozostały odcinek otrzymał ją dopiero w 1880 r. O skutkach naprawy nawierzchni pisał m.in. „Kurier Warszawski" (1873 nr 106, s. 2): „Część ulicy Marszałkowskiej, mianowicie od Ogrodu Saskiego do Alei Jerozolimskich została prawie całkowicie przebrukowaną. Warstwy piasku, jakim pokryto bruk nowy, w dni słoneczne, przy ciągłym ruchu jeżdżących podnoszą tumany kurzu. Warto by, żeby przez pewien czas część ta ulicy Marszałkowskiej była obficie zlewana wodą".

Harce na Marszałkowskiej

Herkulesowe prace w Bibliotece Uniwersyteckiej

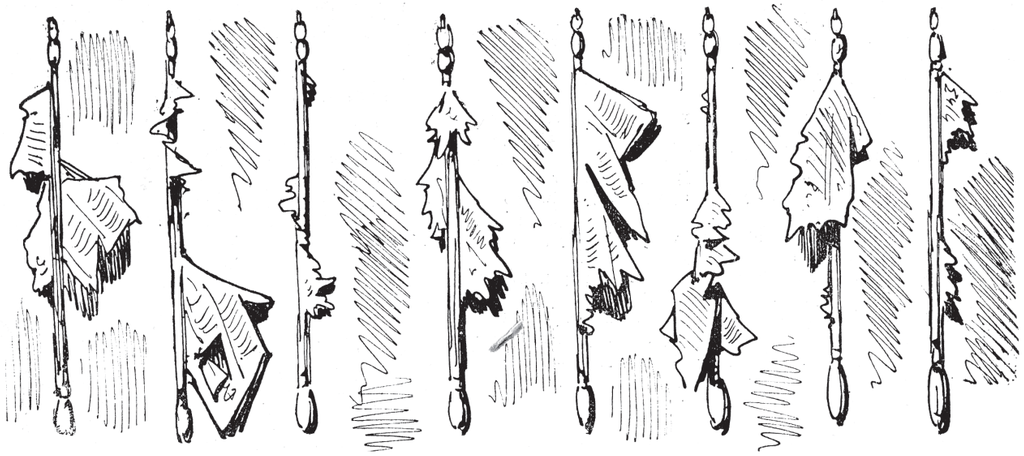

Czytelnia warszawskich gazet,
„Kurier Świąteczny" 1882 nr 64, s. 4

Zabieramy się więc, jak widzisz, czytelniku, po trochu do nauki, i można powiedzieć, że ruch umysłowy, popierany przez wszystkie organa prasy bez różnicy wyznań naukowych, wzrasta coraz bardziej. Ruchu tego byłoby może jeszcze więcej, gdyby nowy zarząd Biblioteki Uniwersyteckiej [1] raz nareszcie zdecydował się na otworzenie czytelni przy bibliotece, której to czytelni na próżno od lat dwóch oczekujemy.

Ale nowy zarząd ciągle jeszcze porządkuje książki i tym wymawia się przed prasą, która, o ile wiemy, pytała go już w tej sprawie. Porządkowanie to trwa dwa lata, wyraźnie: dwa lata. Czas by już z tym skończyć. Mity greckie nic nie wspominają o tym, aby przylepianie nowych kartek na grzbietach książkom albo porządkowanie ich liczyło się do prac herkulesowych. Nie sądzimy przy tym, by biblioteka, w chwili gdy ją zarząd obejmował, była w większym nieporządku niż Augiaszowa stajnia [2], którą jednak Herkules wyczyścił w krótszym niż dwa lata przeciągu czasu.

(D XLVII 96-97; GP 1873 nr 223)

[1] W lipcu 1871 r., dwa lata po przekształceniu Szkoły Głównej w rosyjski Cesarski Uniwersytet, Biblioteka Główna została podporządkowana tej uczelni jako jej zakład pomocniczy. Czytelnię publiczną otwarto 1 stycznia 1876 (w 1874 uruchomiono czytelnię studencką). Na temat prac prowadzonych w tym okresie w Bibliotece zob. M. Wismont, *Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego*, „Biblioteka Warszawska" 1875, t. 1, s. 409-420.

[2] Oczyszczenie stajni Augiasza - jedna z dwunastu prac Herkulesa, najsilniejszego bohatera mitologii greckiej. Stajnia Augiasza – wielki nieporządek; nagromadzenie zaniedbań, błędów wymagających usunięcia.

Herkulesowe prace w Bibliotece Uniwersyteckiej

Hojność zimą

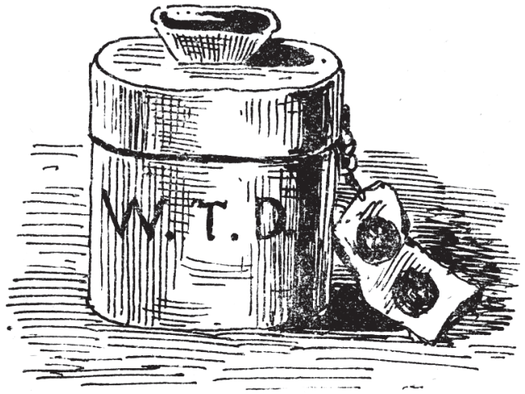

O Warszawiacy! i Warszawianki!
Bawcie się bawcie!.. tylko z ostrożna!...
Pędźcie w rozkoszy wieczory, ranki,
Bo przecie zawsze płakać nie można.
Ale serc nigdy nie miejcie z lodu
I pamiętajcie ten fakt nie nowy,
Że wielu jękiem z zimna i z głodu
Bawić się musi w sezon zimowy.

Sezon zimowy, [W.T.D. – Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności], „Mucha" 1875 nr 45, s. 2
ebuw.uw.edu.pl

Jakoż zimą poruszają się żywiej wszystkie instytucje dobroczynne [1] , organizują się odczyty, bale, koncerta, a drzemiące po trochu latem miłosierdzie publiczne wraz z pierwszymi przymrozkami budzi się z uśpienia i wytańcowawszy sią na balach albo nasyciwszy koncertową muzyką, śpieszy odegrzać i odchuchać skostniałą tymczasem nędzę. Można by nawet postawić zarzut, że spóźnia się nieco z pomocą i że odgrzewa biednych wtedy dopiero, kiedy już na dobre przemarzną. Trudna jednak rada! Bawić się można tylko w zimie, a nasze miłosierdzie musi koniecznie się bawić. Kiedy poczyna się nudzić, natychmiast idzie spać. Taka już jego natura.

Ale za to przyznać mu trzeba, że kiedy się bawi, bywa dosyć hojne. Tej zimy hojność ta będzie tym potrzebniejszą, że opał staje się coraz droższym, a mieszkania jakoś nie tanieją i nie tanieją. Mówiliśmy wprawdzie dużo o towarzystwie budowlanym, które miało złemu zaradzić, ale jakoś do tej pory kończy się na niczym. Mamy wprawdzie jedno towarzystwo budowlane, do którego należą wszyscy nasi wieśniacy przywożący drzewo opałowe na nasze targi. Towarzystwo to, nigdy zresztą przez nikogo nie organizowane, doprowadziło już swą sztukę budowania fur z drzewem do takiej perfekcji, że jeśli dalej tak pójdzie, to niedługo taką furę można będzie wziąć pod pachę i bez wszelkiego wysilenia zanieść samemu do domu. Gdybyż przynajmniej cena tych fur szła w stosunku do ich objętości, nikt by się wówczas nie skarżył, ale na nieszczęście dzieje się z nimi tak jak zwykle z elegantkami, to jest im cieńszą mają figurę, tym więcej pretensji.

Może w przyszłości, kiedy nieprzebrane pokłady torfu, o których prawi pan Glinojecki [2], będą naprawdę wyzyskiwane, uboższe klasy miejskiej ludności zyszczą tani materiał opałowy – i zima przestanie przedstawiać im się pod tą straszną jak dotąd postacią. (D XLVII 122–123; GP 1873 nr 258)

[1] Instytucje dobroczynne w Warszawie w tym okresie zob. F. Fryze, I. Chodorowicz, *Przewodnik po Warszawie i jej okolicach na rok 1873/4...* ułożony i wyd. przez..., Warszawa 1873, Dział dobroczynny, s. 380–403.

Hojność zimą

Fura drzewa za 5 rubli
przed wypakowaniem i po wypakowaniu,
„Kurier Świąteczny" 1878 nr 65, s. 3, dod., s. 1

[2] Jan Glinojecki (zm. 1873), jak podaje M. Gajewski w *Urządzeniach komunalnych Warszawy* (Warszawa 1979, s. 183), „«odkrył» pokłady torfu na terenach dzisiejszej Warszawy i w najbliższej okolicy o miąższości od 4 do 10 stóp, o wielkości od 2 do 50 morgów, o pojemności od 6242 do 156 100 sążni. Pokłady te w obrębie dzisiejszej Warszawy znajdowały się w Potoku-Marymoncie, na Bródnie, w Powsinie i Służewie oraz w sąsiedztwie: w Tworkach, Otrębusach, Oborach i Komorowie". Wg „Jana Jaworskiego Kalendarza Ilustrowanego na rok 1867" (VI. Rzeczy społeczne, gospodarskie i bieżące. Przegląd przemysłowo-handlowy, s. 123) „był nawet zamiar pod jego przewodnictwem otworzyć wielką kopalnię torfu za Pragą, na gruntach Szmulowszczyzna, że miało się do tego celu zawiązać stowarzyszenie", ale się nie udało. Rezultaty wieloletnich poszukiwań pokładów torfowych przez Glinojeckiego zob. „Kurier Warszawski" 1873 nr 3, s. 1.

Jak nie dojechać do Kolei Terespolskiej

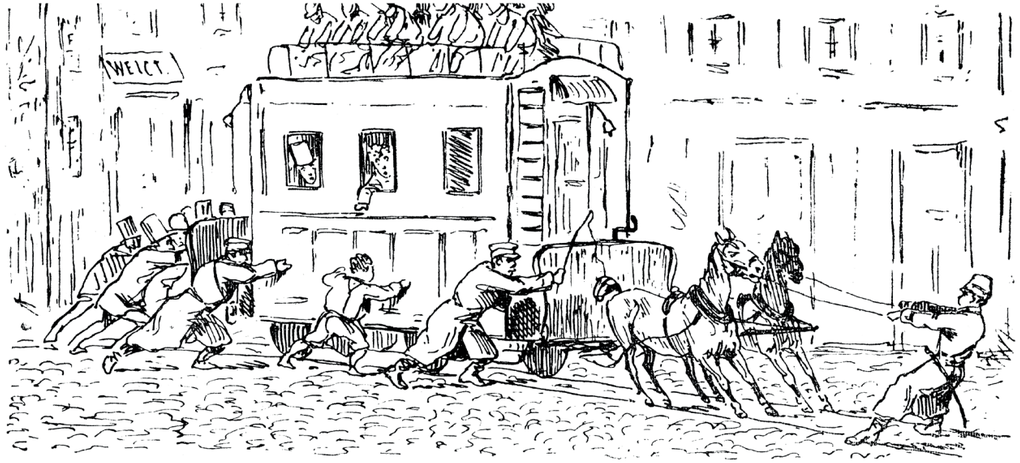

Uprzejma, regularna i pospieszna
komunikacja konno-warszawską koleją,
„Kurier Świąteczny" 1878 nr 15, s. 4

A jednak dzieją się u nas rzeczy nadzwyczajne, jakie nie dzieją się nigdzie na świecie, godne tak dobrze kronikarskiego jak i publicznego oka.

Jedną z takich ciekawych historii jest historia naszych omnibusów kolejowych, czyli kolei żelaznej konnej [1]. Omnibusy te nie dowożą już pasażerów na Kolej Terespolską [2]. A czy wiecie, dlaczego? Nie. Więc słuchajcie, jak mówi pan Jowialski [3]. Oto pewnego razu omnibus taki jechał sprzed Bernardynów [4] do Kolei Petersburskiej [5], a następnie do Terespolskiej. Nagle tuż za mostem omnibus zatrzymuje się, konduktor zagląda przez drzwiczki i mówi:

– Wysiadać.

– Co to jest? My jedziemy do Kolei Terespolskiej – wołają pasażerowie.

– Nie pojedziemy do Kolei Terespolskiej – odpowiada ze spokojną godnością dygnitarz zbrojny w blaszaną puszkę.

– Dlaczego?

– Bo na drodze stoją trzy wagony.

– To każ pan odjechać trzem wagonom.

– Trzy więcej znaczą niż jeden. Wysiadać!!

Pasażerowie, przekonani z pomocą arytmetyki, wysiadają i śpieszą do owych trzech wagonów, przy których znajdował się jakiś drugi dygnitarz od tejże konnej kolei. Przybiegłszy pytają o powody.

Pytają o powody!! Co za zuchwalstwo! Dygnitarz wysuwa naprzód wargę i patrzy na suplikantów wzrokiem, w którym maluje się zdumienie. On by miał odpowiadać! On dziwi się sam sobie, że dotąd nie obrócił w proch zuchwalców. Zastanawia się przez chwilę, następnie obraca ich w proch i nie odpowiada, bo do prochów, jak wiadomo, nie ma co mówić.

Prochy jednak skarżą się, dopominają o zwrot pieniędzy, narzekają na zawód.

Dygnitarz wybucha!

– Jak nazwisko tego, który tu najgłośniej krzyczał? – woła z wysokości swego majestatu.

Człowiek, który najgłośniej krzyczał, blednie. „Oho! już po mnie – myśli sobie. – Obrazić takiego człowieka. Któż go tam wie, co to za jeden? Może to... (tu następuje szereg przypuszczeń), takie ma świecące guziki... A nuż każe wziąć do kozy?”.

Rozkład jazdy na drodze żelaznej Warszawsko – Konno – Praskiej,
„Mucha” 1876 nr 4, s. 3

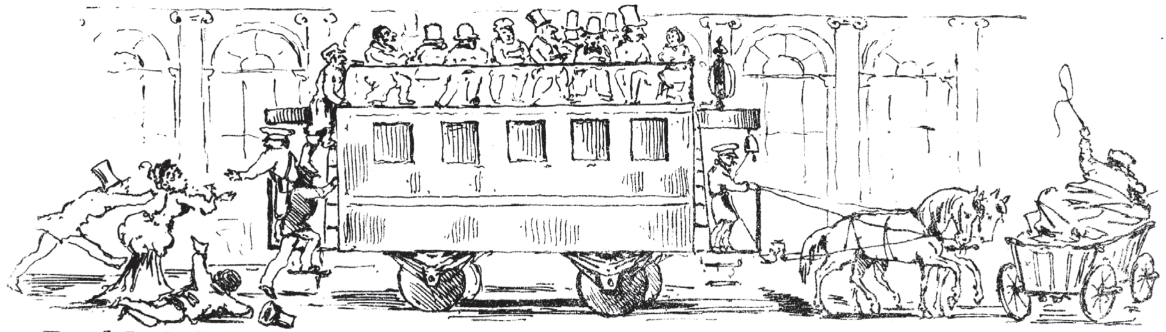

Rozkład jazdy na drodze żelaznej Warszawsko - Konno - Prazkiéj

	Linja do kolei Wiedeńskiej. Nazwiska Stacyj.	WAGONY OSOBOWE.		Linja na Pragę. Nazwiska Stacyj.	Wagony towarowe obu linij.	WAGONY OSOBOWE.	Uwagi.
1.	Przy Resursie Obywatelskiéj.	**godziny minuty** Wagon stoi na miejscu przynajmniéj 2 godziny. Skoro jednak na rogu pokaże się omnibus idący z Pragi, słychać naraz dzwonek i wagon rusza, aby przypadkiem nie zabrać przybywających pasażerów z Pragi. Ruszenie nastąpiło naprzykład o godzinie **1** minut **5**.	1.	Przy Resursie Obywatelskiéj.	Wagony towarowe idą nieprzerwanym ciągiem w odległości 10 kroków, tak, iż ledwie chłopski wózek, dorożka lub przechodzień, może wpaść pod koła. Co piąty wagon wychodzi z szyn na wszystkich zakrętach, jako też i na prostéj linii. Podważanie go drągami i usslowanie wsadzenia napowrót na szyny, trwa najwyżéj godzinę.	**godzin minut** Wagon stoi tak długo, póki się nie oczyści linja z wagonów towarowych, trwa to czasem dni 3 i 4. Nigdy jednak nie dłużéj jak tydzień. Jeśli szczęśliwym trafem omnibus ruszy ze stacyi, to wychodzi ze szyn na zakręcie na Zjazd. W pół godziny jednak wszystko jest gotowe i omnibus jedzie daléj, przypuśćmy o godzinie **11** minut **17**.	Na linii kolei konnéj, jeżdżą w dzień bez żadnéj *uwagi*, a w nocy bez *uwagi* i bez latarń. Zresztą w czasie jazdy, niewolno nikomu robić żadnych *uwag*.
2.	Róg Królewskiéj i Krakowskiego Przedmieścia.	o g. **1** m. **10**. Omnibus przejeżdża na śmierć, szczęściem... tylko pudla.	2.	Na Zjeździe.		o g. **11** m. **30** Omnibus wpada na 3 fury chłopskie z drzewem. Fury się przewracają, szczapy rozsypują, konduktor obdziela chłopów kułakami. Tymczasem poczciwy ludek warszawski, uprząta pilnie drogę, rozkradając szczapy. W pół godziny, droga jest oczyszczona. Chłopi wracają na Pragę, z wozami liczącemi razem 9 kół i półtora dyszla, ale przynajmniéj szybko pozbyli się drzewa.	
3.	Wprost Mazowieckiéj.	o g. **1** m. **25** Omnibus czeka godzinę, żeby się wyminąć z wagonem, idącym do kolei Wiedeńskiéj.	3.	Wprost kolei Petersburskiéj.		o g. **12** m. **10**. Omnibus się zatrzymuje, gdyż z przeciwnéj strony idą wagony z towarami. Pasażerowie wysiadają w błoto. Opłaty konduktor im nie zwraca, bo i tak nasiedzieli się kilka godzin na miękkiém siedzeniu i to tylko za dziesiątkę.	
4.	Róg Królewskiéj i Marszałkowskiéj.	o g. **2** m. **15**. Omnibus przebija dyszlem pudło dorożki i łamie żebro siedzącemu w niéj prenumeratorowi Kuryera. Dorożkarz idzie do kozy, dorożka do powoźnika, pasażer do szpitala a omnibus jedzie daléj.	4.	Wprost ulicy Targowéj.		o g. **12** m. **35**. Pasażerowie idąc piechotą, wpadają w bagno przed posesją obywatelki Kleckiéj, ale tak szczęśliwie, że tylko jedna dziewczyna tonie. Reszta idzie daléj zdrowo.	
5.	Wprost Złotéj.	o g. **2** m. **39**. Dwóch pasażerów wyskakuje, jeden łamie rękę a drugi nogę. Konduktor wymyśla im za to, bo Kurjer gotów o tém napisać i będzie tylko niepotrzebny ambaras.	5.	Wprost Świńskiego Targu.		o g. **1** m. **15**. Pasażerowie umiejący czytać, odczytują regulamin kolei konnéj na tablicy wprost Świńskiego targu. Tymczasem kilka fur z ciężarami, niemogąc przejechać w poprzek przez szyny kolei konnéj sterczące z bruku na pół łokcia, stoi na środku ulicy Targowéj, nie dozwalając nikomu przejść na drugą stronę.	
6.	Przed dworcem kolei Wiedeńskiéj.	o g. **3** m. **20**. Wagon przybywa na stację. Pasażerowie wysiadają w błoto po kostki po godzinach **4** i minutach **15**, od chwili gdy wsiedli do omnibusu.	6.	Przed dworcem kolei Terespolskiéj.		o g. **1** m. **50**. Pasażerowie przybywają do celu podróży. Naczelnik kancelaryi kolei Terespolskiéj robi wyrzuty swym kancelistom, że przyszli do bióra dopiéro o godzinie 2 po południu, zamiast o 9 rano. Tłumaczenie, iż wsiedli do omnibusu o 8 rano, nie zyskuje aprobaty. Dostają naganę. Reszta pasażerów nie trafiwszy na pociąg terespolski, wraca do Warszawy furmankami rozwożącemi węgiel kamienny.	

UWAGI. Dla dogodności publicznej wagony osobowe są tak urządzone, iż można obok nich iść piechotą a nawet biedz szybko, jeśli kto ma pilny interes.

W każdym wagonie osobowym jest miejsce na 20 osób. Jeśli wszystkie te miejsca są zajęte, wywiesza się czerwona chorągiewka, gdyby kto wtedy usiłował wejść do omnibusu, ten sam sobie winę przypisze, jeśli go konduktor za kark wyrzuci; wyjątek służy tylko osobom cieszącym się osobistą przyjaźnią konduktora.

Wreszcie ostrzega się, że wszelkie skargi na nieregularność kommunikacyi omnibusowej, choćby były umieszczane we wszystkich naraz gazetach, żadnego skutku nie odniosą.

Przypisek Redakcyi Muchy. Umieszczenie powyższego rozkładu jazdy poczytujemy sobie za prawdziwą zasługę. Istotnie jest to jedyny rozkład jaki był drukowany. Odtąd publiczność warszawska, w sprawach dotyczących komunikacyi konno-żelaznéj, nie będzie mogła już tłumaczyć się niewiadomością.

Jak nie dojechać do Kolei Terespolskiej

Nieszczęśliwy nie przewidywał, że stanie się nierównie gorzej. Aleksander Macedoński obraził się na mieszkańców Tyru [6] – to wiadomo z historii Skrzypińskiego [7] – dygnitarz omnibusowy gniew swój przeniósł z jednego mieszkańca na wszystkich mieszkańców Warszawy i postanowił ich ukarać.

Obecnie kara dokonywa się.

Omnibus kolejowy od owego pamiętnego dnia nie chodzi już wcale na Kolej Terespolską.

Wszyscy cierpią dlatego, że ktoś ze świecącymi guzikami obraził się na kogoś bez świecących guzików. Nie podobna przypuścić, żeby to były inne powody tej przerwy w komunikacji, bo przerwa nastąpiła ściśle od dnia obrazy, od owego dnia, który jako *dies irae* [8] długo popamiętamy.

A co? Czy nie prawda, że tylko u nas przytrafiają się podobne rzeczy. Myśmy sądzili dotychczas, że magistrat oddał eksploatację drogi konnej Towarzystwu Drogi Petersburskiej na warunkach, aby omnibusy łączyły trzy dworce kolei żelaznej; pokazuje się, że myliliśmy się najfatalniej. Widocznie agent wysyłał tylko z łaski omnibus aż do Kolei Terespolskiej; widocznie był to wielki filantrop i wielki dobroczyńca kraju, dbał o jego komunikacje – przyczyniał się zatem do rozwoju przemysłu, handlu, a myśmy go obrazili tak niebacznie! Cóż więc dziwnego, że wielki mąż wstrzymał zdrój łask? (D XLIX 78-80; GP 1875 nr 174)

[1] Pierwsze tramwaje konne pojawiły się na ulicach Warszawy 11 grudnia 1866 r. Nazywane były wtedy oficjalnie Drogą Żelazną Konną. Łączyła ona, ze względu na różnicę szerokości torów, Dworzec Petersburski (obecnie Warszawa Wileńska) na Pradze z dworcem kolei Warszawsko-Wiedeńskiej w Alejach Jerozolimskich u zbiegu z Marszałkowską. Tramwaje te straciły znaczenie w 1875 r. po zbudowaniu mostu kolejowego przy Cytadeli i linii obwodowej, ale korzystano z nich w dalszym ciągu w ruchu miejskim do 1881 r., tj. do czasu uruchomienia pierwszej sieci tramwaju konnego w Warszawie.

[2] Kolej Warszawsko-Terespolska – linia kolejowa (szerokotorowa) oddana do użytku w 1867 r. biegła od Warszawy-Pragi przez Mińsk Mazowiecki, Siedlce, Łuków, Białą do Terespola; w 1870 r. uruchomiono odcinek łączący Terespol z Brześciem. Była ważną linią tranzytową zwłaszcza od kiedy Brześć uzyskał połączenie kolejowe z Moskwą, Kijowem i Grajewem, później weszła w skład przedsiębiorstwa Koleje Nadwiślańskie.

[3] Jowialski – bohater komedii Aleksandra Fredry *Pan Jowialski*, mistrz dykteryjek.

[4] Kościół Bernardynów pw. Św. Anny znajdujący się na Krakowskim Przedmieściu.

[5] Kolej Warszawsko-Petersburska – linia kolejowa (szerokotorowa) uruchomiona w 1862 r. łączyła Warszawę z Petersburgiem przez Białystok, Wilno, Dyneburg. Dworcem końcowym był Dworzec Petersburski zbudowany w l. 1859-1862 przy ulicy Wileńskiej, na wysokości ulicy Zaokopowej. Od 11 grudnia 1866 r. był obsługiwany przez linię tramwaju konnego, łączącego go przez most Kierbedzia z Dworcem Warszawsko-Wiedeńskim.

[6] Marsz zwycięskiej armii Aleksandra powstrzymali w roku 332 p.n.e. Tyryjczycy. Władze Tyru odmówiły Aleksandrowi wstępu do miasta, które po siedmiu miesiącach oblężenia przez Macedończyków upadło. Mieszkańcy zostali wymordowani lub sprzedani w niewolę.

[7] P. Skrzypiński, *Krótki rys historii powszechnej dla początkującej młodzieży* podług S. Smaragdowa ułożył..., Warszawa 1851.

[8] *Dies irae* (łac.) – dzień gniewu, tj. Sądu Ostatecznego. Początek i nazwa modlitwy przypisywanej Tomaszowi z Celano, odmawianej lub śpiewanej podczas mszy żałobnej.

Jarmark próżności ludzkiej

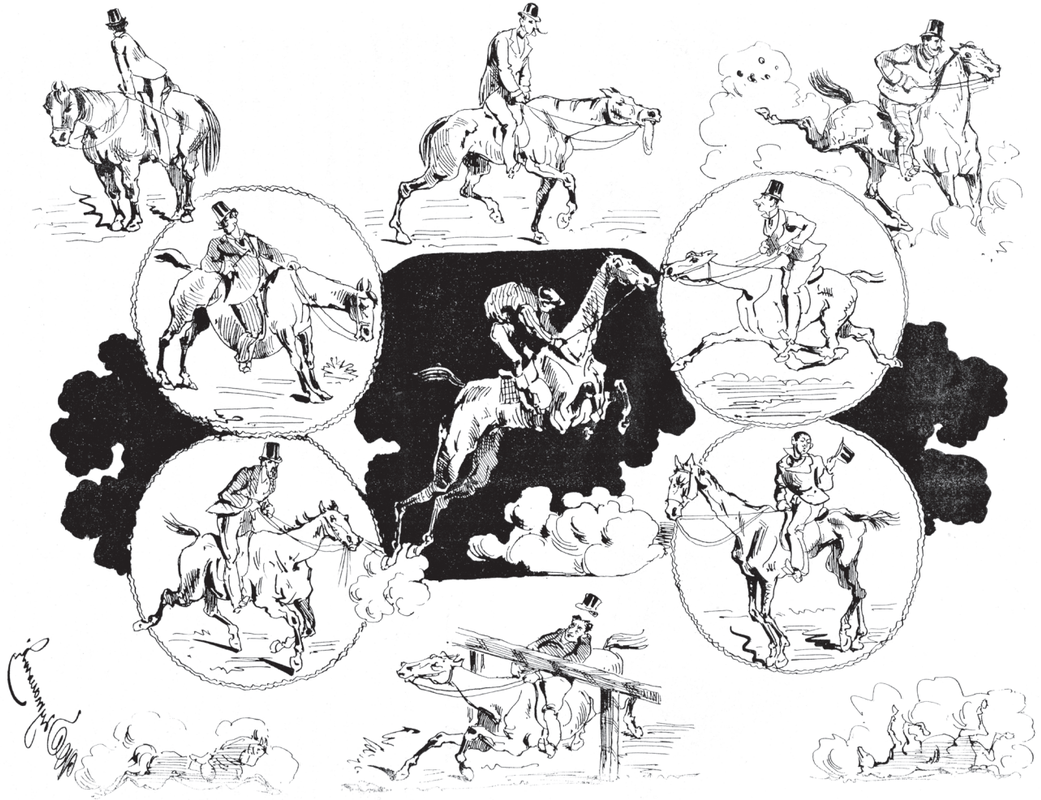

Kilka szkiców z okolicy placu Mokotowskiego.

U nas tak w Warszawie!,
rys. Władysław Szymanowski,
„Kolce" 1875 nr 25, s. 195

Wyścigi! [1] Ach, wyścigi. Mógłbym cały odcinek o nich napisać. Jest to także jarmark, ale jarmark próżności ludzkiej albo inaczej mówiąc: warszawsko-angielskiego szyku. A odbyły się, a raczej odbywają się, w tym roku z wielką uroczystością. Przeszło sześćdziesiąt koni zapisało się do gonitw. *All right!* Ten angielski wykrzyknik, za którego ortografię nie zaręczam, ale którego sposób wymawiania szczęśliwie przez pilne uczęszczanie na wyścigi posiadłem, stanowi jedyny i całkowity zasób angielszczyzny większości naszych *gentlemenów* uczęszczających na wyścigi. Zauważyłem nawet, że niektórzy z nich nie są dość dokładnie poinformowani, co by ten wykrzyknik miał znaczyć, co jednak nie przeszkadza im używać go z całą powagą jak najczęściej.

Pięknych kobiet, pięknych powozów i pięknych koni na pierwszych niedzielnych wyścigach było mnóstwo. Piękności kobiet, ich barw, kolorów, opisywać nie będę, za słabe bowiem moje pióro. Co się tycze powozów, zauważyłem kilka oryginalnych zaprzęgów, między którymi odznaczała się szczególnie piękna, dobrana, nieledwie że bliźniacza gniada czwórka, zaprzęgnięta do lekkiej amerykanki. Dziwiła mnie tylko jedna rzecz, tj. równie dobrani stangret i lokaj, obaj byli bowiem tak podobni do orangutangów, że słusznie można ich było poczytywać za ewentualny w przyszłości, a bardzo cenny nabytek do mającego się w Warszawie założyć zwierzyńca [2]. Zdziwienia swego nie potrafiłbym może i ukryć, gdyby nie pewien *gentleman*, imieniem Coco, który przestrzegł mnie, że to jest *mauvais genre* [3], drugi zaś *gentleman*, imieniem Jaco, objaśnił, że to nie są orangutangi, ale dwaj Anglicy, starannie dobrani umyślnie, albowiem właśnie bardzo z towarzystwa jest, aby służba po pierwsze: była angielska, a po drugie: żeby szczęśliwie łączyła w swych fizjonomiach wyraz twarzy idioty i małpy; wyścigi tedy odbyły się w całym wymaganym porządku. Emablowano damy w powozach, ważono dżokejów, ważono konie, zakładano się, wygrywano i przegrywano, rozmawiano we wszystkich językach europejskich z wyjątkiem polskiego - unoszono się nad łydkami dżokejów,

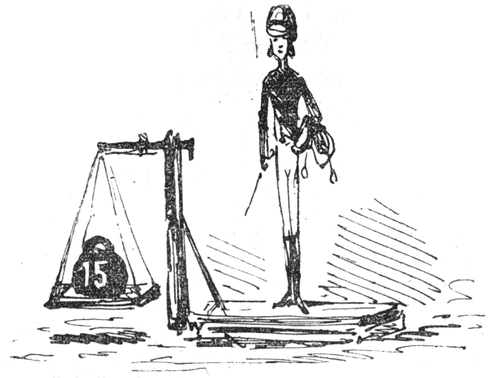

Czem się poprawia rassa koni [fragment], „Mucha" 1877 nr 25, s. 4

które rzeczywiście przypominały patyki poobszywane w łosiową skórę; słowem: bawiono się z zapałem. Prawdziwym jednak bohaterem dnia tego był szlachetny syn pewnego wysoko urodzonego Anglika i równie wysoko urodzonej Angielki, lord Przedświt, którego polskie imię tym się tłumaczy, że urodzony był w Galicji. Zapewnieście ciekawi, kto jest Przedświt? Otóż jest to nader piękne zwierzę ciemnogniadej maści, z lekką białą strzałką na czole, o szerokiej piersi, nogach sarny i ciemnych, łagodnych, pięknych oczach. Jest to zresztą indywiduum posiadające sławę europejską: jest to ni mniej, ni więcej tylko zwycięzca ze Lwowa, podobno z Pesztu, z Pragi czeskiej, a na koniec wielki pogromca wszystkich austriackich i nieaustriackich koni z wielkiego derby wiedeńskiego. Jest to własność pana Tarnowskiego [4]. W Warszawie stanął do biegu z nader dzielnym biegunem Friponierem i raczył go łaskawie zwyciężyć bez oblania się jedną kropelką potu. Amatorowie żałują niezmiernie, że ten czworonożny bohater nie może stanąć do biegu o nagrodę dwóch tysięcy rubli, jako przeznaczoną wyłącznie dla koni zrodzonych w Królestwie i Cesarstwie. Nagrodę tę wziął zatem inny koń, nazwiskiem Lanerkost, szczęśliwy, że pochodzenie uwolniło go od mierzenia się z tak strasznym przeciwnikiem. (D XLVIII 195-197; GP 1875 nr 128)

[1] Relacja z wyścigów, które rozegrały się 13 czerwca 1875 r. Pierwsze wyścigi na Polu Mokotowskim odbyły się w dniach 20-21 czerwca 1841 r. W roku 1887 pole wyścigowe przeniesiono w pobliże zbiegu ulic Polnej i Nowowiejskiej, a w 1939 r. na Służewiec.

[2] Ogród zoologiczny zob. s. 235

[3] *Mauvais genre* (fr.) – w złym stylu.

[4] Jan Józef Tarnowski (1826-1898), herbu Leliwa, właściciel dóbr Chorzelów, poseł do Rady Państwa w Wiedniu (parlament austriacki) i poseł na Sejm Krajowy Galicyjski we Lwowie. Wielką pasją hrabiego była hodowla koni pełnej krwi, którą zapoczątkował ok. 1850 r., kupując kilka klaczy od Dzieduszyckich, Sułkowskich i książąt de Rohan. Najsłynniejszym koniem jego stajni był „Przedświt", który uczestniczył w 29 gonitwach w różnych miastach europejskich i zwyciężył 23 razy, m.in. w „Trial Stakes" w Wiedniu (1874), „Preis des Jockey Club" (Derby) w Wiedniu (1875) i „Grosser Preis von Baden" (1876). Na podst. http://www.encyklopediamiastamielca.pl/tarnowski-jan-jozef-chorzelowski/ [dostęp: 9.08.2016].

Jarmark próżności ludzkiej

Kapelusze i cukiernie

Charakterystyka cukierń warszawskich,
rys. Arkadiusz Mucharski,
„Mucha" 1876 nr 43, s. 4

Nigdzie (...) w Europie odkrywanie głów we wszystkich miejscach publicznych nie jest tak rozpowszechnione jak u nas. Utrzymują, że może się dzieje to klimatem, ależ klimat u nas bardziej niż gdzie indziej każe zakrywać głowy. Nie wymagamy, aby siedziano w kapeluszach [1] w teatrze, tego bowiem zwyczaju nie ma nigdzie; można by jednak na przykład po cukierniach śmiało zatrzymywać kapelusze na głowach. Nieraz nie masz gdzie kapelusza położyć, a jeżeli i jest próżny stolik, to niezawodnie świecą na nim nie starte od wczoraj strumyki kawy, śmietanki, błyszczą się lepkie cząstki półrozpuszczonego cukru i tym podobnie. A jednak, jeżeli zostawisz kapelusz twój na głowie, jako na części ciała, która u wielu ludzi po to tylko jest stworzoną, aby mieli na czym nosić tę nieodstępną część ubioru, wnet zbliża się cukiernik, już z daleka stara się nadać swym oczom wyraz słodkiej i poprawnie paryskiej uprzejmości, pochyla się nad tobą, uśmiecha grzecznie i mówi:

- Pan będzie łaskaw, przepraszam najmocniej, zdjąć kapelusik.
- A to z jakiego powodu?
- Albowiem ciastka... ten! chciałem powiedzieć: damy...
- Nie ma ich.
- Mogą nadejść.

Nie lubisz być upominany, nie zdejmujesz kapelusza albo wychodzisz zły. Czasem zdarza się, że nie gospodarz zakładu, ale jaki ultrakonserwatywny gość upomina cię w sposób mniej lub więcej szorstki, abyś odkrył i okazał światu wierzch twej czupryny, peruki lub łysiny. Odpowiadasz mu, żeby patrzał swej filiżanki z kawą; stąd sprzeczki, stąd ekspens bezpożyteczny wielkich zapasów ironii, a czasem rozwiązanie sprawy jeszcze ostrzejsze. Niedawno z tego powodu w jednej z najbardziej odwiedzanych cukierni miała miejsce scena następująca: Pewien jegomość, nie zdjąwszy kapelusza mimo uprzejmych rad gospodarza zakładu, opuścił takowy wcale nie w różowym usposobieniu. Tymczasem inny jegomość, który poprzednio już, siedząc za pierwszym, mierzył go wzrokiem wyzywającym, zbliżył się do gospodarza i spytał:

Kapelusze i cukiernie

– Kto jest ten pan, który wyszedł, a który siedział tu wobec mnie w kapeluszu?

– Jest to fabrykant szczotek – odpowiada cukiernik.

– Gdyby nie był wyszedł, dałbym mu wnet naukę. Kto to jest?

– Fabrykant szczotek.

– Tak? Aha! Jak to zaraz znać człowieka z gminu! Szczotkarz! Dlaczego ja tego nie zrobię?

To mówiąc trzaska drzwiami i wychodzi.

– Kto jest ten młody arystokrata? – pytają wszyscy po odejściu drugiego jegomości.

Cukiernik chwyta się za nos i poczyna palcem prowadzić po twarzy jakby brzytwą:

– Golarz, panie dobrodzieju – odpowiada.

Golarz więc poczytywał szczotkarza za człowieka z gminu. A wszystko to *à propos* [2] kapelusza. (D XLVIII 144-145; GP 1875 nr 99)

[1] O tym, jakie wówczas emocje budziło noszenie kapeluszy w miejscach publicznych, świadczy liczba listów dotyczących tego zwyczaju, jakie zasypały redakcję popularnego czasopisma: „Otrzymałem już, lekko rachując, sześćset osiemdziesiąt kilka listów w kwestii niezdejmowania kapeluszów w miejscach publicznych. Nie wiem dlaczego ta ważna i poważna sprawa tak zajmuje korespondentów, ale widocznie to niezdejmowanie kapeluszów mocno im leży na sercu. Nie mamy nic przeciwko temu, owszem rzecz sama przez się arcywygodna, a nakrycie głowy nie ma znowu w sobie nic tak rażącego konwenanse społeczne. W Paryżu w drugorzędnych teatrach, podczas przerw między aktami, cała publiczność siedzi w kapeluszach. We wszystkich prawie zakładach i sklepach publicznych toż samo miewa miejsce. U nas krzywią się jeszcze na tego, kto zachowuje kapelusz na głowie. Rzecz to czysto przyzwyczajenia i nic więcej, zresztą od samej publiczności zależąca. W każdym razie byłoby to ochroną od ciągłej zamiany kapeluszów, na jaką się tu ogólnie uskarżają. Nowy kapelusz… rzecz to istotnie ponętna i jest wielu ludzi, którzy tą drogą zwykli się prowidować w okrycie głowy”. *Kronika tygodniowa* „Tygodnik Ilustrowany” 1871 nr 200, s. 206.

[2] *À propos* (fr.) – wyrażenie wprowadzające temat wypowiedzi.

Klasa nadwiślaków

Pracownicy Wisły,
rys. Franciszek Kostrzewski, ryt. Feliks Zabłocki,
„Tygodnik Ilustrowany” 1866 nr 349, s. 256

Kapryśna ta rzeka [Wisła], skrępowana po prawym boku wałem, nie może już płatać grubiańskich figlów Pradze, której rokrocznie na wiosnę zwykła była sprawiać zimną kąpiel. Obecnie na żółtych jej wodach, po tylu niefortunnych usiłowaniach, próbuje znowu szczęścia pan Fajans [1] z pomocą parochodów [2], które budzą głęboką nienawiść w miejscowej pobrzeżnej ludności przewoźniczej, znanej w Warszawie pod nazwą nadwiślaków.

Trzeba bowiem wiedzieć, że nadwiślacy stanowią niejako osobną klasę, która jest całością, w sobie zamkniętą. Mają i oni swoją hierarchię, swoją arystokrację i demokrację. Do pierwszej liczą się posiadacze, tj. przewoźnicy posiadający łódki, rybacy posiadający sieci; plebs właściwy stanowią ci, którzy posiadają tylko bulwar, na którym mogą leżeć do góry twarzą i wygrzewać się do woli. Ten ostatni typ jest najcharakterystyczniejszy; z niego to rekrutują się zwykle szeregi *gavroche*'ów [3] warszawskich. Nadwiślak taki bywa zwykle wyrostkiem od lat dziesięciu do szesnastu. Sposobem utrzymania jest dlań sprzedaż piasku; zresztą przepędza czas nad wodą, paląc papierosy, gwiżdżąc lub grając w kamyki. Znaleźć go można najczęściej leżącego na wznak z rękami pod głową i przypatrującego się chmurom. Mieszkanie jego stałe jest tajemnicą i on sam częstokroć nie przypomina sobie, gdzie mieszka. Całkiem niewykształcony umysłowo, ma jednak właściwy sobie, a przy tym do wysokiego stopnia samodzielny pogląd na rzeczy, który wypowiada odrębnym i także sobie tylko właściwym językiem. Jest przy tym zabobonny, pobożny; o lada co zaklina się na wszystkie świętości, ale klnie przy tym z taką precyzją i biegłością, że nikt mu w tym wyrównać nie zdoła. Pobożne zaklęcia jego bywają często niezmiernie naiwne, np. „Jak Panu Bogu dobrze życzę". W potocznej mowie powtarza niezmiernie często wyraz: „ci", np. „On ci przyszedł do mnie; żebym ci mu dał dulca" (dziesiątkę) [4]. O ludziach żyjących w mieście i chodzących w porządnych paletotach i kapeluszach mówi zwykle z pobłażliwą i wyrozumiałą wyższością, nie chcąc jednak solidaryzować się z nimi, nazywa ich „oni". (...)

Arystokrację miejscową stanowią, jak już wspomnieliśmy, posiadacze sieci, podrywek i na koniec łodzi. Ci ostatni, na podobieństwo ptaków czyhających na łup, czają się przy brzegach; ale niech no ugrzęźnie na piasku statek parowy lub galar rozbije się o filary mostu, wnet biegnie w zawody wśród radosnych okrzyków kilkanaście łódek, jakby spod wody wyskoczyły. Następuje praca; słychać skrzyp sznurów, uderzenia siekier, klątwy, okrzyki zachęty - i w pół godziny robota skończona. Statek wyciągnięty, galar powiązany na nowo z połapanego drzewa - i znów cisza na wodzie, łódki przywiązane do brzegów, znów spokojnie i znowu:

Przez dnie cale i noce
Wisła szumi, bełkoce [5].

(D XLVII 48-50; GP 1873 nr 98 [właśc. 99])

[1] Maurycy Fajans (1827-1897) - przedsiębiorca żeglugi parowej na Wiśle; od 1866 kierował Spółką Żeglugi Parowej A. Zamoyskiego, w 1871 kupił trzy parowce likwidowanej Spółki, które dały początek Towarzystwu Żeglugi Parowej Maurycego Fajansa. Firma Fajansa do końca XIX w. była głównym przewoźnikiem na rzekach Królestwa Polskiego.

[2] Parochód – parowiec

[3] *Gavroche* (fr.) – wesoły ulicznik, łobuziak.

[4] Błędne objaśnienie; dulec oznaczał w gwarze warszawskiej papierosa lub jego ogarek, a dziesiątkę, tj. monetę dziesięciogroszową lub dziesięciokopiejkową, określano dychą.

[5] Niedokładny cytat z wiersza Teofila Lenartowicza *Galary* (w. 1-2). Właściwe brzmienie:

I dnie całe, i noce
Wisła pędzi, bełkoce.

Klasa nadwiślaków

Kłopotliwe majówki

Nie ma jak majówka.

Nie ma jak majówka,
rys. Arkadiusz Mucharski,
„Mucha" 1878 nr 20, s. 1

Majówka![1] to dla szczęśliwych, wybranych śmiertelników sposobność odetchnięcia z wygodnych poduszek kocza[2] czystym powietrzem wiosennym; to krótka przechadzka po wilanowskim ogrodzie, gdzie, jak głosi napis: jest zapomnienie życia; to równie wygodny powrót do domu; to rzeźwiejszy sen w nocy, uspokojenie nerwów, przedsmak wiledżiatury[3] – sielanka, w której Baucis[4] ma jedwabny kapelusik, a owieczki kolorowe kokardy na szyjach. Ale dla mniej zamożnych majówka to ważny i potrzebujący wielu przygotowań, a stąd kosztowny i kłopotliwy spacer. Dobre jest świeże powietrze – rozumuje niezamożny ojciec rodziny – ale dobry i grosz, którego brak na przyjemności; dobry i obiad zjedzony o właściwej porze, dobra po obiedzie i czarna kawa z gazetą, Thiersem, Remusatem i Gambettą[5].

Wszystkiego tego trzeba się wyrzec dla majówki. Nie bardzo uśmiecha się staremu ojcu rodziny zielona łąka, na której trzeba siedzieć po turecku podczas obiadowej pory, zimna kura – wydobyta z zatłuszczonej bibuły – zamiast rosołu i samowar, który nie chce się zagotować, mimo że cała rodzina wdmuchuje weń po kolei wszystek zapas świeżego powietrza, jaki od rogatek aż do miejsca posiłku zdołała zaczerpnąć po drodze.

A przy tym trzeba było córkom sprawić nowe sukienki – z powrotem trzeba opłacać wózki; na samej majówce pocić się wielce, herboryzować dla dania przykładu synkowi gimnaziście i dlatego schylać się ustawicznie. A przy tym jeszcze żona i córki nie pozwoliły zdjąć surduta, twierdząc, że to *mauvais genre*[6]; na dobitkę, nazajutrz po spacerze pokazało się, iż żywioły urwisowstwa do tego stopnia rozbudziły się w synku gimnaziście, że rady sobie z nim dać nie można; pogubiono platerowane łyżeczki i noże, potłukły się szklanki, poplamiły nowe sukienki – słowem, skaranie boskie! Ojciec rodziny robi sobie ślub, że to ostatnia majówka w jego życiu, i dotrzymuje tego ślubu – aż do przyszłej wiosny, aż do przyszłego maja. (D XLVII 57-58; GP 1873 nr 110)

[1] Majówki – urządzane od początku XIX w. podmiejskie wycieczki i zabawy, rozpoczynające letni sezon wycieczkowy. Z miasta wyjeżdżały całe ro-

Kłopotliwe majówki

Majówka,
„Mucha" 1875 nr 22, s. 4
ebuw.uw.edu.pl

dziny dorożkami, powozami, wozami, łodziami, a później tramwajami czy statkami, w kierunku Bielan, Saskiej Kępy lub Czerniakowa - popularnych miejsc wypoczynku, gdzie przedsiębiorczy warszawiacy urządzali huśtawki, karuzele, młyny diabelskie, strzelnice itp. oraz bogato zaopatrzone bufety i knajpki.

[2] Kocz- czterokołowy, półkryty powóz używany od XVI do XIX w.

[3] Wiledżiatura, wilegiatura (wł. *villeggiatura*) – przestarzałe: letnie mieszkanie, wypoczynek letni na wsi.

[4] Baucis – mityczna wieśniaczka frygijska będąca wraz z mężem Filemonem uosobieniem miłości małżeńskiej; mimo biedy oboje przyjęli gościnnie Zeusa i Hermesa, unikając dzięki temu potopu; po śmierci zostali zamienieni w drzewa.

[5] Louis Adolphe Thiers (1797-1877), francuski polityk, w l. 1871-1873 prezydent Francji; Charles de Rémusat (1797-1875), francuski polityk i filozof, w l. 1871-1873 minister spraw zagranicznych Francji; Léon Gambetta (1838-1882), francuski polityk, przywódca partii republikańskiej, przyczynił się do proklamowania III Republiki.

[6] *Mauvais genre* (fr.) – w złym tonie.

Kłopotliwe majówki

Koncert w Dolinie Szwajcarskiej z wątróbką w tle

Garson. Służę panu — *szą* dwa szare kublery. —
Pan Telesfor. Dobrze — nie mam programu — co teraz będą grać nie wiesz?
Garson. O wiem — po Syfonii *m* dur — pójdą *potpory Guanada* potem *Apertura* z *Frajera* a na końcu *Intermaco* -- O! dziś mamy ładny program...

W Szwajcarskiej Dolinie,
rys. Franciszek Kostrzewski,
„Kolce" 1876 nr 24, s. 185
ebuw.uw.edu.pl

Onegdaj zatem, to jest w sobotę, odbył się pierwszy koncert orkiestry p. Fliegego [1] . Pogoda nie sprzyjała mu bynajmniej, bo od rana padał deszcz, z rzadka tylko przerywany wesołymi uśmiechami słońca, po południu zaś zachmurzyło się na dobre. Koncert więc odbył się w sali, co nie wyszło na dobre ani panu Fliege, ani jego słuchaczom. Nie sądźcie, żeby słuchacze wyszli niezadowoleni z muzyki. Bynajmniej; ale jeśli miło jest słuchać Rossiniego, upajać się Beethovenem, Haydnem itp., słowem, jeżeli miło oddawać się wrażeniom i rozkoszom natury czysto idealnej, to tylko wówczas, kiedy wrażeniom tym nie towarzyszą inne, wprost im przeciwne i arcypoziome. Tymczasem w sali Doliny Szwajcarskiej [2] dziwnie jednocześnie doświadcza się rozmaitych wrażeń. Oto grają np. *Wilhelma Tella* [3]. Przymykasz oczy i z zachwytem słuchasz dźwięków górskiego rogu, którego echo roztrąca się o skały. Myślą przenosisz się do Szwajcarii. Widzisz góry i śniegiem okryte wierzchołki, i przepaście, i dzikie równiny. Słyszysz metaliczne dźwięki źródlanej wody uderzającej o skały - dochodzi cię huk wodospadu, nad którym kraczą orły. Słońce rozkłada w siedem barw promień w mgle wodnego obrusa. Otacza cię natura i poezja. Marzysz... aż nagle urok pryska. Co się stało? E, nic! to tylko uderzył cię nagle zapach wątróbki cielęcej, którą jak każdemu wiadomo, przyrządzają z cebulką. Oto właśnie garson stoi na końcu sali przy bufecie, trzymając w ręku dwa mocno dymiące talerze. Niezła to nawet rzecz jest ta wątróbka cielęca, tylko szkoda, że tak mocno pachnie i że niepodobna jej pogodzić z muzykalno-poetycznymi zachwytami. Zresztą przyjemniej jest spożywać przeróżne sosy, niż za swoje dwa złote wąchać przeróżne sosy. Na to zgodzą się wszyscy. Przy tym gorąco jest w sali, duszno, *pianissima* nikną głuszone przez rozmowy, *fortissima* rozsadzają uszy - bogdaj to na świeżym powietrzu! bogdaj uśmiechnięty wieczór letni!

Koncert w Dolinie Szwajcarskiej z wątróbką w tle

— No ja! diese Symfonii — nie *tęko* nam *sze udala!*
— *Sistko* jedno jest! *tutejsza kretiki* i tak *pędom* chwalić, bo my *nie tutejse*, a *Sagraniczne* jest!

Członkowie orkiestry Fliegiego,
rys. Franciszek Kostrzewski,
„Kolce" 1876 nr 22, s. 173
ebuw.uw.edu.pl

– i zielone drzewa, i powiew wiatru, niosący nie zapach zrazów lub kotletów, ale bzów, jaśminu i akacyj. (D XLVIII 141-142; GP 1875 nr 99)

[1] Berlińska orkiestra symfoniczna Reichshallen pod dyrekcją Hermana Fliegego (1829-1907) odwiedzała Warszawę w l. 1875-1877, koncertując z powodzeniem w sezonach letnich w Dolinie Szwajcarskiej. Opisywany koncert miał miejsce 8 maja 1875; program koncertu w d. 16 maja (niedziela) zob. „Kurier Warszawski" 1875 nr 104, s. 4.

[2] Dolina Szwajcarska – przez ponad sto lat ulubione miejsce wypoczynku i rozrywek warszawiaków. Zajmowała kiedyś rozległą powierzchnię od ul. Pięknej do al. Róż, aż po ulicę Chopina, przeprowadzoną przez jej teren ok. 1895 r. Obecnie jest to niewielki ogródek oddzielony od al. Ujazdowskich gmachem Sądu Apelacyjnego.
Dolina powstała na wchodzących w skład Ujazdowa gruntach pobazyliańskich nabytych w 1825 r. przez Stanisława Ślęszyńskiego, który urządził tutaj otwarty dwa lata później park publiczny z pawilonami kawiarnianymi w „stylu szwajcarskim" (stąd być może wzięła się nazwa Doliny). W 1855 r. wybudowano na jej terenie zimowy budynek, mieszczący największą wówczas salę koncertową w Warszawie. W drugiej połowie XIX w. cieszyła się ogromnym powodzeniem u eleganckiej publiczności warszawskiej. Koncertowały tutaj zarówno zagraniczne orkiestry, m.in. Straussa, Bilsego, Fliegego, jak i rodzime: Rajczaka, Osmańskiego, Namysłowskiego.

[3] *Wilhelm Tell* – opera Gioacchino Rossiniego, w programach koncertów często wykonywano uwerturę do tej opery.

Krucjaty przeciwko obcym artystom

Najazd na Warszawę koncertantów zagranicznych,
rys. Franciszek Kostrzewski,
„Biesiada Literacka" 1896
nr 48, s. 345

Ach, to wyławianie rubli, jakże ono teraz rozwielmożniło się na całym świecie! Do czego by to nawet doszło, tak u nas jak wszędzie, trudno i wyobrazić sobie; na szczęście jednak, znaleźli się obrońcy, którzy nas strzegą od wyławiania rubli przez pozarogatkowych przybłędów. Świeżo mieliśmy dowód takiej gorliwej obrony naszych rubli z okazji wystąpień pana Rubinsteina [1]. Patrzcie: przyjechał i wyławia ruble! Wprawdzie za owe ruble dał nam swój talent, dał nam potężną muzykę, dał nam promienne i nieopłacone chwile oczarowań i uniesień; wprawdzie cała Warszawa biegła na wyścigi na jego koncerta; wprawdzie krytyka odzywała się o nim z zachwyceniem, ale to wszystko marność! Wyławia nasze ruble, więc hajże na niego, bo przyjechał z daleka. Wszakże i za granicą bronią się *unguibus et rostris* [2] od przyjezdnych. Donoszą nam nawet z rozmaitych miast o organizujących się tam krucjatach przeciwko obcym artystom. W Paryżu oburzają się na Mierzwińskiego [3] za śmiałe targnięcie się na tamtejsze franki. W Londynie zwołany jest podobno *meeting* dążący do zabronienia Antoniemu Kątskiemu [4] polowania na funty. Ale co najgorsza, że w Wiedniu i Berlinie piorunują przeciw amatorom obrazów Brandta [5] i Gierymskich [6], ośmielającym się wydawać pieniądze za dzieła obcych artystów. Podobno promotorowie tych demonstracji domagają się przyznania im koron obywatelskich.

Co do nas, byliśmy dotąd zdania, że wyławiaczami rubli i franków można nazywać tylko szarlatanów, nie dających za ruble nic prócz bezczelności i blagi, ale nie prawdziwych i genialnych artystów. Przeciwko pierwszym wyławiaczom powstawaliśmy zawsze i obiecujemy sobie powstawać do śmierci; przeciwko mistrzom - uderzamy się w piersi mówiąc: *mea culpa* [7] – nie powstawaliśmy dotąd nigdy i przyznajemy się, mówiąc jeszcze raz: *mea culpa*, że z tego rodzaju zatwardziałością w grzechu nie podobna nam będzie się rozstać. (D XLVIII 14–15; GP 1875 nr 12)

[1] Koncerty znakomitego rosyjskiego pianisty Mikołaja Rubinsteina odbyły się 12 stycznia w sali Resursy Obywatelskiej oraz 14 stycznia w Teatrze Wielkim. Recenzja pierwszego koncertu zob. Polikarp Ul., *Nowiny bieżące krajowe* „Wiek" 1875 nr 9, s. 3.

[2] *Unguibus et rostris* (łac.) – szponami i dziobami; ze wszystkich sił.

[3] Władysław Mierzwiński (1848-1909), śpiewak operowy, określany mianem „króla tenorów"; występował na wszystkich większych scenach operowych świata; w 1881 jego występy w Warszawie stały się wydarzeniem.

[4] Antoni Kątski (1817-1889), pianista i kompozytor; pierwszy polski pianista wirtuoz, który zdobył światową sławę; koncertował we wszystkich większych miastach europejskich, w 1883 r. wyjechał na stałe do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

[5] Józef Brand (1841-1915), wybitny malarz batalista o międzynarodowej sławie, przedstawiciel tzw. szkoły monachijskiej malarstwa polskiego.

[6] Aleksander (1850-1901) i Maksymilian (1846-1874) Gierymscy, wybitni malarze polscy XIX w. Aleksander był przedstawicielem realizmu i prekursorem polskiego impresjonizmu, malował realistyczne sceny rodzajowe. Maksymilian to czołowy reprezentant tzw. szkoły monachijskiej i prekursor realizmu w malarstwie polskim, malował pejzaże i sceny z powstań listopadowego i styczniowego.

[7] *Mea culpa* (łac.) – moja wina.

— Warszawa ma obecnie w swych murach jednego z najznakomitszych artystów gry *mocnocichowej* *). Jest nim p. *Mikołaj Rubinstein.*

Nie jesteśmy w stanie ani piórem ani ołówkiem opisać gry tego mistrza. Aby jednak dać jakie takie o niej pojęcie, radzimy każdemu, niechaj się przysłucha komukolwiek dobrze grającemu na *mocnocichu* i wyobrazi sobie, że Mikołaj Rubinstein gra 10 razy wprawniej, 100 razy mocniej i 1000 razy lepiej.

*) Wyraz włoski *fortepiano* oddawna przepolszczony już został bardzo udatnie na *mocnocich*. Nowa nazwa nie weszła dotychczas w powszechne użycie, jedynie dla tego, że jedni chcą mówić *mocnocich* a drudzy są za *cichomocą*.

Wiadomości bieżące,
„Mucha" 1875 nr 3, s. 3
ebuw.uw.edu.pl

Krucjaty przeciwko obcym artystom

Kwestia wschodnia na warszawskim bruku

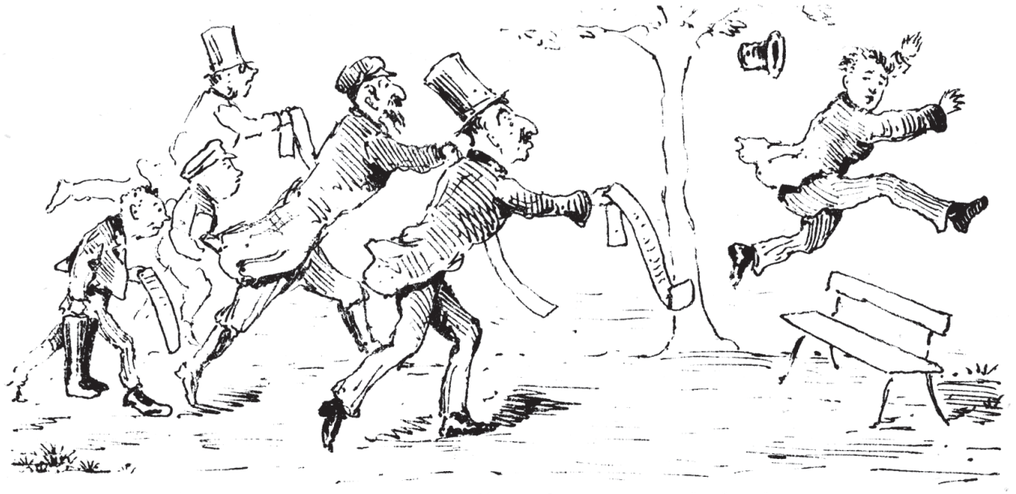

Great Steeple Chase czyli gonitwa z przeszkodami.

Cyrk warszawski [fragment],
„Mucha" 1875 nr 23, s. 4
ebuw.uw.edu.pl

Czy wiecie, czytelnicy, co to jest kwestia wschodnia? [1] Otóż na bruku warszawskim kwestią wschodnią nazywa się to, gdy długobrody wyznawca zasady: sto od sta, uchwyci pod filarami teatralnymi za angielskie poły od surduta złotego młodzieńca i trzymając w ręku wydzierającą się ofiarę biegnie za nią, ile mu sił wystarczy. Że zaś dla osadzenia na miejscu złotego młodzieńca, uciekającego przed wierzycielem, siły pojedynczego człowieka nie wystarczają - bywa więc tak, że tego, który trzyma, łapie z tyłu solidarny z nim drugi, tego znów trzeci, tego z kolei piąty, i cała ta kawalkada, podobna do pociągu kolei żelaznej, w której lokomotywą jest dłużnik, a wagonami wierzyciele, przebiega przed oczyma zdumionych i przestraszonych widzów tym śpieszniej, że lokomotywa dokłada wszelkich sił, żeby otrzymać najwyższą możliwą dla pośpiesznych pociągów szybkość.

Otóż to nazywa się w języku i na bruku warszawskim: kwestią wschodnią. Nasza złota młodzież, na wzór Anglii, rada by jej nie poruszać nigdy, wschodnie zaś żywioły dążą do rozwiązania jej, ile razy zdarzy się dobra po temu sposobność. (D XLIX 154-155; GP 1875 nr 251)

[1] Kwestia wschodnia to umowna nazwa konfliktów międzynarodowych związanych z postępującym od końca XVIII do pocz. XX w. rozpadem wielonarodowego imperium jakim była Turcja i walką Austrii (nast. Austro-Węgier), Wielkiej Brytanii, Prus (od 1871 Niemiec), Francji oraz Rosji o podział jej ziem.

Kwestia wschodnia na warszawskim bruku

Letni salon Warszawy

Saski Ogród,
rys. Arkadiusz Mucharski,
„Kurier Świąteczny" 1879 nr 28, s. 4

Jako cicerone [1], powiodę was do Saskiego Ogrodu [2] pomiędzy tłumy, w ów modny chaos kurzu, sukien kobiecych, wrzekomo paryskiego żargonu, turniur, parasolek, binokli, papierosowego dymu, nóżek niewieścich i rękawiczek - na koniec kobiet i mężczyzn. To wszystko, widzisz, nasza rozrywka, a zarazem, jeżeli chcesz, to nasza wystawa, wielki *magasin des modes* [3] - wystawa ubrań, domowych zasobów pieniężnych i na koniec konkurs na wdzięki. Oto po ławkach siedzi złota młodzież, biegli sędziowie, a włożywszy na nos binokle, poważni, przejęci wielkością zadania, studiują starannie piękności. Wybór niełatwy! Ach! w żłoby im dano nie tylko owies i siano! A jednak trzeba wybrać, trzeba dać premium. Oto zbliża się jakaś postać niewieścia; błyszczące szkiełka zwracają się ku niej - i nagle cichy, arystokratycznie grassejowany [4] wyraz *„charmante!* [5] *charmante!"* przelata z ust do ust, niby po drucie elektrycznym. Opinia ustalona - uznana nowa piękność, konkurs zamknięty.

Lecz ty masz dosyć i tego - chaos odurzył cię. Więc idźmy dalej. Oto na prawo, boczną ulicą wije się sznurek pensjonarek; niby gąski, drepcą jedna za drugą, zwracając na środkową ulicę ciekawe spojrzenia. „Chciałaby dusza do raju, ale grzechy nie puszczają". A jeśli nie grzechy, to przełożona. Dalej znów emeryci pod mającym zjawić się wraz z liściami cieniem drzew - weterani, to jest wytyrani życiem, siedzą cicho na ogrodowych ławkach, gwarząc, o czym się zdarzy, a cichą pogawędkę przerwie chyba żwawa sprzeczka polityczna. P. radca utrzymuje, że pokój jest wielkim dobrodziejstwem, a poczciwiec oddałby ulubionego Azorka i żółtą chustkę fularową, i co ma, byle tylko była wojna. Pan naczelnik drażni pobożnego pana sędziego utrzymując, że „wszystkiemu złemu na świecie winni jezuici"...

- A cóż im acpan dobrodziej zarzucasz?
- Wszystko!
- To nie dosyć.
- Czy to jeszcze mało? Alboż to nie oni szkodzą podwalinie społecznego ustroju, religii? należałoby ich nazwać „jezujedzi"...

Zbierało się na coś gorącego ze strony p. sędziego, ale dalszą rozmowę stłumiły wesołe okrzyki dzieci biegających za piłką lub obręczami. Staruszkowie umilkli, goniąc rozmiłowanymi oczyma te prawdziwe motyle ludzkiej wiosny życia, ubrane podług ostatniej mody.

Ogród Saski,
rys. Franciszek Kostrzewski,
„Mucha" 1876 nr 36, s. 4

Środkiem alei biegnie ze wszystkich sił dziesięcioletnia może dziewczynka; nóżki zdają się ziemi nie tykać, wstążki furkają koło głowy, a za nią gonią jeszcze potoki złotych włosów.

Prawdziwy to motyl!... tu ją trzymasz, tu jej nie masz; zakręci się ze szczebiotem i dźwięcznym jak srebrny dzwonek śmiechem, błyśnie raz jeszcze i lada chwila zniknie.

Stary radca posmutniał i łza zakręciła mu się w oku.

- Moja Malinka zupełnie taka była. A żebyś wiedział, sędzio, co to było za dziecko!...

Tu stary radca urwał i schylił się po piłkę, która zatrzymała się u nóg jego, a podniósłszy ją, podawał zawstydzonej dziewczynce. Ile tylko starość może mieć słodyczy i tkliwości, tyle teraz zbiegło się w jego uśmiechu.

- Proszę, panienko...

- *Merci, monsieur!* [6]

- Jak ci na imię?

- *Julie...*

- To nie tak, jak było mojej. A czemu ty, dziecko, nie mówisz po polsku?

Dziewczynka obejrzała się bojaźliwie.

- *Moi...* ja chciałabym... *mais madame se fâche...* [7] kiedy mówię po polsku - szepnęła nieśmiało.

Staruszkowie pokiwali głowami. - Mój Boże! mój Boże!

Ot i ja sam już po przytoczeniu tej rozmowy żałuję, żem ją przytoczył, bo i na cóż to się zdało? Czy mało już w tej walce o nasz język wypsuto piór i papieru? „Czego wy o to tyle hałasu robicie - mawiał jeden z moich znajomych - francuszczyzna wszak ci to język salonów! a ma ktoś głupstwa gadać, to po polsku ani sposób! Nasz język nic na tym nie traci". Zauważyłem, że i z tego względu Saski Ogród stał się salonem warszawskim, salonem-przechadzką.
(D XLVII 35-37; GP 1873 nr 89)

[1] Cicerone (wł.) – przewodnik oprowadzający turystów.

[2] Ogród Saski – część Osi Saskiej, barokowego założenia urbanistycznego powstałego w l. 1713-1745 z inicjatywy Augusta II Mocnego. W pierwszej połowie XIX w. został zmodyfikowany stylowo i funkcjonalnie, stając się miejskim ogrodem publicznym. W l. 1816-1827 przekształcono go (wg projektu Jamesa Savage'a) w park krajobrazowy z elementami wcześniejszego układu regularnego. Od połowy XIX w. wprowadzano w Ogrodzie nowe obiekty architektoniczne i użytkowe, jak: Instytut Wód Mineralnych, wodozbiór, czy Teatr Letni. W XIX w. był popularnie nazywany „letnim salonem Warszawy".

[3] *Magasin des modes* (fr.) – magazyn mód.

[4] Grassejować zob. s. 49

[5] *Charmante!* (fr.) – urocza, pełna wdzięku.

[6] *Merci, monsieur* (fr.) – dziękuję, panie.

[7] *Moi...* (fr.) ja; *mais madame se fâche* (fr.) – ale pani się gniewa.

Letni salon Warszawy

Letnie mieszkania dla podopiecznych Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności

Ostateczności się stykają,
„Mucha" 1876 nr 9, s. 3

Od niejakiego czasu krąży u nas sporo filantropijnych nowin. Mówią, a nawet piszą o jakichś gruntach pod Warszawą, rozległych a nieuprawnych, będących własnością miasta, które mają być podobno oddane naszemu Towarzystwu Dobroczynności [1]. Towarzystwo wybuduje na nich jeden, dwa lub trzy domy, w których na lato pomieszczać będzie swych pupilów i pupilki. Wyjdzie im to niezawodnie na zdrowie. Zamiast dusić się i pocić w czasie upałów letnich w Warszawie, w tym sławnym gmachu, którego napis *Res sacra miser* [2] przypomina nam tylko, jak wszystko w nim, tak na zewnątrz jak na wewnątrz, jest mizerne - zamiast więc, powtarzam, dusić się w takim mizernym gmachu, będą sobie dziadowiny i babinki siedzieć na wsi, oddychać czystym powietrzem, herboryzować [3] i krzepić nadwątlone pobytem w mieście zdrowie. Grunta te mają być oczywiście przez połączone siły starców i babek uprawiane, a w ten sposób kolonia nie tylko że nie pociągnie za sobą wydatków z funduszów Towarzystwa, ale z czasem przyniesie gotowe zyski lub w najgorszym razie opłaci przynajmniej sama siebie. Teraz chodzi tylko o postawienie domów, a letnie Dobroczynności mieszkania będą gotowe. (D XLVIII 113; GP1875 nr 84)

[1] Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, największa w XIX w. warszawska organizacja społeczna, założona w 1814 r. i prowadząca działalność nieprzerwanie do 1949 r. Opiekowała się wykluczonymi społecznie, udzielała zapomóg, organizowała ochronki.

[2] *Res Sacra Miser* (łac.) – biedny jest rzeczą świętą; napis na fasadzie gmachu Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności mieszczącego się przy Krakowskim Przedmieściu 62.

[3] Herboryzować - zbierać rośliny w celach naukowych.

Letnie mieszkania dla podopiecznych Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności

Loteria fantowa i kaprysy losu

Zwycięzcy loterii fantowej w Ogrodzie Saskim,
„Mucha" 1876 nr 41, s. 3

Niechaj nam będzie wolno wspomnieć o filantropijno-kwiatowo-fantowo-modnej zabawie, to jest o loterii [1], jaka odbyła się wczoraj w Saskim Ogrodzie [2] na korzyść biednych bez różnicy wyznań.

Już od rana chmurno było jakoś i posępnie, a zaraz po południu spadł pierwszy, krótki, ale rzęsisty deszcz, niby pierwsze ostrzeżenie, po którym wkrótce nastąpiło i drugie. Pomimo tego zabawa rozpoczęła się. Tłumy zgromadziły się w głównych alejach i około namiotów. Oglądano się wzajemnie i kupowano bilety. Zwykłe przy losowaniu ożywienie poczęło ogarniać grających. Namiętność szczególniej budził powóz i dwie krowy. Los kaprysił, jak zwykle, obdarzając małe dziewczynki papierosami, dandysów pończochami damskimi, wojskowych lalkami itp. Czasami jednak kaprysy owe wyglądały jakby na umyślną złośliwość. Mówiono np. o pewnym złotym młodzieńcu, znanym rozrzutniku, który wygrał skarbonkę; o literacie idealiście, który wygrał pustą bańkę szklaną; o pozytywiście, którego los obdarzył książką do nabożeństwa, inny znów literat wygrał swoje własne dzieło, i widziano, jak krzywił się, sam nie wiedząc, co z tym fantem robić. Najwięcej było, oczywiście, takich, co nic nie wygrali; najwięcej jednak ze wszystkich wygrał ten, który wcześniej poszedł do domu, albowiem nie zmokł do ostatniej nitki.

Wystawmy sobie przerażenie i popłoch, jaki ogarnął tłumy, gdy nagle okrzyk: „deszcz!" przeleciał, niby po drucie telegraficznym, przez wszystkie usta. Rzeczywiście, deszcz lunął jak z cebra. Rozległy się wołania o parasole i okrzyki rozpaczy; mężowie śpieszyli na ratunek swych żon, których niepodobna było odnaleźć. Opustoszały wszystkie ławki i na numerowanych miejscach, które kosztowały rubla, nikt by i za grosz usiąść nie chciał. Wszystko śpieszyło pod estrady, namioty, do Semadeniego [3] lub pod drzewa, pod którymi natłoczone gromady ludzi przypominały gromady owiec. Tymczasem deszcz mył głowy wszystkim, bez różnicy stanowiska, płci, wieku, wyznania; widziano znakomitości literackie uciekające i poślizgujące się na głównej alei na równi z najpospolitszymi śmiertelnikami;

Loteria fantowa i kaprysy losu

Rozpoczął się tedy odwrót do domu. Niestety komunikacje lądowe były przerwane. Zjawiły się wprawdzie wodne, ponieważ jednak dorożki nie pływają, a czółen na ulicach nie mamy, wracano tedy *wbród*, ściśle mówiąc, *po kostki* w wodzie.

Loteria fantowa [fragment]
„Mucha" 1875 nr 26, s. 2

słyszano felietonistów przeklinających trudne obowiązki swego powołania. Woda ściekała po parasolach za kołnierze, napełniała kieszenie. Co stało się z tualetami damskimi, z sukniami i kapeluszami, łatwo odgadnąć.
(D XLVII 86-87; GP 1873 nr 143)

[1] „Od 1 lipca 1850 r. wszedł w zwyczaj nowy pomysł uatrakcyjnienia Ogrodu. Były to zabawy muzykalno-kwiatowe organizowane na cele dobroczynne. Z reguły odbywały się dwa razy w roku, w czerwcu lub lipcu i na początku września. Połączone były z loterią fantową, sprzedażą przyrządzonych przez panie z komitetu organizacyjnego smakołyków, czasem z pokazem lotów balonem. Organizowało je pod hasłami pomocy dla biednych, pogorzelców i sierot żołnierskich Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności. Dochody uzyskane ze sprzedaży biletów wstępu, biletów loteryjnych, często hojne dary pieniężne uczestników zabaw składane na ręce pięknych kwestarek, przeznaczano na pomoc dla potrzebujących. Za każdym razem Towarzystwo Dobroczynności powoływało komitet zabawowy pod wysokim protektoratem znanej osobistości warszawskiej. Czasami był to prezydent miasta, niekiedy wielki finansista. Członkowie Komitetu dostarczali fantów na loterię, panie przyrządzały chłodniki i cukry, do których dokładali się znani warszawscy cukiernicy, sprzedawane w wystawionych specjalnie w tym celu namiotach".
E. Charazińska, *Ogród Saski*, Warszawa 1979, s. 88.

[2] Ogród Saski zob. s. 125

[3] Cukiernia Antoniego Semadeniego znajdowała się w Ogrodzie Saskim od strony Królewskiej 6 (413 D). Była to dawna cukiernia Lesslów, prowadzona przez dwa pokolenia pochodzących z Włoch cukierników, którą w 1829 r. nabył Edward Strasburger, a nast. odstąpił w 1859 r. Józefowi Semadeniemu, a ten z kolei w 1870 r. odsprzedał ją swemu bratu, Antoniemu. Cukiernia słynęła z „wybornych napojów gorących, doskonałych sorbetów, słynnych lodów, delikatnych cukrów i smakowitych ciast". Zwana werandą Semadeniego, pełniła rolę letniego salonu Warszawy, miejsca spotkań szczególnie dziennikarzy i literatów.

Miasto melomanów

— Posed prec niemce! a to skaranie Boze, dopiero co jeden nadudlił usów, a juz drugi pisey,—wynoś się bo cię wymiotę.
— Nie krzykać pan struś—Warszau lubić musik!

Warszawa ma swoją reputację muzykalną, nawet za granicą,
„Kurier Świąteczny" 1876 nr 33, s. 1

Warszawa (...) jako miasto melomanów ceni niezmiernie muzykę, a dobrych wykonawców stawia tak wysoko, iż dziwić się należy, że im samym w głowie się nie kręci. Dowodem takiej czci dla artystów jest i pan Laub [1], którego przyjazd i kilkakrotne wystąpienie tyle narobiły wrzawy, że gdyby sam Szopen zmartwychwstał i stanął widomie między nami, jeszcze by tego wystarczyło. Obecnie przyszedł właśnie czas na takie zachwyty; przyszedł muzykalny sezon zimowy, toteż koncertów mamy co niemiara. Powiedziałbym nawet: „Pływamy w powodzi koncertów", gdyby nie to, że tę śmiałą uwagę robią co rok, jak zapisał, reporterowie pism periodycznych; gdyby nie to, że forma tej uwagi co rok się powtarza. (D XLVII 143; GP 1873 nr 280)

[1] Ferdinand Laub (*1832–1875*), czeski kompozytor i wirtuoz skrzypcowy; koncertował w grudniu 1873 r. w Salach Redutowych Teatru Wielkiego, siedzibie Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego.

Jeszcze się w salonach nie skończyło, a już się na podwórzach zaczęło,
„Kurier Świąteczny" 1878 nr 24, s. 4

Mleczarnie i miłość

Mleczarnia w Ogrodzie Saskim,
rys. Adolf Kozarski,
„Przyjaciel Dzieci" 1863 nr 112, s. 156

Prawdziwy mieszczanin szuka latem miejsc nie brukowanych, a porośniętych drzewami; pójdźmy więc za nim w te zwłaszcza, gdzie, jak np. do Saskiego Ogrodu [1], nie chodzimy co dzień.

A tu, mój czytelniku, zawiodę cię do naszych mleczarni [2]. Jeżeli w dzień zgrzałeś się, zapociłeś, zakurzyłeś i zmęczyłeś, chętnie wieczorem podążasz pod chłodne dachy płócienne, gdzie wiatr potrząsa liściem drzew, gdzie czuć zapach razowego chleba i serwatki, gdzie kwaśne mleko, ukryte pod cienkim płaszczykiem śmietany, przejmuje chłodem atmosferę - i gdzie wesołe nimfy roznosząc nabiał wśród śmiechu i gwaru, uprzyjemniają ci chwile. Mleczarnie są zarazem i szkołą dla młodzieży, która ukończywszy dzienne studia w budkach z wodą sodową, śpieszy tu wieczorami uczyć się towarzyskiego szyku i galanterii dla płci niewieściej. Wówczas to będziesz podziwiał z jednej strony zapas dowcipu i humoru naszych złotych i pozłacanych młodzieńców, z drugiej - zręczność posługujących nimf, które nawoływane ze wszystkich stron, zatrzymywane, ciągnięte za wszystkie części ubrania, umieją jednak wywikłać się z owego labiryntu rąk, nóg i nawoływań, umieją odpowiedzieć na każdy dowcip, na każde słówko, oddać uśmiechem za uśmiech, a nade wszystko nie rozlać ani kropelki mleka.

Ustronniejsze, mniej zwiedzane a więcej zacienione mleczarnie służą nawet czasami za przytułki dla pełnoletnich... par zakochanych. Wówczas to urocze zaklęcia miłosne i szmer pocałunków mieszają się z brzękiem kuflów. Znamy jedną taką mleczarnię, do której nie radzilibyśmy żadnej matce prowadzić małych lub półdorosłych córek, albowiem przesiadujące tam pary wyrażają wzajemne afekta z taką precyzją i energią, że mimo woli mogą zaznajomić z *ars amandi* [3] takie nawet istotki, które o tych wspaniałych uczuciach nie miały dotąd najmniejszego pojęcia. (D XLVII 74-75; GP 1873 nr 131)

[1] Ogród Saski zob. s. 125

[2] W 1862 r. „Kurier Warszawski" (nr 144, s. 825) donosił: „Urządzony w Ogrodzie Saskim, w bliskości wód mineralnych Zakład Mleczarni, zyskuje coraz więcej wzięcia i coraz liczniejszych

Kuracja mleczna,
„Mucha" 1875 nr 34, s. 4
ebuw.uw.edu.pl

znajduje gości, pragnących korzystać z takiego zakładu. O ile bowiem myśl założenia jego była wyborną, o tyle rozwinięcie jej zasługujące na pochwały. Dawno już tego potrzeba było w Warszawie, a tym bardziej w środku miasta lub głównego spaceru, co też przy połączeniu jeszcze z odpowiednim urządzeniem, tym więcej podnosi to miejsce i zadowalnia uczęszczających. Pozostawałoby tylko do życzenia otwarcie furtki, łączącej ten zakład z ogrodem, gdzie pod wspaniałą Lipą, można by również, jak pod namiotami zakładu, używać przyjemnego chłodu".

[3] *Ars amandi* (łac.) - sztuka kochania; aluzja do tytułu poematu Owidiusza.

Młodzież złota i pozłacana

Wystawa skarpetek kolorowych w Saskim Ogrodzie,
rys. Franciszek Kostrzewski, ryt. Konstanty Przykorski,
„Tygodnik Ilustrowany" 1864 nr 269, s. 436

Czy mamy złotą młodzież? Nie! Mamy tylko pozłacaną. Prawdziwy złoty młodzieniec szalał, hulał, pił, grał w karty, wyrzucał pieniądze, umizgał się do kobiet, słowem, popełniał mnóstwo głupstw i niedorzeczności, ale miał jedną dobrą stronę: oto posiadał żywe uczucie honoru, które było dla niego tym, czym jest pochodnia dla błądzącego w ciemnościach, tym, czym jest złamek masztu dla rozbitka rzuconego na rozhukane fale morskie. (...) Przysłowie mówi: „Krew, jak dobre wino - burzy się za młodu, tężeje na starość". Słowem, złoty młodzieniec ma swoje cechy, swoją tradycję, swój poetyczny urok, który tym poetyczniejszym się staje, że zwolna pyłem czasu się pokrywa, zwolna zmienia się we wspomnienia, z którymi teraźniejszość i nie idzie, i nie może iść w porównanie.

Albowiem złoty młodzieniec należy już do historii. Obecnie istnieje tylko młodzieniec pozłacany. A wiecie, czym się różni ten ostatni od poprzedzającego? Oto ma wszystkie jego wady, a nie ma jego przymiotów. Proszę was, czy widzicie tego pseudo-*gentlemana*, który oto jedzie na koniu? Kapelusz ma nasunięty na tył głowy, plecy zgarbione, twarz bladą, a nogi tak wysunięte naprzód i tak palcami odwrócone od konia, że zdaje się, jakoby nogami błogosławił biedne, chude, a długie zwierzę, podobniejsze do przęślnicy [1] niż do bożego stworzenia. Oto dzisiejszy złoty, a raczej pozłacany młodzieniec. Powiedzcież, czy ten *gentleman* ma w sobie coś rycerskiego? Nic! On ma raczej w sobie coś znudzonego. Blady jest, bo nie spał całą noc; nie spał, bo gdzieś w pobliżu Królewskiej grał w karty i przegrał kilka tysięcy rubli. Przy tym widocznie jest dziś nie w humorze, może dlatego, że kiedy wstał, to jest o godzinie pierwszej w południe, odebrał jakiś niesmaczny list od plenipotenta dóbr swoich. Jak to, więc on ma dobra? Ma albo lepiej: miał - i to niemałe. Po ojcach została mu fortuna co się zowie szlachecka, ale widzicie, jakieś tam trzy części już poszły. Stracił je i co gorsza, sam nie wie, na co stracił. Przegrał wprawdzie sporo, ale nie na grę większa część poszła, ale ot tak, rozlazła się. Żeby był szalał pełną piersią, żeby był wychylił do dna kielich rozkoszy, ale rozkoszy potężnej, palącej jak płomień

Młodzież złota i pozłacana

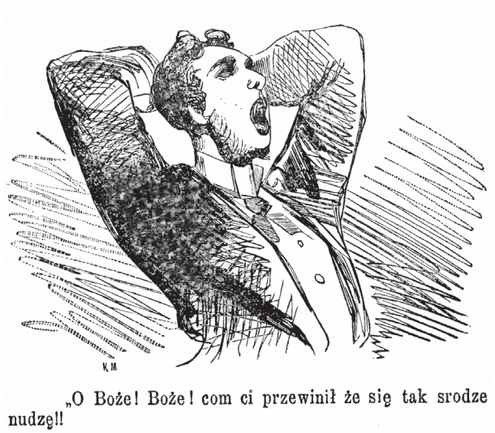

„O Boże! Boże! com ci przewinił że się tak srodze nudzę!!

Prawdziwy złoty młodzieniec,
„Kurier Świąteczny" 1875 nr 18, dod., s. 1
ebuw.uw.edu.pl

a estetycznej - mógłby przynajmniej kiedyś, robiąc obrachunek z życiem, powiedzieć jak Salomon [2]: Wszystkiegom użył, wszystko widziałem etc. Ale gdzie tam! ten *gentleman* nie umiał nawet i używać. Czy wiecie, na kogo tracił i komu zadawał szyku? Oto kelnerom w hotelu, garsonom [3] w restauracjach. Zdarzało się także, ze kataryniarzom wyrzucał po sto rubli przez okno. Kosztowali go także niemało guwernerowie, którzy wprowadzali go w życie i obznajmili z jego tajnikami. Kosztowały go także niemało przedwstępne kroki do serc prymadon baletniczych, które w końcu - o złośliwości ludzka! - wystrychnęły go na dudka. Zresztą sam nie wie, gdzie mu się wszystko jakoś podziewało. Ale prawda! Raz musiał dobrze zapłacić skoczka na linie czy na koniu, od którego, jak twierdzą złe języki, podobno coś oberwał za umizgi do jego żony. I cóż myślicie? Twierdzą, że zniósł to z rezygnacją! Ha! *Tempora mutantur et nos mutamur in illis* [4]. Z jakim przestajesz, takim się stajesz; kto więc żyje za pan brat z klownami, ten się nie obraża o lada co, gdyż, jak wiadomo, klowny nieraz się biją między sobą, a jednak nie obrażają się na siebie. Ale owóż teraz rozumiecie zapewne różnicę między złotym a pozłacanym młodzieńcem. Tamten przy swoich wadach dumny był jak szatan i rycerski, ten jest mniej dumny i mniej rycerski, a jeżeli jest i rycerski, to chyba względem dam cyrkowych. (D XLVIII 148-151; GP 1875 nr 105)

[1] Przęślica – *część* kołowrotka służąca do umocowywania kądzieli.

[2] Salomon (zm. ok. 925 p.n.e.), uznawany za najwybitniejszego króla Izraela.

[3] Garson (fr. *garçon)* – kelner.

[4] *Tempora mutantur et nos mutamur in illis* (łac.) – czasy się zmieniają i my wraz z nimi.

Muzeum Gassnera bawiące przy Nowym Świecie

Pan Gassner z torturami przejęty głęboką wdzięcznością za względy Warszawian, pożegnał nasze miasto z zapewnieniem głębokiem szacunku.

Facsimile do kroniki Warszawy,
rys. Władysław Szymanowski,
„Kolce" 1875 nr 19, s. 152

Ów „nieodwołalny”, a ustawicznie „na powszechne żądanie” odkładany wyjazd da się chyba porównać z „jeszcze tylko bardzo krótkim czasem”, jaki bawić tu już od dwóch miesięcy zamyśla słynne Muzeum Gassnera [1] na Nowym Świecie. „Jeszcze tylko bardzo krótki czas” - mówią afisze na ulicach, powtarza człowiek rozdający przechodzącym programy i donoszą ogłoszenia pism codziennych. Cóż by to znaczyło? Wprawdzie pojęcie czasu jest rzeczą nader względną; z tym wszystkim nie sądzimy, żeby p. Gassner dlatego tylko, że jego woskowy żuaw kona codziennie od kilku lat przez 12 godzin dziennie, miał pogląd na czas tak dalece od naszego różny. Ale ponieważ, jak wiemy, człowiek mimo woli ulega wpływom otoczenia, być więc może, że konwulsyjne robienie bokami woskowego konającego żuawa udzieliło się częściowo i jego panu, który skutkiem tego przewiduje, że „jeszcze tylko bardzo krótki czas” będzie się mógł produkować. Być może także, że podobnymi powodami można sobie wytłumaczyć pożyteczne bardzo, lubo może trochę za późne obniżenie cen wejścia i gorliwość w rozdawaniu na ulicy programów, czy kto chce je brać, czy nie chce.

Nie wchodząc jednak w te powody, powiemy, iż cieszy nas odlot podobnych ptaków. Bądź co bądź, wszelkie woskowe muzea naprzód: źle wpływają na moralność szkolnej zwłaszcza młodzieży, a następnie: psują smak publiczny, dając wrażenie grube i wstrętne zamiast prawdziwie estetycznych. Zbiór mieczów katowskich, średniowieczne tortury, w połączeniu z objaśnieniami w nieistniejącym na świecie języku, składającym się z mieszaniny wyrazów polskich, niemieckich i rosyjskich, w fantastyczny sposób zakończanych - dalej zbiór półnagich figur lub woskowe przykłady okropnych skutków płochości, wszystko to razem wzięte jest przede wszystkim obrzydliwe. O ile zresztą takie muzea mają być pomocniczymi nauce, o tyle znajdują swoje uprawnienie; ale służąc zabawie, występując w roli rozmaitych ciekawości, ku zbudowaniu młodocianego wieku pokazywanych, więcej niezawodnie szkody niż pożytku przynieść mogą. Niechaj więc jadą jak najprędzej; my zaś skorzystamy z ich odjazdu i skierujemy naszą uwagę w inną stronę. (D XLVIII 84-85; GP 1875 nr 57)

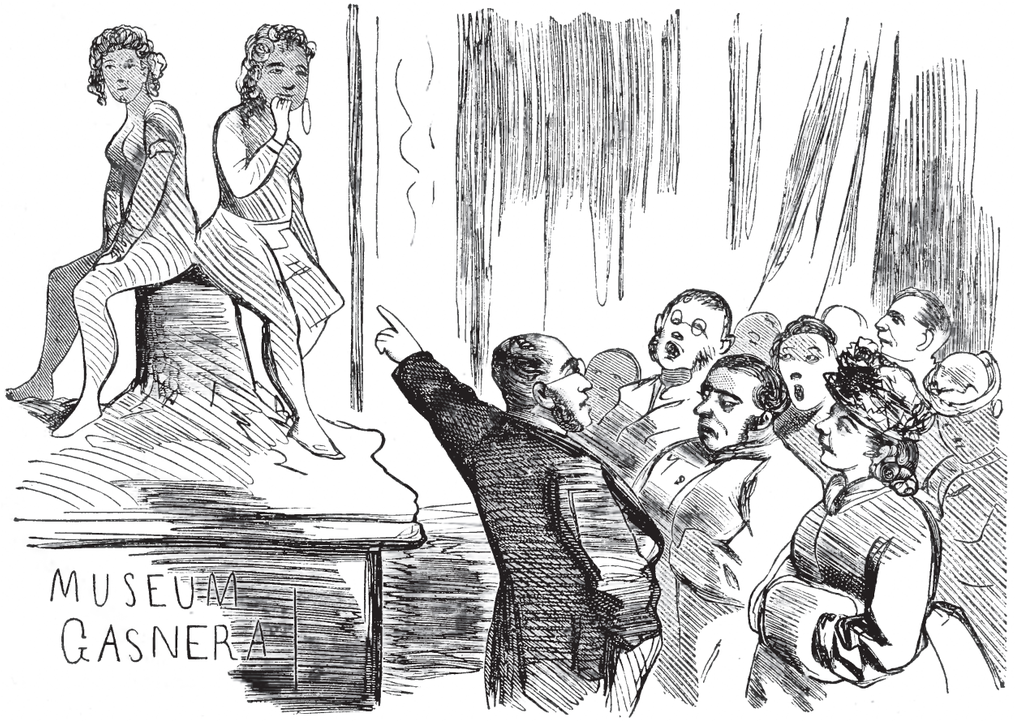

— Tfie karolinska srosnięta dziewica. Oba lupią pardzo tańcofać, aber jak jedna spi to druga nie może tańcofać, a jak jedna tańcuje to druga nie może spać.

Naukowe objaśnienia w Muzeum Gassnera,
„Kurier Świąteczny” 1875 nr 3, s. 1
ebuw.uw.edu.pl

[1] „Concurenz-Muzeum” J.B. Gassnera „zawierające przeszło 1000 arcydzieł” zostało otwarte „tylko na czas krótki” w Boże Narodzenie 1874 r. przy Nowym Świecie 49. Znajdowały się tutaj różnorodne eksponaty, jak: narzędzia tortur średniowiecznych, tandetne figury woskowe, zbiór broni i in. Więcej zob. *Wiadomości miejscowe*, „Kurier Warszawski” 1874 nr 285, s. 2.

Muzeum Gassnera bawiące przy Nowym Świecie

Nadzieje pokładane w Komitecie Sanitarnym

Józiek? A to ci dopiru z tego kanału jedzie! no! po co to takie okno?
Walek. Żeby w kanale pachniało.
Józiek. Jak porobią kanalizacjom, i dużo takich oknów pobudują, to chyba człek nie wytrzyma. . . .

W kwestii kanalizacji,
rys. Franciszek Kostrzewski,
„Kolce" 1876 nr 18, s. 144
ebuw.uw.edu.pl

Przypominamy sobie, że kiedyś, nie bardzo nawet dawno, zawzięcie kłócono się o to: czy trzeci most [1], prowadzący z Warszawy na Saską Kępę, czy kanalizacja? [2] Nakruszono z tego powodu niemało piór i rozlano niemało atramentu; otóż rzeczywistość pogodziła nas w ten sposób, że dotychczas nie mamy ani trzeciego mostu, ani kanalizacji, i że muchy się nawet ani na jedno, ani na drugie nie gonią. Co byście np. powiedzieli, czytelnicy, o dwóch szczękających z zimna i zaledwie okrytych biedakach, którzy by się pobili o to: czy cieplej jest chodzić w zimie w sobolach, czy w gronostajach? A jednak podobne walki zdarzają się u nas często. Z powyższej odnieśliśmy tylko tę naukę, że lepsze od mostu i od kanalizacji są pieniądze, o których użycie dość jest kłócić się wtedy, kiedy już są. Obecnie zamiast mostu mamy suche koryto Wisły, zamiast zaś kanalizacji specjalny tutejszo-miejski zapaszek, który kręci nas za nosy, jak sam chce, i który sprawi, że świeżo zawiązany komitet sanitarny [3] będzie miał u nas cztery razy więcej roboty niż we wszystkich krajach europejskich.

O komitecie tym nic więcej prócz tego, że został uformowany, powiedzieć nie można. Jakie będą jego szczegółowe czyny i przedsięwzięcia, przyszłość pokaże. Niektórzy mają nadzieję, że właśnie ów komitet zajmie się przeprowadzeniem, czyli przyprowadzeniem do skutku kanalizacji. Daj Boże, ale wątpimy. Spodziewamy się wprawdzie, że komitet ten nie zacznie prac swoich wzorem opiekuńczego komitetu, który miał czuwać nad przyszłym zwierzyńcem, a który zaczął od tego, że wydał wyrok śmierci na zwierzęta; spodziewamy się, mówiąc wyraźniej, że komitet nie każe zanieczyścić miasta dlatego, żeby miał potem co oczyszczać; ale z kanalizacją trudna sprawa. Komitet nie przeprowadzi jej przecież za własne pieniądze, a innych nie ma - chybaby nasza Syrena chciała zaciągnąć na ten cel pożyczkę, co przy jej środkach i kredycie nie jest rzeczą ani łatwą, ani nawet bezpieczną.

Prawdziwe to dziecię natury ta nasza Syrena. Naprzód - niech mi wybaczą czytelniczki - goła jest jak... święty turecki, a przy tym, jak większość dzieci natury, brudna tak, że

Nadzieje pokładane w Komitecie Sanitarnym

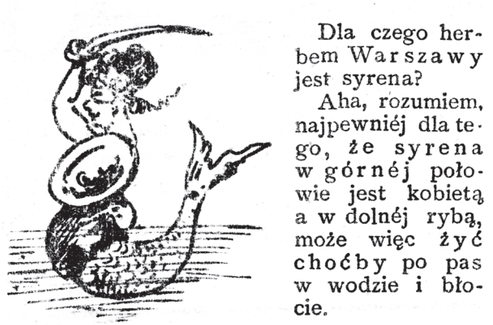

Dla czego herbem Warszawy jest syrena?

Aha, rozumiem, najpewniéj dla tego, że syrena w górnéj połowie jest kobietą a w dolnéj rybą, może więc żyć choćby po pas w wodzie i błocie.

Myśli Muchy w sprawie wodnistej,
„Mucha" 1876 nr 8, s. 2

o zakład by pójść można, że brudniejsza Syrena nie egzystowała nigdy na świecie. Sama się myć nie ma zwyczaju - myją ją tylko deszcze niebieskie, te deszcze, które tak obficie w ostatnich czasach skrapiać ją poczęły. Jest to dla niej arcypomyślna okoliczność, ale i deszcz, jak wszystko na świecie, ma dwie strony. Płucze miasta, to prawda, ale jednocześnie jakże okropnie wypłukuje kieszenie wieśniaków! (D XLIX 69-70; GP 1875 nr 169)

[1] O konieczności budowy „trzeciego mostu" w Warszawie mówiono od kilku lat, miał on też wielu przeciwników. Entuzjastą przedsięwzięcia nie był m.in. Bolesław Prus, który na łamach „Niwy" pisał: „Warszawa wznosząca podobną budowlę wyglądałaby jak stara kokietka, która skacze na łeb w bagno długu dla ozdobienia podszarzanej sukni nową krynoliną z żelaznych obręczy" (*Z Ustronia*, „Niwa" 1874, t. 5, nr 57, s. 209). Przez wiele lat jego budowa napotykała na przeszkody. Dzisiejszy most Poniatowskiego, ówcześnie urzędowo nazywany Mikołajowskim, został wzniesiony dopiero w latach 1904-1913. Więcej zob. S. Kieniewicz, *Warszawa w latach 1795-1914*, Warszawa 1976, s. 205-206.

[2] W 1875 r. na fali dyskusji o pilnej potrzebie założenia w Warszawie kanalizacji delegowano do Anglii specjalną komisję magistracką w celu zapoznania się z tamtejszym systemem, który okazał się jednak nieodpowiedni dla Warszawy. W drodze powrotnej komisja obejrzała kanalizacje działające w Hamburgu oraz Frankfurcie nad Menem i uznała, że zastosowane tam rozwiązania będą dobre dla Warszawy, w związku z czym nawiązała kontakt z ich projektantem, inż. Williamem Lindleyem. Budowę sieci kanalizacyjnej w Warszawie wg projektu Anglika rozpoczęto w 1881 r., a duże zasługi na tym polu położył ówczesny prezydent Warszawy, Rosjanin Sokrates Starynkiewicz, który wyjednał od władz rządowych odpowiednie środki na jej realizację.

[3] Warszawski Miejski Komitet Sanitarny został powołany w 1875 r. „dla rozpoznania kwestii dotyczących higieny m. Warszawy i zabezpieczenia zdrowia mieszkańców od wpływów choroby sprowadzających" decyzją warszawskiego generał-gubernatora i podlegał oberpolicmajstrowi. Skład Komitetu pod przewodnictwem pomocnika oberpolicmajstra Nikolaja Buturlina zob. „Kurier Warszawski" 1875 nr 158, s. 1.

Najciemniej pod latarnią

Pełnia księżyca w Warszawie,
„Kurier Świąteczny" 1873 nr 25, s. 1

Towarzystwu Gazowemu [1] [wiosna] dostarcza (...) poważnych myśli: że ponieważ z zimowym sezonem kończą się rauty i wieczory, można przeto latarnie gasić o dziesiątej. Jak deszcz pada, to nikt nie chodzi po ulicach, a jak pogoda, to księżyc świeci. To już jedno usprawiedliwienie; obok niego mogłoby zapewne Towarzystwo przytoczyć i wiele innych, istotnych bardzo i poważnych bardzo; odpowiadamy: ciemno nam! Może Towarzystwo zasłaniać się kontraktami; odpowiadamy: ciemno nam! Może Towarzystwo zarzucić nam, że nie chcemy wchodzić w powody ani ich słuchać; odpowiadamy: tracimy wzrok nocami na szkodę naszą - możemy też czasem stracić i słuch na szkodę Towarzystwa. Ciemno nam!

Wszystko to jest wielce niebezpieczne, nie tylko dla naszych nosów i kości, ale nawet i dla naszych wyobrażeń religijnych. Jak stróżowie kamieniczni zmuszają nas zimowymi nocami modlić się do Brahmy [2], tak znów ciemności łatwo doprowadzić mogą do czci gwiazd i księżyca, czyli do sabeizmu. Zwłaszcza wobec tegorocznej chmurnej i zapłakanej wiosny modlitwy do księżyca muszą się już zdarzać bardzo często. Szkoda, że Towarzystwo Gazowe nie weszło i z nim w jaki układ regulujący ilość światła, którą ma nam przesyłać.

Wiosenne bowiem chmury nie pozwoliły mu jeszcze ani razu świecić z własnej ochoty, słusznie więc część zarzutów naszych ściąga się i do pogody. (D XLVII 56-57; GP 1873 nr 110)

[1] W 1856 roku Magistrat udzielił Niemieckiemu Kontynentalnemu Towarzystwu Gazowemu z Dessau wieloletniej koncesji na budowę i eksploatowanie gazowni przy ul. Ludnej na Powiślu. Umowa, zawarta 1 maja tego roku, nadała koncesjonariuszowi prawo wyłączności oświetlania gazem Warszawy na okres 25 lat. Pierwsze latarnie gazowe w liczbie 92 zapalono w mieście 26 grudnia 1856 r. Kiedy Sienkiewicz pisał swój felieton, było ich już 1497. W tym czasie w lampach używano pojedynczych palników, dających światła nie więcej niż 7-8 świec, więc oświetlenie gazowe nie było dostateczne.

[2] Brahma – najwyższy bóg mitologii hinduskiej, stwórca świata.

Niedogodności i przywileje Teatru Letniego

Oto mamy *Teatr Letni*, w którym z powodu dokuczliwego chłodu, widzowie muszą siedzieć w futrach.

Teatr Letni,
„Mucha" 1877 nr 37, s. 2

Widocznie naszedł już czas otworzenia Teatru Letniego [1]. Ma on wprawdzie swoje niedogodności. Wiatr wykręca po nim, jak mu się podoba; fluksje [2], bóle zębów, reumatyzmy, strzykania w uszach są najpospolitszymi wrażeniami, jakie się zeń wynosi; ale pominąwszy owe ciemne strony, płynące może ze zbyt ażurowego rodzaju architektury, jest w nim przynajmniej znośnie. Zdaje się, że przeniesienie się doń nie sprawia wiele ambarasu. Pewnego dnia zjawia się na ulicy Niecałej kilka fur wiozących papierowe drzewa, wody, skały, strumienie i inne części krajobrazów; papierowe ściany kilku, bez zbytniego zresztą przepychu urządzonych, pokojów - i oto sprawa załatwiona. Na drugi dzień kochankowie i kochanki, margrabiowie, książęta, czarne i białe charaktery deklamują już wśród ścian drewnianych, a kochają się, żenią i umierają wobec publiczności trzymającej kapelusze nie w ręku, ale na głowie. Trzymanie bowiem kapeluszów na głowie [3] jest rzadkim u nas przywilejem Teatru Letniego. (D XLVIII 143-144; GP 1875 nr 99)

[1] Teatr Letni w Ogrodzie Saskim zainaugurował działalność 14 lipca 1870, jako jedna ze scen Warszawskich Teatrów Rządowych. Drewniany budynek o znakomitej akustyce, zbudowany wg projektu Aleksandra Zabierzowskiego, mógł pomieścić 940 osób. Grano lekki repertuar, a o powodzeniu teatru decydowały nazwiska wybitnych aktorów, m.in. Heleny Modrzejewskiej. Przenoszono tam przedstawienia z Teatru Wielkiego i Rozmaitości, ale bilety były tańsze, co miało zachęcić widzów do oglądania spektakli latem. Budynek spłonął we wrześniu 1939 r.

[2] Fluksja – zapalenie okostnej.

[3] Noszenie kapeluszy w miejscach publicznych zob. s. 106

Nowe gimnazjum okazją do rozważań na temat kształcenia w szkołach

Lekcyá arytmetyki.

Nauczyciel. No uważaj... Jeżeli masz 10 groszy, a wydasz 6, to ile ci zostanie?
Przyszły milioner. Kiedy ja nie wydam, panie profesorze.

Lekcja arytmetyki,
„Tygodnik Ilustrowany" 1868 nr 17, s. 202

Wspomnieliśmy o oświacie ludowej i o Prusach, od której pod tym, jak pod wieloma innymi względami, stoimy niżej. W jednym przynajmniej dorównamy im wkrótce, jeśli nie przewyższymy nawet - w znajomości łaciny i greczyzny. Myślę o nowej organizacji u nas szkół, w której nauka języków klasycznych szczególniej jest uwzględnioną. Filologowie utrzymują, że języki te wpływają „sakramentalnie" na umysły młodzieży. Nie przesądzając w niczym zdania tych panów, widzimy, że się na nich sprawdza staropolskie przysłowie: „każda liszka swój ogonek chwali". Owóż nie wszystkie liszki mają jednakowe ogony - a więc i co do owych języków klasycznych, a raczej ich przewagi, nie brak zdań nie tyle sprzecznych, ile utrzymujących, że języki te nie dla wszystkich są niezbędne i że dobrze by było mieć szkoły, inny kierunek popierające - kierunek realny. Nim do tego przyjdzie na szerszą skalę, pożądaną jest rzeczą, aby gimnazjum mające się założyć w Warszawie, przez pana Górskiego [1] wspartego prywatnymi siłami, było realnym. Nasz naród, jak się to pokazało niejednokrotnie, ma wysokie zdolności matematyczne. Dowodem Ciołek [2], Kopernik [3], Śniadecki [4], Hoene-Wroński [5] i inni; dowodem pochwały oddawane naszej młodzieży kształcącej się w szkołach matematycznych za granicą; dowodem imiona Folkierskiego [6], Gosiewskiego [7], Niewęgłowskiego [8], Sągajły [9], Feliksa Kucharzewskiego [10] - ludzi po większej części młodych, a już znanych zaszczytnie na polu naukowym. Otóż tak pięknych zdolności nie należałoby zaniedbywać. Gimnazjum realne wielkie by oddało nam usługi, zwłaszcza gdyby w nim obok matematycznego kierunku i nauki przyrodnicze odpowiednio uwzględnione zostały.

Pożytki płynące z nauk namacalniejsze są i bliższe niż korzyści z humaniorów. Zresztą, co komu służy. Rej [11] miał wiele rozsądku - i w owych już czasach wiedział, że „przyrodzenie ludzkie nadobnie rozumem hamować trzeba, a czego mu brak, tego dodać, czego zasię ma nadto, tego ująć". Stosując tę zasadę do nas, winniśmy wyrabiać w sobie przede wszystkim praktyczność, której nam największy brak i którą bardzo górują nad nami sąsiedzi Niemcy. (D XLVII 10-12; GP 1873 nr67)

[1] Wojciech Górski (1849-1935), pedagog, absolwent Wydziału Matematyczno-Fizycznego Szkoły Głównej (przekształconej w międzyczasie w Cesarski Uniwersytet Warszawski). W 1877 r. założył w Warszawie przy ul. Daniłowiczowskiej czteroklasową szkołę realną, po strajku szkolnym przekształconą w ośmioklasowe gimnazjum filologiczne. Szkoła, przeniesiona w 1883 r. do własnego gmachu przy ul. Hortensja (obecnie Wojciecha Górskiego), plasowała się na jednym z głównych miejsc w warszawskim szkolnictwie prywatnym. Zawdzięczała to m.in. reformatorskim i pionierskim działaniom podjętym w pracy szkolnej przez Górskiego. W czasach niewoli, wg słów samego założyciela, „spełniała zadanie ratowania młodzieży wypędzonej ze szkół rządowych za objawy uczuć patriotycznych". Szkołę ukończyły tysiące młodych ludzi. W okresie międzywojennym Górski przekazał ją społeczeństwu jako fundację.

[2] Właśc. Witelo, Vitelo, Witelon (ok. 1230 – ok. 1280), śląski filozof, przyrodnik i matematyk, jeden z najwybitniejszych uczonych europejskich średniowiecza. Główne dzieło uczonego *Perspectiva* (zwane popularnie *Optyką*), w którym dał najpełniejszy wykład optyki, służyło do XVII w. za podstawową pracę w tej dziedzinie.

[3] Mikołaj Kopernik (1473-1543), astronom, matematyk, ekonomista, lekarz; twórca teorii heliocentrycznej.

[4] Jan Śniadecki (1756-1830), matematyk, astronom, filozof; wybitny uczony doby oświecenia, pionier rachunku prawdopodobieństwa w Polsce, twórca polskiej terminologii matematycznej i astronomicznej.

[5] Józef Maria Hoene-Wroński (1776-1853), filozof, matematyk, astronom, fizyk, wynalazca, prawnik, ekonomista; w matematyce wprowadził tzw. wronskian, tj. wyznacznik funkcyjny w teorii równań różniczkowych.

[6] Władysław Folkierski (1841-1904), matematyk, inżynier, profesor uniwersytetu w Limie. Studiował w Szkole Politechnicznej w Karlsruhe i w Szkole Dróg i Mostów w Paryżu, uczęszczał na wykłady z matematyki i fizyki na Sorbonie.

[7] Władysław Gosiewski (1844-1911), matematyk, fizyk i filozof. Po uzyskaniu dyplomu magistra nauk matematyczno-fizycznych w Szkole Głównej studiował w Paryżu.

[8] Henryk Grach Piotr Niewęgłowski (1807–1881), działacz emigracyjny, matematyk, autor podręczników. Studiował na Sorbonie, gdzie otrzymał dyplom ukończenia nauk matematycznych.

[9] Adolf Sągajło (1812–1877), matematyk, pedagog, autor podręczników. Studiował prawo i matematykę na uniwersytecie w Tuluzie, studia matematyczne kontynuował w Montpellier, gdzie uzyskał stopień licencjata nauk matematycznych.

[10] Feliks Kucharzewski (1849–1935), inżynier budownictwa lądowo-wodnego, wybitny specjalista w dziedzinie historii techniki. Studiował matematykę w Szkole Głównej, wykształcenie uzupełniał w Wyższej Szkole Polskiej na Montparnasse w Paryżu, ukończył tam też Szkołę Dróg i Mostów.

[11] Mikołaj Rej (1505-1569), jeden z największych polskich pisarzy epoki renesansu.

Nowe gimnazjum okazją do rozważań na temat kształcenia w szkołach

Obrona członków Resursy Kupieckiej

Z powrotem z Resursy.

— Już trzecia, ciekawym co ty powiesz żonie?
— Ja, nie wiele, najwięcej, dzień dobry, —ale zato ona zapewne więcej mi powie.

Z powrotem z Resursy,
rys. Franciszek Kostrzewski,
„Mucha" 1878 nr 33, s. 1

O tak! świat bywa czasem zły: nie umie on ocenić nie tylko już zasługi, ale rzuca się często w swej zatwardziałości na najniewinniejsze ofiary. Dowodem tego są między innymi i członkowie naszej Resursy Kupieckiej [1], na których w ostatnich czasach złośliwość ludzka tak poczęła napadać, że przez proste poczucie sprawiedliwości, stajemy w ich obronie, a stajemy tym chętniej, że i felietony *Bez tytułu* dotknęły ich także dość boleśnie.

Zarzucają np. szanownym członkom, że wszystkie sprawy Resursy załatwiają z taką powolnością i tak ociężale, jak gdyby na wpół uśpieni. Jak to, panowie? Przypuśćmy, że członkowie w istocie są trochę senni, to i w takim razie czyż miłość bliźniego pozwala robić komuś nad uszami hałas właśnie wtedy, kiedy mu się spać chce? Nie, panowie. To tylko jeden więcej powód, by dla nieprzerywania mu snu siedzieć cicho. Niedawno znowu ktoś tam ogłosił w jednym z kurierów list wzywający członków, by na przyszłość nie głosowali przez pełnomocników, ale osobiście. Mój Boże! do czego to ludzka złośliwość się nie przyczepi? Więc wolno każdemu i w każdej sprawie urzędowej czy nieurzędowej występować przez pełnomocnictwo, a członkom Resursy nie ma być wolno głosować przez pełnomocnictwo? Przy głosowaniu trzeba przecież myśleć, jest to pracować, pracować jest to męczyć się - dlaczegóż ktoś, jeśli może wyręczyć się kim innym, ma głosować, a zatem myśleć, a zatem pracować, a zatem męczyć się osobiście. Gdybyśmy wszystko mieli wykonywać osobiście, do czego w takim razie byłaby instytucja komisjonerów? (D XLVII 144; GP 1873 nr 280)

[1] Resursa Kupiecka (początkowo pn. Towarzystwo Resursy Kupieckiej) powstała w 1820 r. z inicjatywy Wojciecha Sommera, starszego Zgromadzenia Kupców Miasta Warszawy, jako „stowarzyszenie kupców i obywateli warszawskich w celach wspólnej godziwej rozrywki i towarzyskich zebrań, na tle muzykalnych produkcji oraz rozmów o sprawach zawodowych i potocznych". Zrazu mieściła się w dawnym pałacu Morsztynów przy ul. Miodowej, po rozłamie (część członków utworzyła Nowe Towarzystwo Resursowe, nast. pn. Resursa Obywatelska) w 1830 r. przeniosła się do pałacu Mniszchów przy ul Senatorskiej. Odbywały się tutaj, oprócz spotkań towarzyskich, odczyty, koncerty czy bale. Pałac, odbudowany po II wojnie światowej, mieści obecnie Ambasadę Belgii. Z czasem członkami Resursy obok kupców byli reprezentanci finansjery, arystokracji i przedstawiciele wolnych zawodów.

Obrona członków Resursy Kupieckiej

Odczyty minione męskie i przyszłe kobiece

Panowie! o cóż nam chodzi? — o to, ażeby można wyciągnąć jak największy zysk z małego ziarnka jęczmienia. Otóż! przekonawszy się że warszawska publiczność tem drożej płaci za piwo czem mniejszych do niego używamy butelek, proponuję—ażeby od dnia dzisiejszego sprzedawać piwo w buteleczkach od kolońskiej wody.
(*Grzmot oklasków przerwał mowę szanownego prel-genta.*)

Odczyt dla piwowarów (*wsparty doświadczeniem*),
„Kurier Świąteczny" 1874 nr 13, s. 1

Najwymowniejszą cechą przeszłego sezonu zimowego były odczyty [1]. Czytano o różnych rzeczach rzemieślnikom, dowodzono nam, jak wielkim jest niebezpieczeństwem jeść zamiast sałaty mięso; uczono nas, jak mamy przyjmować ambasadorów lub zachowywać się sami w ich roli; dowiedzieliśmy się, jak mamy chować dzieci, aby nie wyszły nam na „pociechy rodziny"; jak kształcić kobiety; jak kochać się na wschodni energiczny sposób; jak unikać błędów w rozumowaniu - słowem, jak postępować od kolebki aż do grobu, aby żyć mądrze i wesoło, mieć i wiedzieć, co komu potrzeba, a na koniec zmienić tę ziemię na prawdziwy eden, w którym by ludzkość pod wodzą prelegentów mogła do woli pożywać z drzewa rozumu i drzewa szczęścia.

Nie na tym jednak koniec. Byłby to raj krojony wedle wyobrażeń i ideałów tylko męskich, zatem jednostronny, zatem połowiczny, zatem nie uwzględniający wymagań i życzeń długowłosej połowy rodzaju ludzkiego. Potrzeba mu dopełnienia i wypełnienia, grube zarysy planu winna przyozdobić misternymi szczegółami delikatniejsza ręka - pozwólmy więc i kobietom wypowiedzieć swe słowo we wszystkich kwestiach, które poruszali mężczyźni.

Pozwólmy?... Bądźmy spokojni: nie będą pytały nikogo o pozwolenie. Oto już jedno z pism naszych doniosło o pewnym kółku kobiet mającym wystąpić z kółkiem prelekcji. Doniesienie brzmiało krótko - niby wojenny biuletyn o zdobytej fortecy.

Co to będzie za kółko i o czym w kółko mówić będzie, dotychczas nie wiemy; za to tym obszerniejsze pole domysłom. W każdym razie cieszymy się nie żartem, iż nasze kobiety stanęły już tak wysoko pod względem umysłowym, że mogą występować z katedry. Dotychczas wiedzieliśmy zaledwie o kilku wybitniejszych niewieścich osobistościach, które by nie tylko bez śmieszności, ale z pożytkiem dla słuchaczów i słuchaczek mogły uczyć pierwszych lub drugie. Dziś widocznie liczba inteligencji kobiecych zwiększyła się nie żartem - i zapewne nie żartem coś usłyszymy. W interesie jednak przyszłych prelegentek radzimy im, by nie poprzestały na budujących a ogólnikowych manifestach wzywających do pracy, postępu i wiedzy, ale żeby od razu stanęły na gruncie konkretnym. (D XLVII 64-65; GP 1873 nr 121)

Odczyty minione męskie i przyszłe kobiece

P. Bolesław Pruss mówił wiele, popijał jeszcze więcej. A publiczność śmiała się serdecznie słuchając sama siebie, jak za każdą najmniejszą przerwą w czytaniu, odzywały się niby na komendę, trąbiące nosy i chrząkające gardła. O panie Pruss! zawiele użyłeś wody, zawiele!

Odczyt dobroczynny humorysty p. B. Prussa, „Mucha" 1877 nr 17, s. 3

[1] W latach siedemdziesiątych XIX w. znacznie zwiększyła się liczba organizowanych prelekcji. „Bywanie na odczytach stało się niemal obowiązkiem towarzyskim, modą, swego rodzaju rozrywką, zwłaszcza że odbywały się one zwykle w okresie postu przed Wielkanocą". Do popularyzacji prelekcji przyczyniła się prasa, która zawiadamiała o poszczególnych wystąpieniach, a następnie omawiała poruszany temat. Odczyty bywały przeznaczone dla wszystkich, a z czasem kierowane do konkretnego odbiorcy, np. „dla kobiet", „dla rzemieślników". Odbywały się w sali Ratusza, Resursy Obywatelskiej, Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, teatru Rappo. Prelekcje wygłaszali m.in. Sienkiewicz, Prus i Orzeszkowa. Na podst.: C. Gajkowska, *Odczyty* // w: *Słownik literatury polskiej XIX wieku,* pod red. J. Bachórza i A. Kowalczykowej. Wrocław 1991, s. 632–634. Wykaz odczytów publicznych, z których dochód przeznaczony był na różne cele, zorganizowanych od 1 października 1872 r. do 30 września 1873 r. zob. „Jana Jaworskiego Kalendarz Ilustrowany na rok 1874", II Rzeczy bieżące. Kronika roczna, s. 2.

Ogony damskie i inne złe zwyczaje

— Czy widzisz te dwie?
— Widzę.
— To są panny Kurzalskie.

— Cóż to za jedne?
— Tak się nazywają te, co teraz kurzą, bo wiedzą, że na starość będą musiały zamiatać.

Jeszcze słówko o zabójczych ogonach, „Kolce" 1875 nr 27, s. 209

Chodzenie po naszych brukach i chodnikach tym obecnie jest niebezpieczniejsze, że zbliża się lato, tanieją pomarańcze, a zatem coraz większa ilość pomarańczowych skórek będzie nam się plątać pod nogami. Oto niedawno z powodu pomarańczowej skórki o mało nie stał się ofiarą wypadku jeden z najstarszych literatów warszawskich. Wywodzi się z tego i piękna nauka moralna, jak to czasem najmniejsza rzecz bywa upadku wielkości przyczyną i jak okropne są skutki płochości amatorów pomarańcz, którzy jedząc je na ulicy, nie chowają skórek do kieszeni, czym i gospodarstwu domowemu szkodę przynoszą, i bliźniego upadku mogą być przyczyną. A więc:

Dziatki, przestańcie, bo się źle bawicie:
Dla was to jest igraszką, nam chodzi o życie! [1]

a przynajmniej o nogi i nosy, których sobie rozbijać nie mamy wcale ochoty. Zły to zwyczaj, ale ileż to jest złych zwyczajów, o których poprawę na próżno wołamy *de profundis!* [2] A na przykład ogony damskie [3], a rzucanie niedopalonych cygar i papierosów, a wiele innych? W Saskim Ogrodzie [4] już od ogonów kurz - całe tumany nawet, a cóż to będzie później, gdy nadejdą upały, gdy resztki wilgoci wyschną! Prawdziwe płucobójstwo, wołające o pomstę do nożyc, z pomocą których można by się od ogonów uwolnić.
(D XLVIII 156-157; GP 1875 nr 105)

[1] Parafraza wersów z bajki Ignacego Krasickiego *Dzieci i żaby*:

Rzekła: Chłopcy, przestańcie, bo się źle bawicie!
Dla was to jest igraszką, nam idzie o życie.

[2] *De profundis!* (łac.) – z głębokości, wyrażenie nacechowane podniośle, używane często z odcieniem żartu.

[3] „Ogony damskie" – mniej ładne określenie modnego wówczas trenu, tj. przedłużenia tylnej dolnej części sukni kobiecej, ciągnącego się za nią po ziemi. Suknię przed zniszczeniem zabezpieczała taśma wykończona specjalną szczoteczką, którą obszywano tren i cały dół spódnicy. Nie chroniło to jednak kobiet od zamiatania przez ich suknie ulicznego kurzu i błota. „Ogony" damskie i skutki ich noszenia były częstym tematem poruszanym w gazetach oraz przedmiotem drwin prasy satyrycznej. Bolesław Prus w *Kronice tygodniowej* pisał: „kurz, jaki podnoszą ogony sukien damskich w Saskim Ogrodzie, jest dodatkiem zarówno kosztownym jak i bezużytecznym. Powiedzieliśmy kosztownym, ponieważ dla wzniecenia go każda osoba płci żeńskiej dokupywać musi umyślnie na

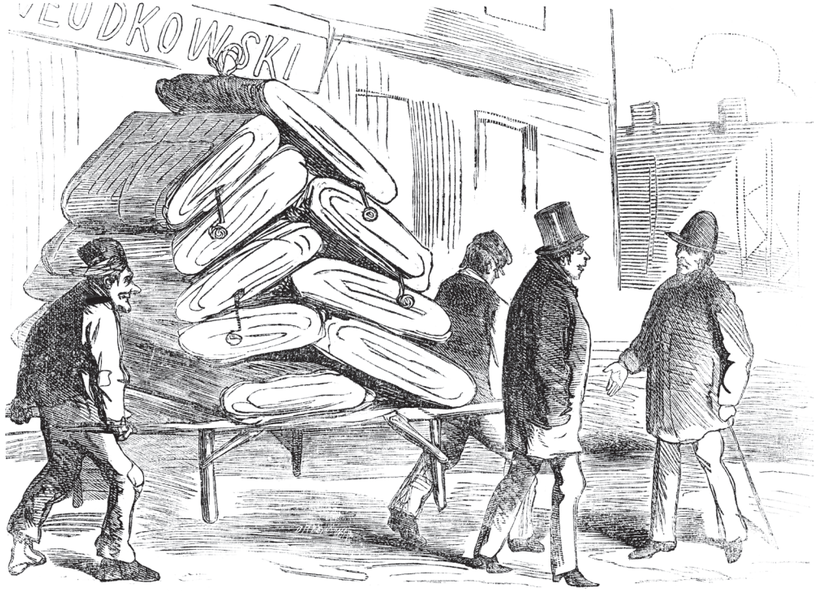

— Cóż to za paki niosą za tobą, czy sklep zakładasz jaki?
— O sklepie wcale nie myślę, a to co niosą, to materja którą kupiłem dla żony na, suknię z ogonem.

Ogonomania,
„Kurier Świąteczny" 1874 nr 23, s. 1

ten cel kilka łokci materii, dla której najzupełniej obojętnym jest, czy zostanie zjedzoną przez mole, czy też wytartą o bruki miejskie lub ulice ogrodów. Nazwaliśmy kurz dodatkiem nieużytecznym, ponieważ ludzie i bez niego tracą w Warszawie oczy i umierają na suchoty, częściej niż w jakimkolwiek innym mieście" („Kurier Warszawski" 1875 nr 90, s. 1). W tej samej gazecie opisano wypadek spowodowany przez „ogon": „Onegdaj jeden z ogonów (sukien pań naszych) był przyczyną zabawnej sceny. Było to nad wieczorem. Jakaś jak się zdawało panna żywego dosyć usposobienia wchodziła od strony Krakowskiego Przedmieścia do przechodniego domu Roezlera. W tejże chwili schodził z kamiennych stopni, flegmatyczny, lat średnich jegomość. Ogon sukni dostaje mu się pod nogi, opanowywa takowe i powoduje runięcie jegomości z chodnika w sam ściek z niemiłymi skutkami powalania się i stłuczenia. Rozgniewany zanim zdołał podnieść się, wykrzyknął: «A niech ją wszyscy diabli porwą z ogonem! ». Przytomna sprawczyni wypadku nie pozostała dłużną, w odpowiedzi wyrzekła bowiem zimno: «Bądź pan o to spokojny, jeżeli ją porwą, to bez ogona». Odpowiedź niespodziana wzbudziła głośny śmiech przechodzących".
„Kurier Warszawski" 1875 nr 137, s. 2.

[2] Ogród Saski zob. s. 125.

Omnibusowe osobliwości

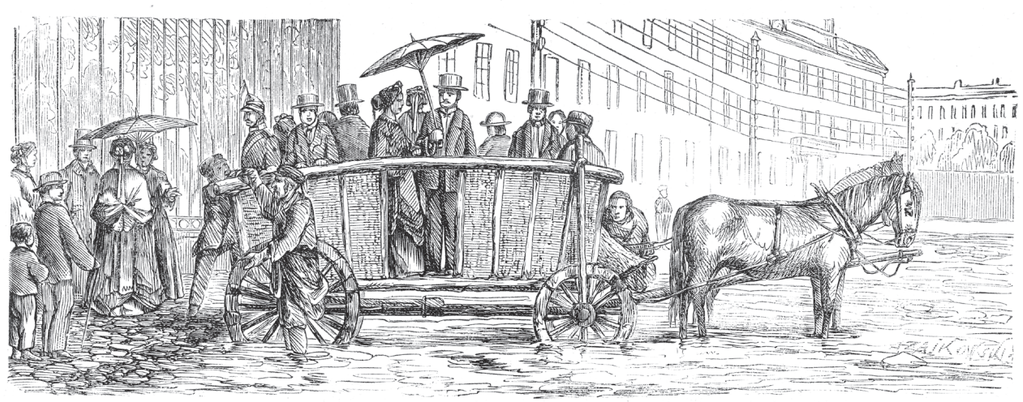

Omnibus naprędce, przez szerokość Królewskiej ulicy w Warszawie. (*Przemysł uliczny Warszawy*), rys. Ludwik Piechaczek, ryt. Andrzej Zajkowski, „Kłosy" 1869 nr 206, s. 312

Czyż jakakolwiek stolica europejska posiada np. takie konie jak te, które chodzą w naszych omnibusach [1], a które podobniejsze do widm lub szkieletów, niezdolnych na pozór do dźwigania samych siebie, dźwigają jednak ogromny ekwipaż wraz ze siedzącymi w środku osobami? Czyż posiada jakie miasto takie brudne omnibusy? (D XLVIII 50; GP 1875 nr 35)

[1] Pierwsza regularna linia omnibusowa, łącząca plac Saski z Królikarnią, została uruchomiona w 1835 r. przez przedsiębiorcę J. Godeckiego. Była to raczej trasa podmiejska niż miejska. Pierwsze omnibusy miejskie pojawiły się dopiero w 1844 r. za sprawą innego przedsiębiorcy, Piotra Steinkellera. Tzw. steinkellerki kursowały trasą: pałac Mostowskich - pl. Bankowy - pl. Saski - pl. Warecki - Marszałkowska, łącząc w ten sposób najważniejsze punkty Warszawy ze stacją końcową otwartej w 1845 r. Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Kolejne linie omnibusowe pojawiały się w następnych latach. *Przewodnik po Warszawie i jej okolicach na rok 1873/4* informuje o 42 omnibusach kursujących na czterech liniach miejskich. Z kolei w 1875 r. „Kurier Warszawski" (nr 190, s. 1), zamieszczając „szczegółowy wykaz wszelkiego rodzaju wehikułów" kursujących po Warszawie, wymienia wśród nich „zwyczajnych omnibusów parokonnych 61 sztuk i jeden amerykanik kursujący ze Zjazdu na Pragę".

— Czemu nie jedziecie, już stoimy z pół godziny na miejscu.

— Niech wielmożny pan będzie poczekać, bo tu jeden pan wisiadł i poszedł do kantoru na Leszno, ale on zaraz wróci, to pojedziemy dalej.

Na ulicy, „Mucha" 1878 nr 16, s. 3

Omnibusowe osobliwości

Opera włoska żegnana bez żalu

Opera włoska,
„Kurier Świąteczny" 1876 nr 20, s. 4

Na szczęście dla naszych kieszeni, razem z wiosną, podczas której przylatuje prawdziwe nasze ptactwo wędrowne, zagraniczne odlatuje do siebie na zachód i południe. Odjeżdża opera włoska [1] – żegnana bez żalu, choć opuszcza nas na wieki wieków. Wystawiono kilkanaście sztuk znanych jak pacierz, nakaleczono nam uszu, kazano nam patrzeć na prymadonny tak stare i tak zawsze odmładzające się jak kwestia wschodnia [2] – aż wreszcie cała opera, jakby bojąc się nadchodzącej wiosny i jej śpiewaków słowików, ucieka unosząc z sobą wspomnienia, pieniądze i katary, o jakie pewno we Włoszech niełatwo. (D XLVIII 83; GP 1875 nr 57)

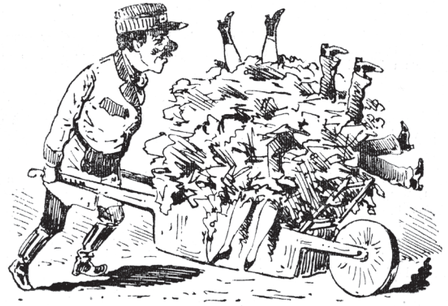

Pożegnanie opery włoskiej,
„Kurier Świąteczny" 1877 nr 16, s. 3

[1] W 1864 r. wprowadzono w Warszawie stałe występy opery włoskiej w miesiącach jesienno-zimowych. Wiązało się to z polityką rusyfikatorską władz carskich, dążących do ograniczenia repertuaru polskiego. Zespół polski pełnił wyłącznie pomocniczą rolę. Wysokie koszty utrzymania Włochów pochłaniały większą część budżetu teatralnego, co odbijało się niekorzystnie zwłaszcza na polskiej operze. Wielu znakomitych śpiewaków emigrowało i zdobywało sławę na pierwszych scenach i estradach świata, występując w Warszawie tylko gościnnie. Jedyną korzyścią włoskich występów było dość szybkie wprowadzanie do repertuaru wielu czołowych utworów operowych. Dopiero po wyjeździe Włochów mógł je wystawiać zespół polski. Na podst. H. Secomska, *Teatr w Warszawie drugiej połowy XIX wieku (1861-1918)* // w: *Kultura muzyczna Warszawy drugiej połowy XIX wieku*, Warszawa, 1980, s. 119.

[2] Kwestia wschodnia zob. s. 121

Opera włoska żegnana bez żalu

Ożywczy wpływ jarmarku wełnianego na miasto

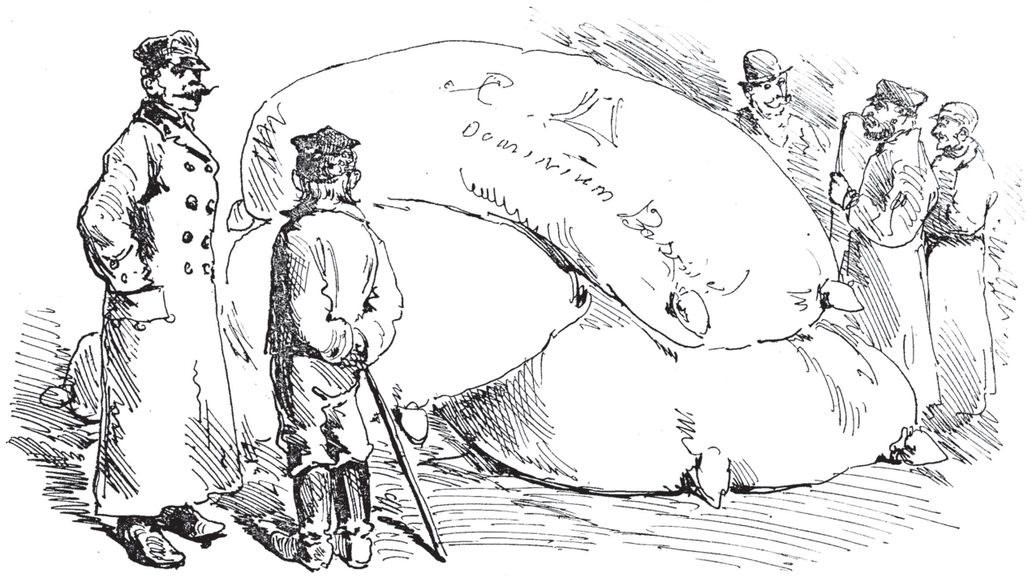

Chłopiec stajenny. Cho, cho! jak nas Pon przeda tę wełnę, to dopiero będzie miał!
Stangret, Pan? nic — Pani to będzie miała parę ogoniastych sukniów.

Na targu wełnianym,
„Kolce" 1876 nr 27, s. 213
ebuw.uw.edu.pl

Do ożywienia miasta przyczynia się także niemało jarmark świętojański [1]. Od czasu do czasu toczą się zwolna po ulicach ogromne, ładowne wańtuchami [2] wozy, zdążając zwolna na plac targowy. Na samym placu ruch także niemały, a lubo spodziewano się większego dowozu wełny, przecie wagi nie próżnują, a drzemkę zmęczonych upałem urzędników wagowych przerywają raz wraz świeżo przybyłe partie wańtuchów. Koło wag i zagród, w których beczą spotniałe, krętorogie, przysłane na okaz tryki, kręcą się nasi wąsaci, o opalonych twarzach wieśniacy, kupcy niemieccy i na koniec ci, bez których nic się u nas nie dzieje – Żydkowie faktorzy. Największy ruch panuje w przedpołudniowych godzinach; wówczas to słychać ożywione rozmowy, wzajemne zaklinanie się, targi, przybijania kupna itp. Kupiec daje cenę, wieśniak chce wyżej, rozchodzą się - faktor godzi ich, zbliża, zaklina na wszystkie świętości, wzywa na swoją głowę wszelkich nieszczęść przewidzianych w Starym Testamencie, przysięga na własne dzieci, że chce tego, aby jasny pan dobrze sprzedał; życzy

Cicho cicho ktoś nadchodzi
Serce mówi że to on
Tak, tak, nadchodzi jarmark wełniany, przyjadą obywatele z baranami i kupcy z baraniemi skórkami, a duży tego procent dostanie się w Warszawie, więc na ów jarmark:

Czekają kupcy.

Wiadomości bieżące,
„Mucha" 1875 nr 23, s. 2
ebuw.uw.edu.pl

Ożywczy wpływ jarmarku wełnianego na miasto

Czekają właściciele zakładów gastronomicznych.

Czekają naczelnicy warsztatów.

sobie samemu, żeby do domu nie doszedł, żeby go tyle a tyle porwało - jeżeli mu o co innego chodzi, jak tylko o zgodę; szepce do kupca, namawia i przekonywa szlachcica, zapewnia go, że kupiec głupstwo robi dając taką cenę, że się oszukuje - na koniec wzrusza wieśniaka i przyprowadza interes do skutku.

Kupcy śpiewają zwykłą, coroczną piosenkę, że wełna nie dość szlachetna, że źle myta itp., wieśniacy znowu, jak zwykle, narzekają na ceny, skarżą się na Australię, na Niemców, którzy zawsze u nas korzystają itp.

Słowem, nie braknie wieśniakom kłopotów - ale, szczęściem, i rozrywek. Trudno twierdzić na pewno, czy do tych ostatnich należy robienie sprawunków według litanii spisanych w domu przez magnifiki i córeczki. To pewna, że znakomita część wełny, zmienionej w ruble lub talary, nie wyjeżdża już na wieś, ale zostaje w magazynach mód, a raczej wyjeżdża na wieś w postaci kapelusików, szynionów[3], koków itp. fioków, które następnie dostarczają wątku do rozmów i wzajemnego obgadywania się w niedzielę po mszy. (D XLVII 77-78; GP 1873 nr 131)

Słowem czekają.

Męże,

Niewiasty,

[1] Jarmark świętojański (wełniany) wprowadzony, postanowieniem namiestnika królewskiego z dn. 14 maja 1822, odbywał się w Warszawie ok. 24 czerwca Znaczenie jarmarku znacznie wzrosło od 1828 r., gdy Bank Polski przystąpił do udzielania kredytów na zakup wełny oraz podjął akcję zakupów wełny na rachunek Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych. Jarmarki odbywały się początkowo w Marywilu, później targ przeniesiono na Rynek St. Miasta, a następnie na plac Krasińskich. Za czasów Sienkiewicza jarmark organizowano na terenie magazynów Banku Polskiego przy ul. Nowogrodzkiej.

[2] Wańtuchy (niem. *Wagentuch*) – worki na wełnę czy chmiel z grubego płótna konopnego.

[3] Szynion (fr. *chignon*) – przypinany warkocz.

Ożywczy wpływ jarmarku wełnianego na miasto

Panie i służące

— Cóż to Marysiu, znów masz u siebie kogoś w kuchni.
— Mam to mam, ale pani żeby miała dobre wychowanie, toby nie wchodziła do nikogo przez zapukania przód we drzwi.

Pani bez wychowania,
„Kurier Świąteczny" 1875 nr 56, s. 1
ebuw.uw.edu.pl

Już to w ogóle narzekania na kantory weszły u nas w zwyczaj. Dość spytać naszych gospodyń, które niedawno, przy świętomichalskiej [1] zmianie służby, miały do czynienia z domami stręczeń sług i służących. W ogóle nasze panie udają się do kantoru tylko w ostatecznym wypadku, twierdząc nie bez słuszności, że zaręczeniom kantorów, których interesem jest pobierać zapłatę od jak największej liczby osób poszukujących zajęcia, nie można wierzyć ani na jotę.

Jest w tym część prawdy, ale z drugiej strony można by wiele powiedzieć i na uniewinnienie kantorów; gdyby bowiem kto spytał naszych gospodyń, czy są jeszcze dobre służące w Warszawie? - odpowiedziałyby niezawodnie *unanimitate* [2]: „nie ma". Jeżeli zatem nie ma, moje panie, to skądże mają ich wziąć kantory? Że nie ma - to fakt, którego trudno zaprzeczać. Dziś służąca, która posłana na miasto nie ginie na jakie dwie godziny, która na jedno słowo pani nie odpowiada już dziesięciu, która się nie kocha i nie przyjmuje adoratorów pańskim cukrem i pańską herbatą, która nie uczęszcza na tańcujące Pod Murzynami [3] wieczory w sukni starszej panienki, która nie posiada w wysokim stopniu sztuki odejmowania odnośnie do pieniędzy danych na sprawunki, która nie ma pretensji podobania się panu lub paniczowi, która na koniec służy dłużej jak kwartał w jednym miejscu, taka, mówię, służąca liczy się dziś do mitów, do tradycji, do wspomnień, do kreacji książkowych, do owych czasów, w których istnienie nikt już nie wierzy, a w których, jak baśń prawi, pan kochał sługę, a sługa kochał pana i dobrze się działo.

Dziś nikomu się już dobrze nie dzieje - dziś stoją naprzeciwko siebie dwa wrogie obozy zaklinające się, że im „świętej cierpliwości trzeba", żeby się znosić wzajemnie.

Czyja jednak w tym wina? - oto pytanie! Były inne sługi, wszyscy to wiemy; ale mało kto zastanowi się, czy też w owych patriarchalnych czasach i panie nie były inne, niż dziś są? Czy nie pracowały ręka w rękę razem ze służącymi, czy zamiast tracić czas na stroje, wizyty, zabawy i tym podobne

Panie i służące

— To jest stateczna nianieczka, będzie siedzieć przy dziecku jak kamień, wódka jej ogromnie szkodzi, a w nocy nie może sypiać, i za to wszystko 15 rubli.

Z kantoru służących,
„Kolce" 1876 nr 41, s. 325
ebuw.uw.edu.pl

grzeszki, o których, gdyby nie brak miejsca, naprawiłbym wiele pięknych morałów – nie zajmowały się gospodarstwem od rana do wieczora, bacząc na przysłowie: „pańskie oko konia tuczy"? (D XLVII 102–103; GP 1873 nr 235)

[1] Świętomichalska zmiana służby – dzień św. Michała wypadający 29 września był terminem rozwiązywania umów ze służbą: „Służba dziękuje za chleb na św. Michał".

[2] *Unanimitate* (łac.) – jednogłośnie.

[3] Pod Murzynami, Trzy Murzyny – sala tańca dla rzemieślników przy ul. Ogrodowej.

Posiedzenie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych na tle innych

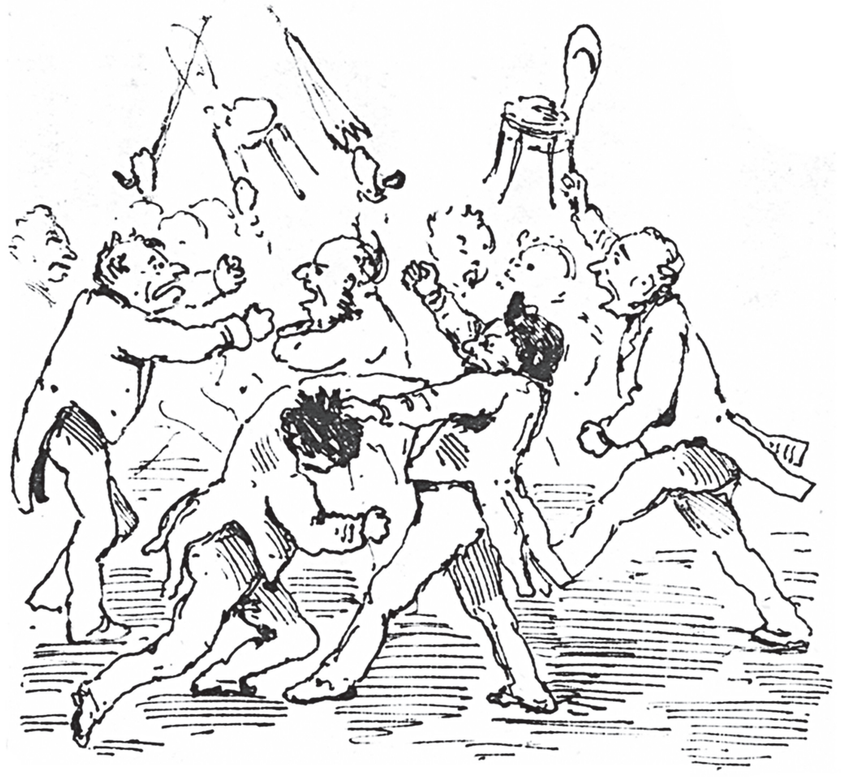

Luty. Odbywają się walne posiedzenia naszych Towarzystw, (muzyczne, jedwabnicze i t. p.)

Przegląd roku 1875,
„Mucha" 1876 nr 2, s. 4

Wyobraźcie sobie, czytelnicy, że między posiedzeniami, jakie w ostatnich czasach miały miejsce w Warszawie, jedno odbyło się zupełnie przyzwoicie i spokojnie. Było to posiedzenie członków Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych [1]. Zaiste, przypomniawszy sobie posiedzenia Spółki Jedwabniczej [2], Merkurego [3], Giełdy [4], a na koniec przesławne sejmy Towarzystwa Muzycznego [5], nie mogę wyjść z podziwu. Tak odbyło się wszystko cicho i spokojnie! Nikt nie proponował wotum nieufności dla komitetu; nikt nie kąpał uszu słuchaczy w ocenie wymowy; nikt nie pozyskał nieśmiertelnej sławy, która by go przydomkiem „nasz" przynajmniej na jaki tydzień obdarzyła; nie było ani komitetów wyborczych i agitacji uprawianej jako sztuka dla sztuki; żadna rodzina białych charakterów nie mąciła wody między publiką, aby potem nałapać ryb w postaci krzeseł kurulnych [6] w komitecie; na miejsce dyrektora nikt nie polował z naganką, co - jak wiemy - gdzie indziej nie tylko bywało, ale i na polującego z naganką sprowadziło kompletną, chociaż nieco spóźnioną , naganę opinii, która - jak zwykle „mądra po szkodzie" - spostrzegła się jednak wreszcie na sztuczkach. Na koniec: posiedzenie nie wydało swego męczennika, swej „uciśnionej niewinności", *alias* [7] swego „Narwickiego", który by poświęcenie dla dobra Demosu [8] posuwał aż do tego stopnia, aby dać się przybić, wprawdzie nie do krzyża, ale do dyrektorskiego krzesła na cały rok.

Owóż więc brakło tego wszystkiego, natomiast przejrzano rachunki z lat ubiegłych, wskazano bez hałasu drogi, które przebyto, jeden z członków przełożył obradującym kilka projektów na przyszłość, które nowy komitet rozpatrzy i uwzględni - i na tym koniec.

To się znaczy: koniec przynajmniej jednej, jaśniejszej strony medalu, ale niestety jest i druga, ciemniejsza. Oto jak wszędzie, tak i tu zalegają członkowie z opłatą rocznego wkładu, a zalegają tak dalece, że niedobory znakomitą sumę wynoszą. W tym jednym towarzystwo to nie różni się od innych. I czy wiecie, co tego przyczyną? Nie brak zrozumienia rzeczy, bo każdy dobrze rozumie, że żadne towarzystwo istnieć nie może, jeżeli stowarzyszeni nie wypełniają zobowiązań;

O mało co nie zapomnieliśmy podać sprawozdania z posiedzenia Zachęty Sztuk Pięknych. Chociaż więc spóźnione, ale dajemy je za to dokładne.

Wiadomości bieżące,
„Mucha" 1875 nr 14, s. 2
ebuw.uw.edu.pl

nie brak środków, bo któż by się nie zdobył na pięć rubli rocznie - ale głównie: opieszałość. Ach, leniwi jesteśmy i opieszali tak, że można by nas za przykład podawać. Towarzystwo Osad Rolnych [9] skarży się głosem wołającym o pomstę; Towarzystwo Muzyczne ledwo już oddycha; a my, czytając ubolewania i jeremiady prasy, powtarzamy z całym zaufaniem w nasze dobre chęci: „Trzeba się będzie jutro wybrać zapłacić". I tak przechodzi dzień za dniem, ale że każde „dziś" ma swoje „jutro", zdaje się nam więc, że w każdej chwili można złe naprawić. (...)

Źle, źle, moi czytelnicy! Jesteśmy miłosierni jak Samarytanka, ale w imię miłosierdzia lubimy się niemiłosiernie wytańcować. Chętnie chodzimy na bale dobroczynne, koncerta, przedstawienia sceniczne; gotowiśmy zakładać kasy wsparcia dla wszelkiego rodzaju podupadłych panien, wdów i mężatek; gotowiśmy na każdy jęk nieszczęścia ruszyć workiem; gotowiśmy jakiemuś pozbawionemu paletota studencikowi dać dziesięć paletotów bez względu, że potrzeba mu tylko jednego; gotowiśmy płakać nad flisakiem Swiechem [10], który utraciwszy ubranie nie mógł wyjść na ulicę, jak ongi Epaminondas [11] - ale kiedy chodzi o podtrzymanie instytucyj, nie ma nas: nagadamy się dziesięć razy więcej, a zrobimy dziesięć razy mniej, niż rzecz warta. (D XLVIII 80-82; GP 1875 nr 57)

[1] Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, założone w 1860 roku, „postawiło sobie za zadanie organizowanie wystaw, dokonywanie zakupów najznakomitszych dzieł sztuki w celu stworzenia narodowej kolekcji i udzielanie stypendiów młodym artystom, a także podnoszenie społecznej świadomości poprzez coroczne premie – nagrody w formie reprodukcji dzieł sztuki przyznawane publiczności". Ekspozycje urządzano w salonie Towarzystwa, który znajdował się wówczas na Krakowskim Przedmieściu 68. Własny gmach Zachęty położony u zbiegu ulic Mazowieckiej i Królewskiej powstał dopiero w l. 1898-1900. Zaprojektował go wzięty warszawski architekt Stefan Szyller.
Na podst.: http://tzsp.art.pl/ [Dostęp: 14.08.2016].

[2] Spółka Jedwabnicza została założona w Warszawie w 1855 r. w celu zorganizowania przemysłu jedwabniczego w Polsce, zamierzenia tego jednak nie zrealizowała z powodu braku funduszy i dezorganizacji zarządu. Po bezskutecznych próbach ożywienia swojej działalności spółka w 1882 r. przestała istnieć.

[3] Stowarzyszenie Spożywcze „Merkury" powstało w lutym 1869 r. Założone zostało z inicjatywy osób skupiających się wokół miesięcznika „Ekonomista", propagującego postępowe formy

działalności gospodarczej stosowane w Europie Zachodniej. Stowarzyszenie miało w Warszawie sześć własnych sklepów. Jego sytuacja w l. 1874-1875 na tyle się pogorszyła, że było bliskie likwidacji. Rozczarowaniu działalnością „Merkurego" dawała wyraz prasa: „Stowarzyszenia spożywcze istniejące w naszym kraju, niezbyt pomyślnym cieszą się rozwojem. „Merkury" z zapałem przyjęty początkowo w Warszawie, nie może wypłynąć dotąd na szerszy widnokrąg; nie udziela członkom ani wysokiej dywidendy a i na dobroć towarów narzekają stowarzyszeni, słowem, że pierwsza spółka konsumpcyjna w kraju, nie ziściła tych nadziei, jakie zakładano sobie przy jej powstaniu". „Wiek" 1875 nr 86, s. 1.

[4] Warszawska giełda została utworzona na mocy postanowienia Namiestnika Królestwa Polskiego z 12 kwietnia 1817 r. pod nazwą Giełda Kupiecka w Warszawie. Jej pierwszą siedzibą był Pałac Saski, od 1828 r. mieściła się w gmachu Banku Polskiego przy placu Bankowym, a w 1877 r. została przeniesiona do własnego budynku przy ul. Królewskiej.

[5] Warszawskie Towarzystwo Muzyczne założone w 1871 r. odegrało znaczną rolę w życiu muzycznym Warszawy. Regularnie organizowało koncerty (przeważnie kameralne), ogłaszało konkursy kompozytorskie, opiekowało się działającymi przy stowarzyszeniu zespołami wokalnymi, kameralnymi i orkiestrowymi, podtrzymywało zainteresowanie twórczością Chopina i Moniuszki. Siedziba Towarzystwa mieściła się w Salach Redutowych Teatru Wielkiego na Placu Teatralnym, w 1909 została przeniesiona do gmachu Filharmonii Warszawskiej przy ul. Jasnej 5.

[6] Krzesło kurulne (z łac. *sella curulis*) - w starożytnym Rzymie przysługiwało wysokim urzędnikom.

[7] *Alias* (łac.) – czyli, inaczej (zwany).

[8] *Demos* (gr.) – lud.

[9] Towarzystwo Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych powstało w 1871 r. z inicjatywy Józefa Wieczorkowskiego prezesa Sądu Apelacyjnego w Warszawie i księcia Tadeusza Lubomirskiego. Siedziba jego mieściła się przy ul. Królewskiej 33. Celem działalności Towarzystwa była opieka nad młodocianymi przestępcami i dziećmi moralnie zaniedbanymi. We wsi Studzieniec koło Skierniewic prowadziło dom poprawczo-wychowawczy.

[10] Flisak Swiech (wg „Kuriera": Śmiech) uratował się od śmierci, wskakując do Wisły podczas pożaru galarów, skąd poparzonego wydobyto i przywieziono do szpitala „tak jak go matka natura stworzyła". Zarząd placówki wstrzymywał się z wypisaniem rekonwalescenta z powodu braku dla niego ubrania. Zob. „Kurier Warszawski"1875 nr 51, s. 2.

[11] Epaminondas (ok. 420-362 p.n.e.) – wódz i polityk tebański.

Postne zabawy

Warszawa podczas postu,
„Kurier Świąteczny" 1879 nr 14, dod., s. 1
ebuw.uw.edu.pl

Teraz post, a więc i postne zabawy: odczyty, których się nie słucha, rauty, na których się ziewa, i koncerta, na które się nie chodzi. Co do rautów, ziewać na nich jest w dobrym tonie, i żaden człowiek, który się szanuje, nie powinien o tym zapominać. Na koncertach także bywają pustki, na które oburzają się sprawozdawcy, a oburzają się po trochu słusznie; bo jeśli mamy dość pieniędzy na oglądanie słoni, koni, kóz i amazonek Salamońskiego [1], powinno nam starczyć i na posłuchanie muzyki takiego oto artysty, jak pan Górski [2], najlepszy dziś nasz skrzypek, a najszlachetniej z naszych skrzypków pojmujący muzykę. Ale to u nas tak: „co w domu, to komu". (D XLVII 13-14; GP 1873 nr 67)

[1] Cyrk Salamońskiego zob. s. 65

[2] Władysław Górski (1846-1915) – skrzypek, kompozytor, krytyk muzyczny, pedagog.

Prelekcje postne z mięsem,
„Kolce" 1876 nr 11, s. 81
ebuw.uw.edu.pl

Powitanie wiosny

Wiosna w pełnym rozwoju,
„Kurier Świąteczny" 1876 nr 20, dod., s. 1

Wczoraj uśmiechnęła się wiosna po raz pierwszy. Ciepłe, prawie nawet gorące oddechy stopiły resztki śniegu. Wreszcie i koniec zimie. Żegnamy ją ze złośliwym uśmiechem wyciągając ręce ku wiośnie. Witajże, witaj! I rzeczywiście witały ją wczoraj tłumy. Miasto całe roiło się od spacerujących, ogród [Saski] [1] był pełny, również jak i Aleje Belwederskie. Każdy poczytywał sobie za obowiązek inaugurować wiosnę. Zjawiły się piękniejsze stroje wraz z weselszymi twarzami. Tu i owdzie otwierano lufciki i okna. Na twarzach ludzkich malowała się już jakby wiara w szczerość pogody. – Nie będzie już przynajmniej śniegu! – tak każdy mówił sobie w duszy, rozpinając watowy, za gorący paltot i obcierając spocone czoło. Tak, śniegu przynajmniej już nie będzie! Kto to wie? Niektórzy myślą już o letnich mieszkaniach, głównie zaś ci, którzy mają je do odnajęcia. Mówią, że mają być tanie. Przynajmniej! Warszawscy właściciele domów znowu popodnosili komorne. Znowu, niestety, znowu! *Quousque tandem*... [2] Lecz zdaje się, że popodnosili nie za długo. Z nadejściem wiosny mnóstwo zamożniejszych rodzin wiejskich wyjeżdża z Warszawy, gdzie przepędzały zimę; większe mieszkania tu i owdzie poczynają świecić pustkami. Za większymi idą i mniejsze, zajmowane przez mniej zamożne rodziny; ceny spadną i przyjdzie chwila, w której serca nasze nasycą się zemstą. Zresztą alboż to mało domów buduje się na wszystkie strony! Istotnie mnóstwo, a coraz większe, piękniejsze i coraz obfitsze w drobne mieszkania, które najsowitszy przynoszą dochód. Jest więc nadzieja, że dzisiejsze nadmierne żądania i dowolne podwyżki, od których nie ma apelacji, zaczną wychodzić powoli ze zwyczaju, aż w końcu, jako niemożliwe zupełnie ustaną. (D XLVIII. 102; GP 1875 nr 74)

[1] Ogród Saski zob. s. 125

[2] *Quousque tandem*... (łac.) – jak długo jeszcze... Początek mowy Cycerona przeciw Katylinie wygłoszonej w 63 r. p.n.e.

Raj dla osobliwości

W Eldorado pokazywał się w zeszłym tygodniu człowiek o trzydziestu sześciu głowach:

Mój Boże! jaka ta natura jest niesprawiedliwa! Jednemu daje aż trzydzieści sześć głów, a drugiemu ani jednej...

Mężu trzydziesto-sześcio-głowy! ty bądź sprawiedliwszym od natury i podziel swoje głowy pomiędzy niektórych naszych literatów, artystów, kupców, nadymających się pychą członków filantropijnych instytucji, oraz pomiędzy innych warszawskich obywateli.

Przynajmniej jeżeli każdy z jegomości pozbawionych głowy, dostanie ją od ciebie, może mniej w Warszawie pojawiać się będzie głupich artykułów, upadających na pierwszem przedstawieniu komedyj, handlowych bankructw, nędzarzy i subhastacyj.

Człowiek o 36 głowach,
„Mucha" 1876 nr 35, s. 3

Teatr, odczyty, koncerta cieszą się jeszcze, jak gdyby w zimowym sezonie, zupełnym powodzeniem. Chór felietonistów, niby chór słowików, powitał wiosnę, a tymczasem zima wytrząsa na nas resztki zapasów dżdżystych i śniegowych. Mimo to, niezrażone niczym ciągnie do nas rozmaite ptactwo zagraniczne - a nawet takie, które przy najpiękniejszych przeszłych wiosnach nie zaglądało w nasze strony dotychczas. Chcemy tu mówić o cudownym dwugłowym słowiku [1], który w przelocie, a raczej w przejeździe do Wiednia spoczął na chwilę w cyrku Salamońskiego [2], aby obdarzyć nas czarownym dźwiękiem swego głosu. Szczególny ten ptaszek tym się jednak różni od naszych z zielonej dąbrowy i czarnego boru słowików, że żywi się nie mrówczymi jajami i muchotrzewiem, ale najchętniej papierkami bankowymi. Z tym wszystkim, zdaje się, że pożywienie znajdzie w Warszawie obfite, skutkiem czego odwoła nieodwołalny termin wyjazdu i przedłuży swój pobyt na dni parę. Warszawa jest prawdziwym rajem dla wszelakiego rodzaju osobliwości. Kto tylko ma zbyt krótkie nogi, zbyt wielką głowę albo cokolwiek za wielki żołądek, może śmiało przyjeżdżać do nas, a niezawodnie po jakim miesiącu pobytu zarobi wcale sporo grosiwa. (D XLVII 45-46; GP 1873 nr 98 [właśc. 99])

[1] Syjamskie bliźniaczki Millie i Christine McCoy.

[2] Cyrk Salamońskiego zob. s. 65

Rauty jesienne z tartynkami

— Czy Pani pamięta co Szekspir o kobietach wyrzekł?
— Nie Panie.
— On powiedział „oj te kobiety, kobiety!“ i miał wielką słuszność.
— Ale jaką Pan ma pamięć!!

Na raucie,
rys. Franciszek Kostrzewski,
„Kolce” 1875 nr 12, s. 91

Nadeszły chłodne ranki, chłodniejsze wieczory, i na horyzoncie warszawskiego towarzyskiego żywota pojawiły się ruchy jesienne. Czy pamiętasz, czytelniku, te miłe zabawy [1] przeszłoroczne? owe zwykłe herbatki z tartynkami [2] lub kanapkami pożywanymi stojący po rogach salonów; owe miłe chwile, w których, trzymając w ubezwładnionych obcisłymi rękawiczkami dłoniach za jednym razem kapelusz, spodek, filiżankę, tartynkę lub kanapkę, wachlarz twej towarzyszki, dawałeś dowody cudownej zręczności i przytomności umysłu, nie tylko nie syknąwszy ani razu z bólu, pomimo iż nowe lakierki piekły cię niemiłosiernie, ale i nie rozlawszy ani kropli herbaty na suknię damy, z którą musiałeś rozmawiać, ma się rozumieć, dowcipnie i wesoło?

Otóż błogosławione te czasy nadeszły znowu. Będziemy znowu bywać, bawić się, obmawiać się w sposób nie szkodzący bliźniemu, a dobry do zabicia czasu; rozprawiać o najnowszych miejscowych wiadomostkach i na koniec robić „kurę” [3] (wyrażenie terminowe) damom. (D XLVII 104; GP 1873 nr 235)

[1] „Oprócz balów, wchodzą teraz w użycie rauty na sposób angielski wydawane. Są to przyjęcia bardzo luźnymi określone ramami, na rauty przychodzi się kiedy chce, kiedy chce się wychodzi, nie żegnając się z nikim. Na takich rautach jeżeli nie obmyślono dla nich jakiej oddzielnej rozrywki, konwersacja ma stanowić główną oś zajęcia. Ale niestety ta oś bardzo jest u nas wątła i łamie się co chwila”. W. Szymanowski, *Życie w Warszawie* // w: F. Fryze, I. Chodorowicz, *Przewodnik po Warszawie i jej okolicach na rok 1873/4...* ułożony i wyd. przez..., Warszawa 1873, s. 116

[2] Tartynka- kanapka.

[3] „Robić kurę” zob. s. 43

Rewolucyjny projekt reformy literackiej

Krytycy,
„Mucha” 1875 nr 9, s. 1
ebuw.uw.edu.pl

Żyjemy widocznie w czasach stowarzyszeń i spółek; dotąd jednak miały one na celu solidarność interesów - od dziś mają solidaryzować głowy. „Każdego z czytelników, zajmujących się literaturą pism periodycznych (mówi autor [1]), uderzyć musi dziwna niejednolitość krytyk w tych pismach zamieszczanych". Otóż to jest źle; recenzenci są płytcy - to jeszcze gorzej; ale cóż na to poradzić? - Utworzyć towarzystwo literackie - odpowiada autor. - Wielka myśl! Jak się zbierze dwudziestu płytkich literatów, to utworzone stąd towarzystwo będzie głębokie; znikną idealiści, pozytywiści, realiści, a utworzy się słodki melanż wszelkiego rodzaju zasad i przekonań - rodzaj mikstury, mdłej może trochę, ale działającej wybornie na wszelkie różnice zdań.

Wówczas to przyjdą czasy zgody i wzajemnej adoracji. „Kurier Codzienny" [2] zakocha się w „Niwie" [3] ; „Przegląd Tygodniowy" [4] będzie robił słodkie oczy do „Kroniki Rodzinnej" [5], a ten, kto pierwszy podał projekt towarzystwa, będzie jego prezesem - i pogląda-jąc na zakochane pary, będzie błogosławił je i potomstwo ich aż do wnuków i prawnuków.

Wprawdzie mówią, że różnostronność zasad, rozmaitość kierunków i dróg, którymi ludzie biegną do celów społecznych, to potężny dowód żywotności ogółu; mówią, że ta właśnie różnostronność ożywia, pobudza do energii; mówią, że ze ścierania się zdań rodzi się światło - ale to wszystko przesąd! Lepsze towarzystwo niwelacyjno-literackie, a lepsze dlatego, że jak który z recenzentów nie będzie rozumiał ani słowa z kwestii, o której będzie chciał mówić - to się drugiego poradzi.

Zresztą, może to i ma swoją dobrą stronę. Jaka szkoda na przykład, że autor wzmiankowanego projektu nie poradził się kogo przed jego ogłoszeniem drukiem! Byłoby to może pociągnęło pewne zmiany, zarówno korzystne dla artykułu jak i dla losów projektowanego towarzystwa.

Autor obiecuje wkrótce powrócić jeszcze do szczegółowego rozbioru swej myśli. Otóż nie przesądzając, co ta nowa wycieczka w krainę projektów przynieść może, radzimy tylko podróżnikowi, aby w widocznie mało mu znanych okolicach trzymał zawsze w ręku busolę, której strzałka wskazuje zdrowy rozsądek. Inaczej zabłądzi bez sposobu wyjścia, a nie uratują go ani dobre chęci, ani nawet „pewne zdolności krytyczne", które sam sobie przypisuje. (D XLVII 41-42; GP 1873 nr 89)

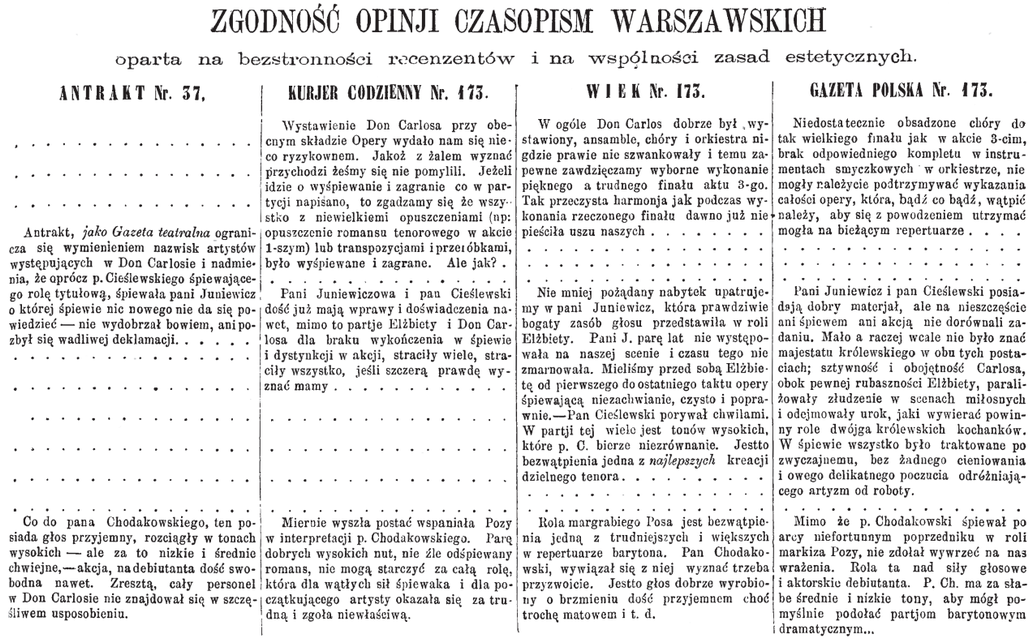

ZGODNOŚĆ OPINJI CZASOPISM WARSZAWSKICH

oparta na bezstronności recenzentów i na wspólności zasad estetycznych.

ANTRAKT Nr. 37.

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Antrakt, *jako Gazeta teatralna* ogranicza się wymienieniem nazwisk artystów występujących w Don Carlosie i nadmienia, że oprócz p. Cieślewskiego śpiewającego rolę tytułową, śpiewała pani Juniewicz o której śpiewie nic nowego nie da się powiedzieć — nie wydobrzał bowiem, ani pozbył się wadliwej deklamacji. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Co do pana Chodakowskiego, ten posiada głos przyjemny, rozciągły w tonach wysokich — ale za to nizkie i średnie chwiejne,—akcja, na debiutanta dość swobodna nawet. Zresztą, cały personel w Don Carlosie nie znajdował się w szczęśliwem usposobieniu.

KURJER CODZIENNY Nr. 173.

Wystawienie Don Carlosa przy obecnym składzie Opery wydało nam się nieco ryzykownem. Jakoż z żalem wyznać przychodzi żeśmy się nie pomylili. Jeżeli idzie o wyśpiewanie i zagranie co w partycji napisano, to zgadzamy się że wszystko z niewielkiemi opuszczeniami (np: opuszczenie romansu tenorowego w akcie 1-szym) lub transpozycjami i przeróbkami, było wyśpiewane i zagrane. Ale jak? .

. . . . . .

Pani Juniewiczowa i pan Cieślewski dość już mają wprawy i doświadczenia nawet, mimo to partje Elżbiety i Don Carlosa dla braku wykończenia w śpiewie i dystynkcji w akcji, straciły wiele, straciły wszystko, jeśli szczerą prawdę wyznać mamy . . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Miernie wyszła postać wspaniała Pozy w interpretacji p. Chodakowskiego. Parę dobrych wysokich nut, nie źle odśpiewany romans, nie mogą starczyć za całą rolę, która dla wątłych sił śpiewaka i dla początkującego artysty okazała się za trudną i zgoła niewłaściwą.

WIEK Nr. 173.

W ogóle Don Carlos dobrze był wystawiony, ansamble, chóry i orkiestra nigdzie prawie nie szwankowały i temu zapewne zawdzięczamy wyborne wykonanie pięknego a trudnego finału aktu 3-go. Tak przeczysta harmonja jak podczas wykonania rzeczonego finału dawno już nie pieściła uszu naszych . . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Nie mniej pożądany nabytek upatrujemy w pani Juniewicz, która prawdziwie bogaty zasób głosu przedstawiła w roli Elżbiety. Pani J. parę lat nie występowała na naszej scenie i czasu tego nie zmarnowała. Mieliśmy przed sobą Elżbietę od pierwszego do ostatniego taktu opery śpiewającą niezachwianie, czysto i poprawnie.—Pan Cieślewski porywał chwilami. W partji tej wiele jest tonów wysokich, które p. C. bierze niezrównanie. Jestto bezwątpienia jedna z *najlepszych* kreacji dzielnego tenora. . . . . .

. . . . . .

Rola margrabiego Posa jest bezwątpienia jedną z trudniejszych i większych w repertuarze barytona. Pan Chodakowski, wywiązał się z niej wyznać trzeba przyzwoicie. Jestto głos dobrze wyrobiony o brzmieniu dość przyjemnem choć trochę matowem i t. d.

GAZETA POLSKA Nr. 173.

Niedostatecznie obsadzone chóry do tak wielkiego finału jak w akcie 3-cim, brak odpowiedniego kompletu w instrumentach smyczkowych w orkiestrze, nie mogły należycie podtrzymywać wykazania całości opery, która, bądź co bądź, wątpić należy, aby się z powodzeniem utrzymać mogła na bieżącym repertuarze . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Pani Juniewicz i pan Cieślewski posiadają dobry materjał, ale na nieszczęście ani śpiewem ani akcją nie dorównali zadaniu. Mało a raczej wcale nie było znać majestatu królewskiego w obu tych postaciach; sztywność i obojętność Carlosa, obok pewnej rubaszności Elżbiety, paraliżowały złudzenie w scenach miłosnych i odejmowały urok, jaki wywierać powinny role dwójga królewskich kochanków. W śpiewie wszystko było traktowane po zwyczajnemu, bez żadnego cieniowania i owego delikatnego poczucia odróżniającego artyzm od roboty.

. . . . . .

Mimo że p. Chodakowski śpiewał po arcy niefortunnym poprzedniku w roli markiza Pozy, nie zdołał wywrzeć na nas wrażenia. Rola ta nad siły głosowe i aktorskie debiutanta. P. Ch. ma za słabe średnie i nizkie tony, aby mógł pomyślnie podołać partjom barytonowym dramatycznym...

Zgodność opinii czasopism warszawskich...,
„Kolce" 1876 nr 33, s. 263
ebuw.uw.edu.pl

[1] Dot. artykułu zamieszczonego w „Kurierze Warszawskim" (1873 nr 79, s. 1) autorstwa – K –.

[2] „Kurier Codzienny" – gazeta wydawana w Warszawie w l. 1865-1905, założona przez znanego dziennikarza Karola Kucza, byłego redaktora „Kuriera Warszawskiego", która z tym ostatnim pragnęła konkurować; dziennik skłaniający się ku konserwatyzmowi.

[3] „Niwa" – dwutygodnik, nast. tygodnik wydawany w Warszawie w l. 1872-1898; przez krótki czas organ umiarkowanych pozytywistów, następnie organ „młodych konserwatystów".

[4] „Przegląd Tygodniowy Życia Społecznego, Literatury i Sztuk Pięknych" zob. s. 71

[5] „Kronika Rodzinna" – dwutygodnik, nast. tygodnik wydawany w Warszawie w l. 1867-1914; czasopismo konserwatywno-katolickie, aktywne w walce z prasą pozytywistyczną.

Rewolucyjny projekt reformy literackiej

Salon koncertowy – projekt na czasie

Bilsiści. (*Dolina Szwajcarska w Warszawie podczas koncertu Bilsego*) [fragment],
rys. Franciszek Kostrzewski,
„Kłosy" 1866 nr 54, s. 171

Oto na rogu ulicy Hożej i Mokotowskiej ma być najęty czy też prędzej pobudowany salon koncertowy. Jest to projekt niezmiernie na czasie. Na wszelki wypadek nie będzie się potrzebowało nikogo prosić o lokal Towarzystwa Muzycznego [1]; nie będą potrzebowali prosić się koncertanci, a przede wszystkim prelegenci. Kto wie, jak długo muszą np. prelegenci stać u wrót resurs, zanim otrzymają zmiłowanie, tj. salę, ten zarówno z nami będzie się cieszył z salonu. Jedna z tych resurs, tj. Kupiecka [2], pogrążona we śnie coraz bardziej do letargu podobnym, pozostaje nieczułą na wszelkie zaklęcia i nie otwiera się nigdy; druga, tj. Obywatelska [3], otwiera się czasem, ale czyni to z takimi grymasami i z takim ociąganiem się, że i najcierpliwszemu może cierpliwości zbraknąć. Cóż bowiem odpowiesz, nieszczęsny czytelniku, jeżeli jesteś prelegentem i musisz odpowiadać na podobne zarzuty, jak np. „Podłoga się zadepcze!" Zapewne! Od czegóż jest podłoga? „Krzesła się wytrą" itp. Kiedy swego czasu pukały do wrót tych odczyty rzemieślnicze, powiedziano im: „Szkoda podłogi". Tak! tak! Szkoda podłogi. Podłoga przecie ważniejsza niż oświata, niż rozjaśnianie głów rzemieślniczych. Rzemieślnicy istotnie grube mają obuwie, a podłoga! ho! podłoga! stworzona pod lakierowane lub atłasowe trzewiczki - lub pod stołowe nogi... Niech nikt nic złego nie myśli: te stołowe nogi znaczą stoliki, na których grają w karty, w bezika, w bakara, w wiścika i inne podobne rozrywki. A odczyty? Odczyty przytuliły się w salce Towarzystwa Dobroczynności [4]. Ciasno im tam, zimą chłodno, latem gorąco, ale idą po staremu. (D XLVIII 122-123; GP 1875 nr 84)

[1] Warszawskie Towarzystwo Muzyczne zob. s. 174

[2] Resursa Kupiecka zob. s. 153

[3] Resursa Obywatelska zob. s. 196

[4] W siedzibie Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności przy Krakowskim Przedmieściu 62 znajdowały się dwie sale, górna i dolna – w „dziedzińcu Towarzystwa" (tutaj odbywały się próby, gdy sala na piętrze była zajęta). W sali teatralnej zbierała się Administracja Ogólna Towarzystwa, jego opiekunowie, organizowano odczyty wygłaszane przez wybitnych przedstawicieli życia naukowego i kulturalnego itp. Najczęściej jednak salkę teatralną zajmowały imprezy teatralne lub inne o charakterze widowiskowym. Na podst.: B. Król-Kaczorowska, *Teatry Warszawy*, Warszawa 1986, s. 76.

Salon koncertowy – projekt na czasie

Składki na pogorzelców

Rachunek przeciętnego obywatela miasta Warszawy za kwartał jeden.

Obiad składkowy dla X. kosztował mnie	Rs.	5
Wino po obiedzie	Rs.	25
Obiad składkowy dla N.	Rs.	5
Wino po obiedzie	Rs.	30
Obiad składkowy dla Y.	Rs.	5
U Stępkowskiego, dokąd udaliśmy się w kilku, po obiedzie zapłaciłem	Rs.	50
Kolacja składkowa dla Q.	Rs.	5
Przegrałem po kolacji w karty	Rs.	150
Na prezent dla zasłużonego N. dałem	Rs.	10
Na maskaradzie z tombolą wydałem	Rs.	15
Bal dziecinny na Przytulisko kosztował mnie	Rs.	25
Bal na szpital dziecinny	Rs.	10
Koncert filantropijny	Rs.	5
Drugi koncert filantropijny	Rs.	5
Na składkę dla podupadłego	Rs.	1
Składka na prezent dla artystki	Rs.	10
Na nędzę wyjątkową	Rs.	1
Na drzewo dla biednych	Rs.	1
Na posiedzeniu dobroczynnem wydałem na kolację w resursie	Rs.	100
Przegrałem w karty po temże posiedzeniu	Rs.	250
Podwieczorek składkowy	Rs.	25
Na uczczenie rocznicy imienin jednego z filantropów, przewaliłem u Stępka	Rs.	345
Na kwestę wielkanocną wydałem	Rs.	15
Razem	Rs.	1,093
Mam kwartalnego dochodu netto	Rs.	700
A zatem zrobiłem długu	Rs.	393

Z tego wynika, że jeżeli jeszcze w drugim kwartale trzeba będzie czcić tylu wielkich ludzi i uczęszczać na wszystkie dobroczynne koncerta i bale, to przyjdzie do tego, że Dobroczynność będzie musiała pomyśleć o balu lub koncercie na obywatela, zrujnowanego przez filantropję i owacje.

— Żeby mi chociaż w dodatku wyprawili składkową bibę!... No, to przynajmniej ta chwała wynagrodziłaby mi choć w części ruinę.

Rachunek przecietnego obywatela...,
„Kurier Świateczny" 1879 nr 18, s. 3

Co prawda jednak, należy wyznać, że składki na pogorzelców ostatnich pożarów w Pułtusku, Opolu i Końskiej Woli [1] poszły wcale nieźle. Złożono już dotychczas kilkadziesiąt tysięcy złotych, co zapewne przyniesie niemałą ulgę nieszczęśliwym niemającym ani dachu nad głową, ani kawałka chleba do zaspokojenia głodu. Dowodzi to jednak, że ogół nasz ma serce i że zwłaszcza w chwili wzruszenia gotów jest nie żałować datku. Szkoda tylko, że chwila taka nie trwa nigdy zbyt długo i że raczej jest uniesieniem na razie niż spokojnym, ale trwałym poczuciem obywatelskiego obowiązku. Niemałą także, lubo nie tak wielką, jak się spodziewano, pomoc przyniosły przedstawienia w teatrzykach ogródkowych. Na nieszczęście, w czasie przedstawień w Eldorado [2] i w Alhambrze [3] padał deszcz, i to deszcz ulewny, co zmniejszyło liczbę widzów. Wystawiać się na niszczące działanie wody dlatego, że Pułtusk uległ niszczącemu działaniu ognia, wydawało się warszawianom zbyt hazardowną igraszką z żywiołami. (D XLIX 67-68; GP 1875 nr 169)

[1] Pożar w Pułtusku wybuchł 21 lipca 1875 r. i strawił 2/3 zabudowy miasta. Wydarzenie to poruszyło opinię publiczną zwłaszcza w Warszawie. Rezultatem podróży Sienkiewicza do spalonego miasta był felieton *Zgliszcza i pustka* opublikowany w nrze 163 „Gazety Polskiej". Pożary w położonych w powiecie nowoaleksandryjskim (obecnie puławskim) Opolu Lubelskim i Końskowoli miały miejsce 9 i 7 lipca 1875 r.

[2] Eldorado zob. s. 62

[3] Alhambra zob. s. 62

Składki na pogorzelców

Spław traktem krakowskim

Podróżni. Hejl Gospodarzu, czy tu gdzie blizko niema lepszej drogi do Warszawy?·
Bartek. A państwo zkąd *jadom*?
Podróżni. Z pod Sękocina...
Bartek. Jest lepsa, ale od Grodziska do Pruśkowa...

Na szosie radomskiej,
rys. Franciszek Kostrzewski,
„Kolce" 1876 nr 21, s. 168
ebuw.uw.edu.pl

Na trakcie tak zwanym po staremu krakowskim [1], wielce zwykle ruchliwym, leży niedaleko już Warszawy karczma Pociecha [2], niezbyt sobie na pozór okazała, niemniej jednak dla ruchu handlowego między Michałowicami, Radomiem i Kielcami a stolicą ważna. Nazywa się ona Pociechą dlatego, że tu woźnice, wedle słów starej piosenki: „Pije Kuba do Jakuba, Jakub do Michała", pocieszają się po trudach odbytej drogi; tu jest ostatni przystanek; tu koniom zasypuje się obrok, zmieniają się zużyte podkowy, opatrują się bryki, towary, słowem, czynią się wszelkie zwykłe przygotowania przedstołeczne.

Takie znaczenie miała dotąd Pociecha, ale znaczenie to w ostatnich czasach podniosło się niesłychanie, raz dlatego, że Pociecha stała się na większą cześć i chwałę naszego zarządu szosowego ostatnim miejscem, do którego szosa, wiodąca do Warszawy, jest... jakby tu powiedzieć... spławną, a po wtóre, że w niej utworzyło się pewne towarzystwo na wzajemności oparte, którego działalność dowodzi jasno najprzód tego, czym podobne stowarzyszenia być powinny, a następnie tej wielkiej, a tak mało jeszcze rozpowszechnionej u nas prawdy, że ręka rękę myje, noga nogę wspiera.

Istnieje rzeczywiście ogromna pomiędzy komunikacjami lądowymi a wszelką wodą różnica. Oto na drogach wodnych im woda głębsza, tym komunikacja łatwiejsza, na lądowych zaś im błoto większe, tym komunikacja trudniejsza. Skutkiem tej prawdy, ponieważ błoto na szosie od Pociechy do Warszawy jest jednym z najcelniejszych i najgłębszych błot na świecie, zatem bryki frachtowe, powózki i powozy prywatne zgoła nie mogą jej przebywać i muszą innej sobie szukać drogi.

Na pozór stanowi to pewną niedogodność, ale właśnie ten stan rzeczy wywołał owo towarzystwo oparte na wzajemności, o którym wspomniałem wyżej. Skoro przyjedzie do Pociechy jeden furman z czterokonną bryką, czeka na drugiego, a następnie we dwóch czekają na trzeciego, następnie we trzech na czwartego, i dopiero kiedy się zbierze szesnaście koni, zaprzęgają je wszystkie razem do każdej po kolei bryki i omijając najstaranniej szosę na której: *lasciate ogni speranza* [3],

Spław traktem krakowskim

brną przez prywatne grunta i Mokotowskie Pola do Warszawy.

Słupy więc wiorstowe na szosie, kamienie przydrożne, budki strażnicze służą za znaki bezpieczeństwa. Znaczy to wszystko: ostrzega się, żeby tędy nie jeździć! Na owych gruntach prywatnych i na polach także błoto po uszy i lgną bryki po osie i wyżej osi, ale jednak w szesnaście koni przejechać jakoś można. Za to cóż za ożywiony krajobraz: ten ruch, nawoływania woźniców i przekleństwa ich, świst batów rozlegający się ustawicznie w powietrzu, te szczątki wozów i bryk rozrzucone tu i owdzie we wdzięcznym nieładzie; połamane dyszle, koła, osie; te konie z powyprężanymi grzbietami, o bokach zapadłych, na których można by wszystkie żebra policzyć, a przy tym poprzecieranych do krwi postronkami - wszystko to stanowi przepyszny rodzajowy obraz. Zaraz poznasz, że nie jesteś za granicą, w żadnych tam Niemczech ani Belgii, gdzie szosa twarda jest jak stół i jeszcze wysadzona owocowymi drzewami, ale u nas, u siebie, wśród swoich, blisko poczciwej Warszawy! (D XLIX 168-170; GP 1875 nr 267)

[1] „Z południowego zachodu ku Warszawie wiedzie trakt krakowski. W 1770 r. zostaje przecięty wałem, którym otoczono całą Warszawę. Na przecięciu z traktem krakowskim powstaje rogatka, zwana później Jerozolimską. Przed rogatką jest miejsce postojowe dla wozów, które czekają na wjazd do miasta. Ten ówczesny plac postojowy to dzisiejszy plac Zawiszy. Poza wałem, po prawej stronie od rogatki, przy gliniankach, działa pierwsza w tych stronach cegielnia – dostarcza budulca rozbudowującemu się miastu. W czasach Królestwa Polskiego następuje intensywne porządkowanie głównych traktów wyjazdowych z Warszawy. Od południa, około roku 1817, zostaje wytyczony, na trasie do dziś istniejącej, szlak komunikacyjny - Szosa Krakowska. Wtedy w pobliżu skrzyżowania z ul. Opaczewską pojawiają się dwie nowe karczmy. Po lewej stronie, naprzeciw Rakowca - karczma Pociecha z obszernymi stajniami, a pomiędzy szosą i ul. Kaliską karczma Ochota. Od tamtej pory szlak krakowski, wraz z terenem dzisiejszej Dzielnicy Ochota, stają się nie tylko prowadzącym do Warszawy traktem komunikacyjnym i jej przemysłowym, rzemieślniczym oraz handlowym zapleczem, ale również drogą inwazji zbrojnych i miejscem walk w obronie Stolicy”. http://rewitalizacja.um.warszawa.pl/sites/rewitalizacja.um.warszawa.pl/files/zalaczniki/artykul/zalacznik_nr_4_ochota.pdf [dostęp: 11.12.2016]

[2] Karczmę Pociecha zbudowano na gruntach dóbr Rakowca, należących do szpitala św. Rocha, dzięki pożyczce przyznanej w 1818 r. przez zarząd miejski szpitalowi. Posiadała ona obok obszernych stajni liczne pokoje gościnne służące podróżnym do zmiany odzieży przed wjazdem do Warszawy. W czasie powstania listopadowego, 4 września 1831 r. pod karczmą miały miejsce rozmowy gen. Prądzyńskiego z przedstawicielem dowództwa rosyjskiego, gen. Dannenbergiem; w 1904 r. została rozebrana.

[3] *Lasciate ogni speranza* (wł.) – porzućcie wszelką nadzieję. Cytat z *Boskiej Komedii* Dantego (*Piekło* III, 9).

Sprawy Resursy Obywatelskiej

— Nie masz pojęcia, jak lubię taką uroczystość *muzyczną*.
— Dla czegóż tak ci przypadła do gustu?
— Widzisz, na wszystkich większych obiadach czy kolacyach grywa zwykle *muzyka*, a tu przynajmniéj raz na rok, pozwolą człowiekowi zjeść i wypić spokojnie.

Uroczystość muzyczna ś. Cecylii w salonach Resursy Obywatelskiej, „Mucha” 1875 nr 48, s. 3
ebuw.uw.edu.pl

Krzyczą po wszystkich rogach ulic w Warszawie, że Resursa [Obywatelska] [1] tonie w falach obojętności, że naznaczają dla uratowania jej posiedzenia, a na te posiedzenia przychodzi zaledwie trzecia część członków, skutkiem czego obrady nie prowadzą do niczego. O obywatele moi mili! Przychodzi trzecia część, to prawda, ale gdyby przychodziło tylko trzech, to byłoby widocznie także wszystko jedno. Widocznie członkowie znają siebie doskonale, a zarazem nie zapomnieli jeszcze matematyki, i wiedzą, że zero, zero a zero wypadnie zawsze zero. (...) Otóż powiem wam, że ci, którzy nie przychodzą na mocy tej zasady: 0 + 0 + 0 = 0, czynią to z przekonania, że czy na posiedzenie przyjdą, czy nie przyjdą, obrady zawsze wypadną jednakowo. Umysły tych członków, jak wszystkich znakomitych i przeznakomitych myślicieli, spokojne są i ciche jak woda. Gdy jaka kwestia, np. kwestia bytu lub niebytu Resursy, uderzy o ową wodę, zrobi się kilka kółek, dziwnie także do rur podobnych, coraz większych, coraz słabszych, i znów uspokoi się wszystko. Cóż może być piękniejszego jak spokój? Nie mącić więc spokoju członków! Niech lepiej Resursę dydko porwie! Choć z drugiej strony, jeżeli twierdzicie, że ci członkowie nie myślą zupełnie o sprawach Resursy, tedy krzyknę: „Kłamstwo!", aż mnie od morza do morza usłyszą. Powiedzcie bowiem: gdzie się grywa w preferansa? Przecie w Resursie, a zatem preferans jest także sprawą resursową, zatem kto myśli ciągle o preferansie, myśli i o Resursie. (...) Zajmują się Resursą - bo preferans i Resursa to jedno i toż samo. Znam pewnego członka, który każdego nowopoznanego człowieka pyta w ten sposób: - Panie! - mówi - co byś pan grał, żebyś pan miał tak: asa, damę, dwie młódki karo, asa, króla, waleta pik? itd. - Czy słyszałeś pan - pytam go raz - że podobno Verdi [2] ma przyjechać do Warszawy i że wystąpią na jego cześć w Resursie Obywatelskiej? - Verdi - rzecze członek - Verdi w Resursie? Ciekawy bym też był, co by on grał, żeby miał tak: asa, damę, dwie młódki karo itd. - Co to jest przejąć się jakąś myślą do głębi duszy! Przejdzie człowiekowi w krew i opanuje go całego.

Ojcowie Resursy! Ratujcie jednak waszą córkę, jak umiecie. Róbcie, co wam się podoba z akcjami i obligami subrogacyjnymi [3]; z długiem pani Zamarajewowej [4] i z innymi

W resursie Obywatelskiéj.

— Proszę o jeden bilet na muzykę... Ale to tam podobno taki ścisk, że trudno nosa wścibić.
— Jak jakiego, proszę pana dobrodzieja.

W Resursie Obywatelskiej. (*Szkice z życia warszawskiego*), rys. Franciszek Kostrzewski, „Tygodnik Ilustrowany" 1867 nr 430, s. 296

wierzytelnościami, których ciężar lepiej niż kto inny oceniam - ale ratujcie córkę. Konduita jej (powiedzieć prowadzenie się, nie byłoby w dobrym tonie), konduita jej tedy nie była bez „ale". Mój Boże! Pamiętam wieczory w Resursie. Tańcował, kto chciał, choćby kozaka, a mazura prowadził niejeden taki, za kim na wyścigach konnych latali paupry [5] z całego miasta, tak wpadał w oczy białym strojem, a w czasie gonitw zlatywał z konia akurat tyle razy, ile się ścigał. Wszyscy kantorowicze za nim; w salach przed każdym lustrem stał któryś z nich i przyczesując włosy, poprawiając krawat myślał o spustoszeniach, jakie porobił

Sprawy Resursy Obywatelskiej

w sercach wygorsowanych aniołów, i o tym, że pryncypał - głupi stary, bo z pewnością nie dostrzeże, ile tam brak w kasie kantoru. W czasie maskarad tajemnicze maski z niewypowiedzianym dowcipem powtarzały: „Ej, ty bałamucie, bałamucie!" Słowem: smak onych zabaw bywał trochę pieprzny, nawet tak pieprzny, że aż przestał smakować ludziom - stąd pustki, małe dochody, deficyt i śmierć bliska. Ale mimo tej konduity, mimo preferansa, bezika [6] i innych tego rodzaju zabaw, na których sprawdzano angielskie przysłowie: „Czas to pieniądz" (bo przecież nie grywano darmo), nie mogę zapomnieć, że tam odbywały się także prelekcje, tam na spragnione wiedzy główki dziewicze padały nasiona wiedzy, tam serca młodych pozytywistek pochylały się ku przystojniejszym prelegentom. Słowem: była sala - jakakolwiek sala, ale lepsza od sali w dawnym teatrze Rappo [7], gdzie Ochorowicz [8] mówił o sprzecznościach wiedzy, o wszechświecie i godził je, a jednocześnie dziki Indianin ryczał, niedźwiedzie mruczały, hieny wyły, a pewne małe, nader wysoko skaczące istotki wyprawiały rzeź ogólną, co tłumaczyło w sposób zgoła naturalny nienaturalny niepokój słuchaczek wobec kwestii przez prelegenta podnoszonych i entuzjazm ich, gdy się prelekcja skończyła. Sala w mieście takim jak nasze ma bardzo wielkie znaczenie, jest rzeczą niemal niezbędną, dotychczas zaś nie ma innej i nie zanosi się na nią wcale. Sama Resursa zresztą, gdyby była prowadzoną, jak należy, gdyby była miejscem rozrywki tanecznej nawet, ale niezbyt pstrej i nie bezikowo-preferansowej, ale trochę i umysłowej, Resursa, powtarzam, taka jak obywatelska, dostępna dla szerszych kół warszawskiej publiczności, byłaby instytucją o tyle pożądaną, o ile pożyteczną. (D XLIX 189-192; GP 1875 nr 282)

[1] Resursa Obywatelska (nazwa od 1870), powstała w 1829 r. w wyniku rozłamu w Resursie Kupieckiej pod nazwą Nowe Towarzystwo Resursowe z siedzibą przy ul. Miodowej, w l. 1861-1939 mieściła się na Krakowskim Przedmieściu 64. Członkami jej byli właściciele ziemscy, właściciele nieruchomości w Warszawie, przemysłowcy, kupcy, artyści, urzędnicy. Gmach Resursy, w którym znajdowała się jedna z największych sal w Warszawie, gdzie urządzano bale i spotkania towarzyskie, został zniszczony podczas II wojny światowej, a następnie odbudowany – obecnie jest siedzibą Stowarzyszenia Wspólnota Polska.

[2] Giuseppe Verdi (1813-1901), włoski kompozytor romantyczny; 23 listopada 1875 r. w warszawskim Teatrze Wielkim miała miejsce premiera opery Aida, do której skomponował muzykę.

[3] Oblig – pisemne uznanie długu; subrogacja (z łac. *subrogatio*) – nabycie praw wierzyciela przez osobę, która spłaciła cudzy dług.

[4] Prawdopodobnie chodzi o Elżbietę Zamarajew (l. 84), zmarłą w listopadzie 1875 r. wdowę po urzędniku.

[5] Pauper (łac.) – biedny; tu: biednych chłopców, ulicników.

[6] Preferans, bezik – gry w karty.

[7] W teatrze Rappo, otwartym w 1866 r. u zbiegu ulic Berga i Włodzimierskiej (dziś Traugutta i Czackiego), odbywały się głównie widowiska cyrkowe. Nazwa pochodziła od występującego tam znanego atlety Franciszka Rappo.

[8] Julian Ochorowicz (1850-1917), filozof, psycholog, wynalazca, publicysta, jeden z głównych teoretyków i przywódców polskiego pozytywizmu. Odczyt *O zasadniczych sprzecznościach na których się wspiera cała nasza wiedza o wszechświecie* wygłosił w teatrze Rappo 31 października 1873 r. O tej prelekcji pisał m.in. „Kurier Warszawski" 1873 nr 238, s. 1–2.

Sprzeczne interesy właścicieli nieruchomości i Towarzystwa Kredytowego Miejskiego

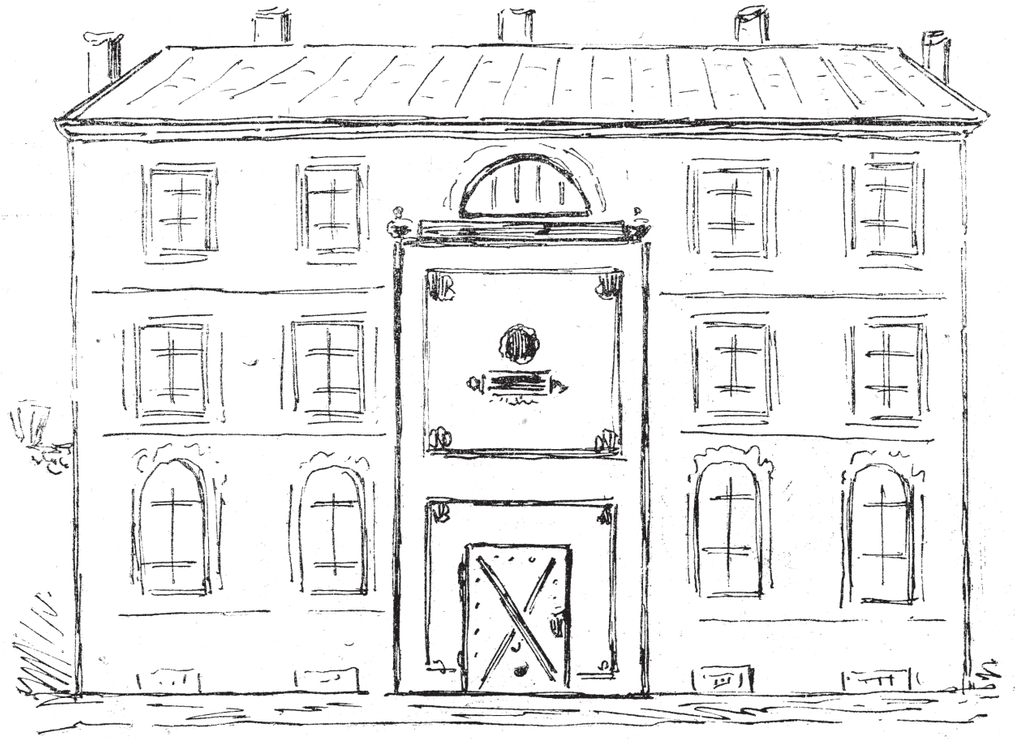

Plan konkursowy gmachu Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy, naszkicowany przez „Muchę", „Mucha" 1878 nr 6, s. 2

Nie wszyscy jednak mamy prawo narzekać na ten świat i życie. Są bowiem ludzie, których natura obdarzyła własną chałupą jak skorupą żółwia. Nie dosyć wreszcie, że są właścicielami nieruchomości, ale jeszcze dla dobra ich żółwiowych skorup organizują się towarzystwa celem udzielania im pożyczek na sybaryckich warunkach. *Suum cuique* [1]. Należy przyznać, że właściciele nieruchomości w każdym razie zasługują na podobne poparcie ze strony miejskiej instytucji. Już sam fakt, że pozwalają nam mieszkać u siebie, przemawia bezwarunkowo na ich korzyść, przy tym tyle są delikatni, że nigdy do mieszkań naszych, które są przecież ich własnością, nie wtrącają się, choćby piece pękały, choćby się posadzka zagłębiała i rysowały się ściany, przypominając nam ułomności wszechrzeczy ludzkich i niestałość ziemskiego życia. A jednak, instytucjo miejska, ty, która sądzisz wartość moralną i niemoralną naszych nieruchomych dobroczyńców, ty, która nie zważając na drobne ich ułomności, udzielasz im pożyczki (ach!...), równające się pięć razy pomnożonemu ich dochodowi, ty, instytucjo, wyższa od dwupiętrowych naszych domów, wbrew postępowi wprowadzasz hierarchie między ludzkość hipoteczną! Czemu właścicielom domów podrzędniejszych ulic pragniesz udzielać pożyczki w ilości tylko dwa razy większej od przychodów! Powinnaś znać ułomności ludzkie i wiedzieć, że to zbyt mało, aby biedny właściciel domu mógł powiększyć ilość oficyn swoich. A chodzi tu o dobro nasze, boć im więcej będzie oficyn w Warszawie, tym więcej po świętych Janach i Michałach [2] będzie żałosnych klepsydr nad bramami naszego żywota, a klepsydry te, jakkolwiek z jednej strony smutnymi mogą być świadectwami przychodów właścicieli i ortografii miejskiej, to z drugiej natomiast strony zbawiennie wpłyną na płytkie kieszenie a głęboką boleść strapionych mieszkańców stołecznego miasta Warszawy. Nie

Bodaj to mieć dom w Warszawie!
Powiastka humorystyczna Franciszka Kostrzewskiego [cz. 3], „Kłosy" 1871 nr 336, s. 360

Bodaj to mieć dom w Warszawie!

Powiastka humorystyczna Franciszka Kostrzewskiego.

— Winszujemy! Wielmożnemu obywatelowi! Nowego roku! żeby pan Bóg dał wszystko dobre!... aby pan jeszcze taki drugi dom wysztyftował!! wiwat! wiwaaaat!

— Proszę laski pana, a to trzeba będzie chyba iść po Drylinga, wczoraj zreperowali studnią, a dziś znowu wody nima... bodaj go choroba... z takom robotom...

— Zbieramy składkę Wielkanocną.

— O! proszę też pana! z góry wie pan te kawalerowie, co to winni za trzy kwartały, tak pomalusku wynieśli graty, że ja nic nie zmiarkował — i dopiero mnie coś piknęno — idę... a tamuj pustki! to ci mondre juchy dopiro? — uciekli, a Wielmożnego pana w trombe puścili i z komornem.

— Łaskawy gospodarzu, maleńka skromna składeczka na dom starców i kalek.

Nareszcie uciążliwy lokator zalegający za rok komorne, mając sobie przez naszego gospodarza gdzieindziéj najęte i opłacone z góry na kwartał mieszkanie, opróżnił niedawno odświeżony lokal — i ofiaruje się przysiądz, że go zupełnie w takim stanie odda jak odebrał.

— A co to tam macie?
— A to proszę Wielmożnego gospodarza ta siwka kura, pani Kociarski, wpadła do piwnicy do Tomajeskich i nie można jéj wydostać, a nie wiadomo, kiedy państwo Tomajescy wrócą ze wsi.
Służąca. Wielmożny gospodarzu, a to niech pan nakaże odbić kłódkę, bo nam się nasza cipuchna zabije tak biedactwo skacze do okna, abo się jeszcze może zagłodzi... sirotka. .

— Pan Dobrodziej... jako znany... protektor sztuk pięknych!... zechce zapewne korzystać?... i weźmie kilka biletów... w niedzielę, o godzinie pierwszéj z południa, w salach redutowych dajemy... *Concert Syphonique.*

Przy tylu widocznych korzyściach z nabycia domu wynikających, nasz kochany właściciel zdołał nareszcie już na 8 numer hypoteki zaciągnąć pożyczkę na 14%, która się mieści *w końcu drugiéj połowy* szacunku domu.

smućcie się jednak, właściciele porządniejszych ulic, oby wam Bóg dał dużo zdrowia i listów Towarzystwa Kredytowego Miejskiego [3]. Pamiętajcie jednak, że drewnianych gmachów budować nie należy, jeżeli chcecie być w łaskach u instytucji miejskiej, która bardzo słusznie czyni nie protegując domów drewnianych, które w razie pożarów giną z kretesem. (D XVII 182-183; N 1875 t. 8, s. 149-152)

[1] *Suum cuique* (łac.) – każdemu to, co mu się należy.

[2] Dzień św. Jana Chrzciciela (24 czerwca) był zwyczajowym terminem zawierania kontraktów na służbę, a dzień św. Michała (29 września) rozwiązywania umów ze służbą.

[3] Towarzystwo Kredytowe Miasta Warszawy, Towarzystwo Kredytowe Miejskie w Warszawie powstało w 1870 r. jako instytucja udzielająca kredytów długoterminowych, opartych na zabezpieczeniu hipotecznym. Udzielało ono pożyczek (w emitowanych przez siebie listach zastawnych) właścicielom nieruchomości w Warszawie mającym uregulowaną hipotekę. Wpływało na rozwój budownictwa mieszkaniowego oraz na wzrost komornego. Siedzibą Towarzystwa był specjalnie w tym celu zbudowany w l. 1878-1880 gmach przy ul. Włodzimierskiej 21/23 (dziś Czackiego). Zburzony w 1944 r. przez Niemców, odbudowany, stanowi obecnie siedzibę banku.

Straż pożarna oczkiem w głowie miasta

W kuchni.

— Marysiu! znowu ten strażak!
— Abo co? proszę pani.
— Mówiłam ci przecież, że nie pozwalam na to.
— Ale bo to dla przezpieczeństwa, proszę pani. Na ten przykład, na przypadek ognia, to błogoby było mieć strażaka pod ręką.

W kuchni,
rys. Franciszek Kostrzewski,
„Tygodnik Ilustrowany" 1871 nr 180, s. 280

W Warszawie przy takich strażach, jakie mamy, pożar nigdy nie może przybrać zatrważających rozmiarów. „W Warszawie, to nawet człowiek porządnego ognia nie zobaczy”, mówił pewien wierny pesymista, który miał sposobność oglądać kilka pożarów prowincjonalnych. Straże tu doskonałe: strażacy, wybierani przeważnie z ludzi miejscowych, znają doskonale miasto, a przy tym odwagą i zręcznością przechodzą podobno wszystkie inne straże w Królestwie i Cesarstwie. Pożar jest dla nich uroczystością; napadają na niego, rzekłbyś, z furią: rąbią i łamią, leją, rzucają się w największy żar i nim się obejrzysz, z ognia już ani śladu. Dzielny lud! Dla miasta naszego straż ogniowa jest duszą i okiem w głowie. (D XLVII 233; N 1875 t. 8, s. 630–636)

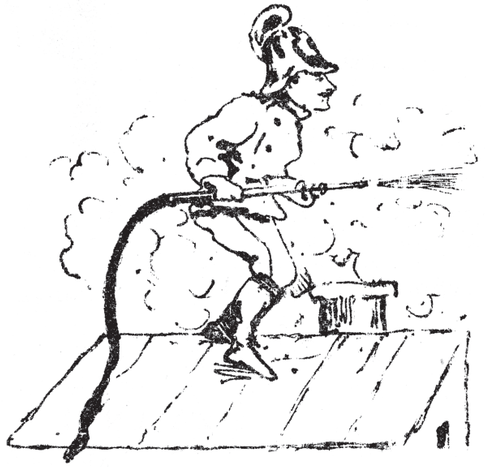

[Rysunek do tekstu] *Warszawianka spod „Żelaznej Bramy”*
„Mucha” 1876 nr 11, s. 2

Styl warszawski w budownictwie

Właściciel. A, mój panie radco! pięknie mnie wykierowałeś, miał mnie cały dom kosztować 200,000, a dotąd już przeszło 300,000 wydałem i końca nie widać!
Budowniczy. To pana wina, zmodyfikowałeś pan sobie plan, dałeś pan mniéj o piętro, schody drewniane zamiast żelaznych, piece jakieś tanie, okna z jakiemiś małemi szybami i t. d. — dobrze panu tak.

Właściciel i budowniczy,
rys. Franciszek Kostrzewski,
„Kłosy” 1869 nr 201, s. 240

Otóż zdaje mi się, że słyszałem, a przynajmniej czytałem niedawno wielkie uniesienia i zachwyty nad naszym miastem, że się tak wznosi, rozszerza, zabudowuje i przybiera coraz bardziej wielkostołeczny i wielkomiejski charakter.

Powiecie, że nie czytacie nic podobnego. Nic? Ale *à propos* [1] tego opowiem państwu następującą rzecz, która wiem, że będzie dobrze widziana, przynajmniej przez tych, którzy się do owego rozrostu miasta czynnie przykładają.

Jesteśmy na wskroś oryginalni i samodzielni, a nasze miasto jest jednym z najoryginalniejszych miast na świecie.

Za granicą na przykład, gdy ktoś wybuduje nową kamienicę, stara się, by rozmiary jej i styl harmonizowały, przynajmniej mniej więcej, z otaczającymi ją budowlami; każdy prócz względu na własną korzyść, pamięta jeszcze o jednej rzeczy, która zresztą osobistych korzyści wcale nie umniejsza. Oto stara się za jedną drogą upiększyć rodzinne miasto. U nas dzieje się inaczej; jesteśmy daleko oryginalniejsi. U nas każdy z osobna wzięty filister ma swój, nie grecki, nie romański, nie gotycki, nie włoski ani żaden inny, ale własny, filisterski styl, wedle którego wznosi budowle [2]. Bo zresztą i dlaczegóż miałoby być inaczej? Mamy przecie swój osobny warszawski rozum, częstokroć bardzo od każdego innego różny; dlaczego byśmy własnego warszawskiego stylu mieć nie mogli? A że oznacza się on rozmaitością, że właśnie polega na tym, iż co kamienica, to różnica - tym lepiej dla niego. Już raz wspomniany przeze mnie pan Cymbałkiewicz ma swoje pomysły, a pan Safandulski swoje. Bank Handlowy [3] może być niski i mieć dwadzieścia cztery razy tak wielkie okna, jak zwyczajne domy miewają, a kamienica naprzeciwko może być sobie wysoka, mieć greckie kolumny, chińskie wieżyczki, po cztery słupki do kupki i mały gołębniczek. To jedno drugiemu nie przeszkadza. Wielka kamienica otoczona małymi wygląda jak kura z kurczętami - czysty obraz sielskiej natury.

Powtarzam: jesteśmy na wskroś oryginalni. Albo te nasze brudne, odrapane, z pokrzywionymi dachami i powybijanymi dymnikami kamieniczki stojące obok wspaniałych, wylakierowanych i wyzłoconych gmachów. Niech mi kto pokaże gdzieś za granicą coś podobnego! (D XLIX 141-142; GP 1875 nr 219)

[1] *À propos* zob. s. 106

[2] „W Warszawie, której zarząd po powstaniu styczniowym został od 1870 r. ustanowiony bez samorządu miejskiego oraz poddany Ministerstwu Spraw Wewnętrznych w Petersburgu, nie zrealizowano przed 1914 r. żadnej ambitniejszej koncepcji urbanistycznej, jak miało to miejsce w Paryżu i Wiedniu w drugiej połowie XIX w., a na początku XX w. - na peryferiach i przedmieściach Berlina.
Niekorzystnie ukształtowały się po 1870 r. inne uwarunkowania zabudowy mieszkaniowej. Wobec braku samorządu, któremu obowiązująca w Warszawie od 1870 r. rosyjska ustawa budowlana przyznawała stanowienie lokalnych przepisów, nastąpiło zahamowanie ich rozwoju. Osłabiona została działalność służb budowlanych. Likwidacja miejskiego kredytu budowlanego i zorganizowanie po 1870 r. kredytu na zasadach rynkowo-spekulacyjnych wzmogło spekulację. Zlikwidowane zostało warszawskie szkolnictwo architektoniczne". Wszystko to miało wpływ przede wszystkim na masową architekturę mieszkaniową, obniżając jej poziom. J. Roguska, *Architektura i budownictwo mieszkaniowe w Warszawie w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku. Architektura willowa*, Warszawa 1986, s. 12.

[3] Bank Handlowy zob. s. 243

Styl warszawski w budownictwie

Sztuka żebractwa

Wesoła Warszawa,
rys. Stefan Mucharski,
„Mucha" 1886 nr 30, s. 4
ebuw.uw.edu.pl

Przyszedłszy nie dalej niż od domu Kronenberga [1] do Teatru lub od Świętokrzyskiej do Poczty [2], możesz być napadniętym przez kwiaciarza, druciarczyka, przez młodą dziewczynę sprzedającą z płaczem (przez 12 godzin) kalendarzyki kieszonkowe; słowem: przez cały legion istot, których zatrudnieniem jest żebractwo pod pozorem handlu. Jeżeliś się na koniec cudem jakim wymknął nieznudzony i nieoszołomiony, nie mów jeszcze hop! bo możesz łatwo się spotkać z żebractwem bez pozoru handlowego. Patrz: oto zbliża się młoda i dość przystojna kobieta, nieźle nawet ubrana i mówi równie płaczliwie jak szybko:

– Panie, poratuj! Jam wdowa, mąż mi umarł; rok tylko z nim żyłam: jedenaścioro biednych sierot z głodu umiera, etc.

Czasem to będzie pseudoemigrant z czerwonym nosem, który dla cywilnych jest emigrantem, dla wojskowych byłym wojskowym, dla Abdul-Medżida [3] byłby Turkiem i czym kto chce wreszcie. Ten nie prosi cię od razu o jałmużnę, ale przede wszystkim pyta o mieszkanie angielskiego konsula.

Przypatrujesz mu się, przypominasz coś sobie, wreszcie mówisz:

– Ależ, mój panie! pan mnie już przed rokiem pytałeś o to samo.

– *Ah! pardon, monsieur!*

Z tymi słowami znika.

Dziś i żebranina [4] staje się ulepszoną: staje się sztuką opartą na znajomości serc ludzkich. Dziś dawny typowy dziad, który to nucił po bramach, a siedząc pod kościołem wyciągał puszkę od szuwaksu lub glinianą miseczkę, krzycząc, aż się rozlegało: „Wspaniały dobroczyńco!" etc. etc. - dziś taki dziad, mówię, staje się rzadszym. Trzyma się jeszcze kościołów, pomniejszych ulic, wreszcie głównie Powązek, ale lepsze, bogatsze i piękniejsze dzielnice miasta opuścił, wyparty przez nowy, bardziej ucywilizowany gatunek. Za to ten ostatni rozmnaża się z coraz większą szybkością, eksploatuje domy, ulice, cukiernie, restauracje, ogrody i często, jak słychać,

Sztuka żebractwa

— Dał rubla, no, trza iść do Boqueta coś przetrącić.

Dobroczyńcy i dobrobiercy, czyli wstydzący się żebrać [fragment], rys. Franciszek Kostrzewski, „Kłosy" 1876 nr 572, s. 376

ma się wcale nieźle. Wielka to jednak klęska, czytelnicy, a tym groźniejsza, im szersze przybiera rozmiary. Przyczyną takiego stanu rzeczy jest anormalny stan społeczeństwa, jest... ale po cóż ja wpadam w ten kaznodziejsko-ekonomiczny styl? To rzecz już nie moja, to rzecz artykułów wstępnych. (D XLVIII 109-111; GP 1875 nr 79)

[1] Pałac (dom) Leopolda Kronenberga znajdował się u zbiegu ulic Królewskiej i Mazowieckiej przy placu Ewangelickim (dziś Małachowskiego).

[2] Poczta była wtedy na Krakowskim Przedmieściu między Trębacką a Kozią.

[3] Abdul Medżid (1823-1861), sułtan turecki od 1839 r.; zwolennik współpracy z Zachodem.

[4] Problem żebractwa bulwersował też Bolesława Prusa, który wielokrotnie dawał temu wyraz w swoich felietonach: „Jakiś próżniak ubiera się w łachmany, owija ręce albo nogi, często kaleczy się umyślnie i - staje na rogu ulicy. I otóż zaczyna się niecna eksploatacja. Tego bowiem hultaja wspierają przechodzące sługi, tragarze, wyrobnicy, słowem - najubożsi i najpracowitsi ludzie. Oni odejmują sobie od ust, a łotr zyskuje dziennie kilka rubli, to jest tyle, ile nigdy nie zarobi żaden z ciężko pracujących jego dobrodziejów. Powyższy skandal, oburzający ludzkie serce, jest wynikiem zasady: protegowania każdego co żebrze. Gdyby w tym wypadku opinia była oględniejszą, gdyby tworząc przytułki dla kalek i dotkniętych jakąś klęską, nie obdarzała na los szczęścia wyciągających rękę obdartusów, zmniejszyłaby się liczba próżniaków, a ludzie pracowici i sercowi nie narażaliby się na wyzysk. W nagrodę naszej „niby litości", która jest tylko nieporządkiem, mamy olbrzymią masę najwstrętniejszych żebraków." *Kronika tygodniowa*, „Kurier Warszawski" 1885 nr 317b, s. 2.

Sztywny gorset etykiety doskwierający latem

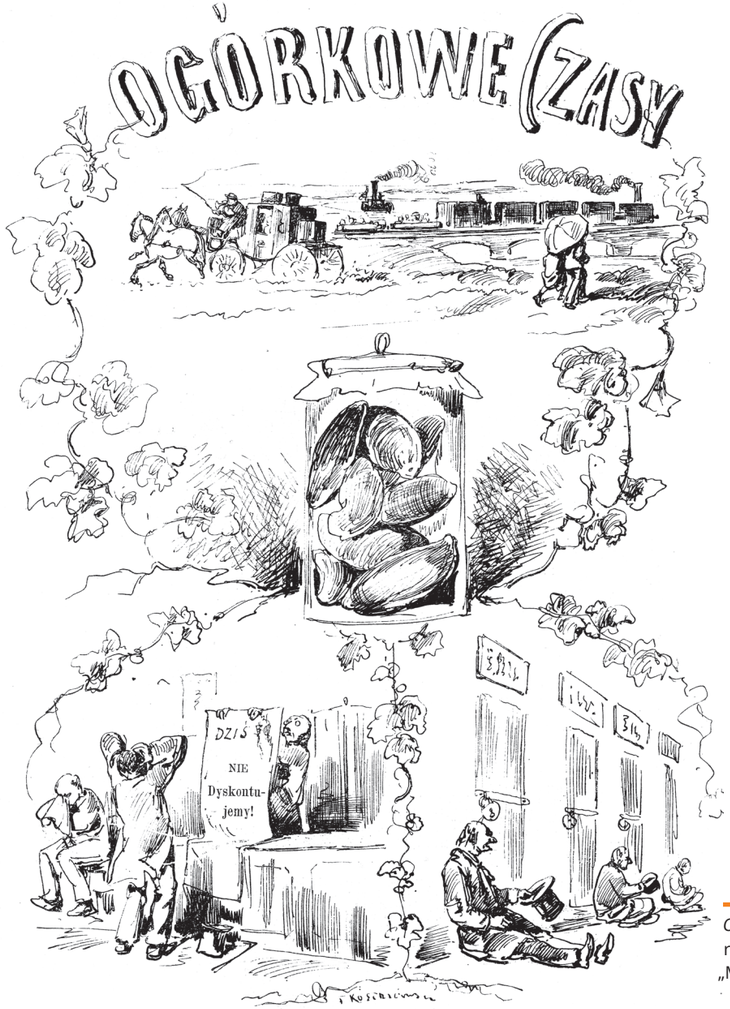

Ogórkowe czasy, rys. Franciszek Kostrzewski, „Mucha" 1876 nr 31, s. 4

Wobec tylu zabaw i uroczystości odbywanych pod gołym niebem - życie, towarzystwo salonowe drzemie snem nie przebudzonym aż do późnej jesieni. Nie ma wieczorów, więc nie ma i zebrań wieczorowych, i salonowych pogawędek, lekkich, bo pustych, a poważnych, bo pełnych etykiety.

Upały i etykieta nie znoszą i wyłączają się wzajemnie. Etykieta np. wymaga, abyś, miły czytelniku, szedł na wizytę w zapiętym, czarnym surducie, upał radzi ci go rozpiąć; etykieta wymaga, aby twe ręce obciśnięte były w rękawiczkach, upał każe ci chodzić bez rękawiczek; etykieta każe ci być sztywnym i silnie przestrzegać w ruchach prawideł dobrego tonu, upał robi cię ociężałym, a ruchom twym nadaje pozór zaniedbania; etykieta każe ci podtrzymywać żywą rozmowę z gospodynią domu i prawić komplementa, upał sprawia, że mówić ci się nie chce, a rad byś oprzeć plecy o poręcz wygodnego fotelu

Lato,
rys. Ksawery Pillati,
ryt. Andrzej Zajkowski, Kazimierz Olszewski,
„Kłosy" 1875 nr 531, s. 148-149

Sztywny gorset etykiety doskwierający latem

i usnąć. Tak, tak! lato nie sprzyja salonowemu życiu. Żyjemy natomiast wszyscy na ulicach i w ogrodach, na spacerach i przechadzkach, słowem, żyjemy poza domem.

Za to owe pozadomowe życie wre, kipi i pryska ogromnym ruchem. Kto by wieczorem np., porzuciwszy na chwilę duszne miasto, umiał się wznieść wysoko, wysoko w czyste wieczorne powietrze i stamtąd spojrzeć z góry na miasto, temu ów ruch przedstawiłby się najplastyczniej. Z dołu dochodziłby go gwar i turkot miejski, w ciemnych skrętach i rozkrętach ulic widziałby tłumy ludzi płynące w różne strony. Ogródki, gdzie grywają teatrzyki i orkiestry, wydałyby mu się niby błyszczącymi jeziorami, w których, w falach gazowego światła, kręcą się cywilni, wojskowi, wystrojone i wyróżowane kobiety, damy kameliowe etc. etc. Z dołu dochodziłyby fale tonów muzycznych; może nawet powietrzny ów wędrowiec przez jakie dobre szkła zdołałby odróżnić Gungla [1] i haftowany mundur Baloga [2], może dojrzałby nawet swoich znajomych i znajome spacerujących po alejach Saskiego Ogrodu [3], zakochane pary, znakomitości literackie, które patrzącemu z tak wysoka wydałyby się zapewne bardzo małymi, bankierów, poetów, hrabiów, kupców, Żydów, aktorów, a wszystko to przysłonięte rdzawą, niezdrową, pełną wyziewów i dymu gorączkową jakąś atmosferą. (D XLVII 88-89; GP 1873 nr 143)

[1] Josef Gung'l (1809-1889) - węgierski kompozytor, dyrygent i skrzypek. Koncerty orkiestry pod dyrekcją „dyrektora orkiestry w Monachium" odbywały się w 1873 r. w Dolinie Szwajcarskiej. Program koncertu w d. 24 czerwca zob. „Kurier Warszawski" 1873 nr 129 z 23 czerwca, s. 4.

[2] Karol Balog zob. s. 46

[3] Ogród Saski zob. s. 125

Ślizgawka na Saskim Placu

Ślizgawka ma powaby nawet dla tych co się nie ślizgają,
rys. Władysław Szymanowski,
„Mucha" 1877 nr 1, s. 1

Rozrywką, jaka czeka tej zimy warszawiaków, jest ślizgawka, którą już poczęto urządzać na Saskim placu[1]. Zeszłego roku były już podobne urządzenia, ale na nieszczęście, ponieważ zimie i ślizgawce brakło bagatelki, bo tylko lodu, nikt się więc nie ślizgał z wyjątkiem przedsiębiorców, którym i bez lodu tak się fatalnie poślizgnęła noga, że podobno do tej pory od tego szwanku nie mogą przyjść do siebie.

Kto obecnie podniósł tę myśl na nowo, powiedzieć jeszcze nie umiemy, ostrzegamy go jednak, że powodem upadku zeszłorocznego przedsiębiorstwa były i zbyt wygórowane ceny za wejście.

Ceny te powinny być tym umiarkowańsze, że przedsiębiorca musi wytrzymać konkurencję z nie lada przeciwnikami, bo z Wisłą i z sadzawkami w parku Łazienkowskim. Te ostatnie będą szczególnie niebezpiecznym przeciwnikiem; sanna bowiem w pogodne dnie dostarcza sposobności do spaceru, urok zaś miejsca nadaje odbywającej się tam zabawie pewien charakter wykwintny i wielkomiejski.

Wszystko to jednak zależy od tego, czy zima będzie dość sucha i mroźna, niechże nas jednak nikt nie posądza, abyśmy sobie takiej życzyli. (D XLVII 120-121; GP 1873 nr 258)

[1] Plac Saski (obecnie plac Józefa Piłsudskiego), dawny dziedziniec pałacu Saskiego, położony między ulicami Wierzbową, Ossolińskich, M. Tokarzewskiego-Karaszewicza, Królewską i Ogrodem Saskim. Więcej zob. E. Szwankowski, *Ulice i place Warszawy*, Warszawa 1963, s. 278-281.

Teatrzyk ogródkowy na Pradze

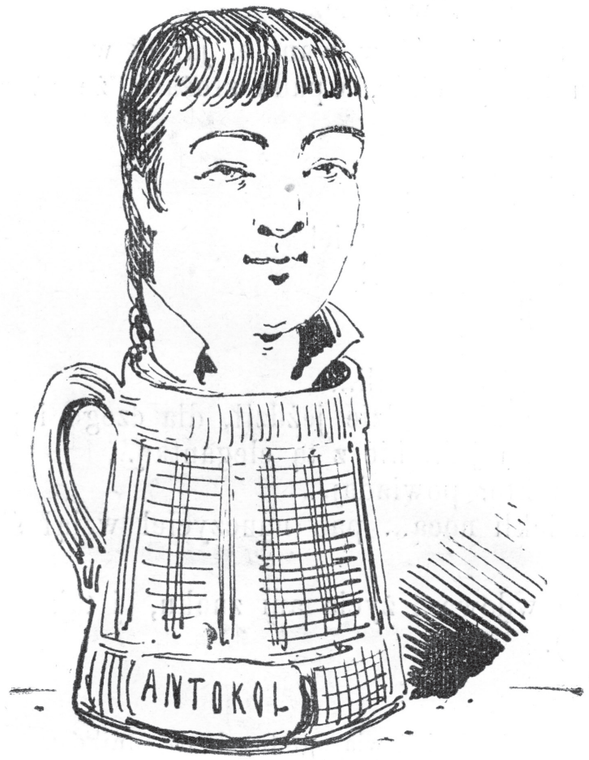

Piwna Najada,
„Kurier Świąteczny" 1877 nr 67, s. 4

Tak więc przybył nam czwarty ludowy teatrzyk na Pradze, przezwany Antokolem [1]. Zapewne nie wiecie, co to jest Antokol? Ale obcym wam nie jest przynajmniej ze słyszenia ogródek zwany na świecie „Nadwiślańskim". Otóż na czole owego nad Wisłą zawieszonego ogrodu umieszczono napis Antokol. Nie godziło się bowiem w ogrodzie, zamieszkałym przez kuchenne Hesperydy [2], wznosić klasycznego budynku sztuki. I tu, gdzie niegdyś zajadano czerwone raki o białej osnowie, gdzie, niby ze starożytnych wodotrysków Uśmiechu, markier [3] wypuszczał strumienie piwa, tu zawitał boski Orfeusz [4] w towarzystwie panów Jaworowskiego i Cybulskiego! [5] Tak więc cywilizacja, a z nią i sztuki piękne rozbijają namioty swoje letnie na pustkowiach odległych, aby oświecić ciemne aleje naszych myśli światłem naftowym. Oby muzy, tu zamieszkałe, więcej miały powodzenia od w pobliżu będących faszyn [6] Daniszewskiego [7], oby nie były tyle płytkie, ile obecne koryto Wisły, a przynajmniej tak ciepłe jak w ogródku antokolskim piwo bawarskie.

Pierwsze przedstawienie składało się z dwu oryginalnych sztuk (*Posażna jedynaczka* i *Okrężne* [8]). Miejmy więc nadzieję, że Antokol nie pójdzie śladem swych południowo-namiętnych sióstr i braci: maurytańskiej Alhambry [9], złotodajnego Eldorada [10] i rzymskiego Tivoli [11]. Miejmy nadzieję, że kapłanki muz na Antokolu nie będą grywały sztuk polegających na ażurowych kostiumach i na obnażaniu wdzięków (a nawet radziłbym, aby je jak najstaranniej okrywały...). W każdym razie panowie Jaworowski i Cybulski złożyli dowody istotnej teatralnej odwagi, urządzając teatr swój w pobliżu drapieżnych bestii, blisko przyszłego zwierzyńca [12] i kilku sąsiednich ogródków, które jednocześnie z przedstawieniem na Antokolu dźwięczały grą na fletni, przypominającej beczenie kozy, i fortepianem, mającym głos bardziej przerażający od wycia wilków. Toteż konkurencyjno-zwierzęce te głosy chybiły celu, siłą bowiem kontrastu podnosiły wartość roli sepleniejącego Błażeja w osobie pana Krzyżanowskiego [13] i litewski akcent Gomojły w osobie pana Freya [14]. Mimo

W ogródku teatralnym,
rys. Franciszek Kostrzewski,
„Kolce" 1877 nr 30, s. 233

— Brawo! piwo zimne i ze śmietanką! brawo! brawo! brawo Józef!
— Dziękuje — ale ja tam z brawem otrzaskany, wolę dychę... niż sławę!

Teatrzyk ogródkowy na Pradze

to bawiono się ochoczo, a bawiła się nie tylko publiczność dorosła, ale także i niedorosła, którą najwięcej słychać było, rozzuchwaliła się bowiem przedrzeźnianiem osób dorosłych na scenie. Ale to zawsze budująco wpływa.
(D XLVII 179-180; N 1875 t. 8, s. 149-152)

[1] Antokol – teatrzyk ogródkowy otwarty w 1875 r. przy Wale Praskim. W tym czasie przedstawienia dawała tam „trupa p. Jaworowskiego pod kierunkiem p. Cybulskiego" o czym informował felietonista „Dziennika Warszawskiego" (nr 141, s. 605), który nie uważał, aby teatrzyk „aczkolwiek dość miernie obsadzony, nie miał przed sobą przyszłości pomyślnej. Pomijając już widoki na publiczność zamieszkującą przedmieście, która tam wieczorami, po pracy, zamiast do innych zwykłych bawarii, przybywać będzie, zachęcona zwłaszcza niską ceną wejścia (po kop. 10), teatrzyk ten może słusznie liczyć na ciekawość powracających z Saskiej Kępy spacerowiczów świątecznych, którzy muszą koniecznie przechodzić tuż obok wrót antokolowskiego ogródka, do którego wzywać ich będą dźwięki orkiestry teatralnej. Nad krzesłami (wysłanymi!) zastawionymi dla widzów nowego teatrzyku, wzniesiony jest dach podobny do tych, jakie okrywają spektatorów Eldorada i Alhambry". „Historia" teatrzyku z okazji jego likwidacji zob. *Sic transit*... „Kurier Warszawski" 1883 nr 275, s. 4.

[2] Hesperydy – w mitologii greckiej córki Atlasa i Hesperii, które wraz z smokiem Ladonem strzegły w ogrodzie złotych jabłek.

[3] Markier – w restauracji bufetowy, który wydaje kelnerom na salę dania odbierając od nich stosowne znaczki, marki.

[4] Orfeusz – mityczny syn muzy Kaliope, poeta i pieśniarz tracki, słynny z cudownej mocy swojej muzyki.

[5] Józef Cybulski (1840-1912), aktor charakterystyczny, dyrektor wędrownych trup teatralnych, autor antologii piosenek i utworów recytatorskich. W 1875 od 9 lipca do 12 września, wraz z Jaworskim, kierował Antokolem, gdzie także reżyserował. Adam Jaworski (Jaworowski) działał w l. 1875-1879 jako aktor i dyrektor prowincjonalnych zespołów teatralnych.

[6] Faszyna – wiązki wikliny, chrustu, gałęzi mocno związane, wykorzystywane przy regulacji rzek, budowy tam, umacniania skarp itp.

[7] Jan Daniszewski, właściciel majątku Kiełczewice w Lubelskiem, podczas jednej z konferencji odbywających się w czasie Wystawy Przemysłowo-Rolniczej zorganizowanej w 1874 r. w Warszawie, przedstawił projekt regulacji koryta Wisły poprzez zastosowanie tanich tam koszowych. Projektem zainteresował się urząd warszawskiego generał-gubernatora i zdecydował tytułem próby postawić tamy od strony Pragi. W 1875 r. „Kurier Warszawski" (nr 112 z 26 maja) z satysfakcją donosił, że „Tama p. Daniszewskiego zbudowana przezeń na Wiśle w listopadzie roku zeszłego pod wodociągiem praskim, oparła się wybornie wylewowi rzek, jako też i jej lodom, co najlepszym jest świadectwem praktyczności nowego pomysłu". Opis projektu zob. „Gazeta Warszawska" 1874 nr 252, s. 1-2.

[8] *Posażna jedynaczka* – jednoaktowa komedia Jana Aleksandra Fredry; *Okrężne* – komedia Józefa Korzeniowskiego.

[9] Alhambra zob. s. 62

[10] Eldorado zob. s. 62

[11] Tivoli zob. s. 46

[12] Chodzi o Ogród Zoologiczny, na który miała być przeznaczona część Parku Aleksandryjskiego.

[13] Władysław Krzyżanowski (ok. 1836 - działał do 1881), aktor charakterystyczny, znany z niezwykłej brzydoty, nazywany „chińską maską", dyrektor prowincjonalnych zespołów teatralnych. W 1875 r. występował w Antokolu w zespole Józefa Cybulskiego.

[14] Ignacy Frey (Frej) (1821-1885), aktor charakterystyczny (grywał zwłaszcza typy żydowskie), reżyser w amatorskich zespołach teatralnych, autor tekstów piosenek, obrazków scenicznych, tłumacz sztuk. W 1875 r. występował u Józefa Cybulskiego w Antokolu.

Telegrafiści nadzwyczaj uprzejmi

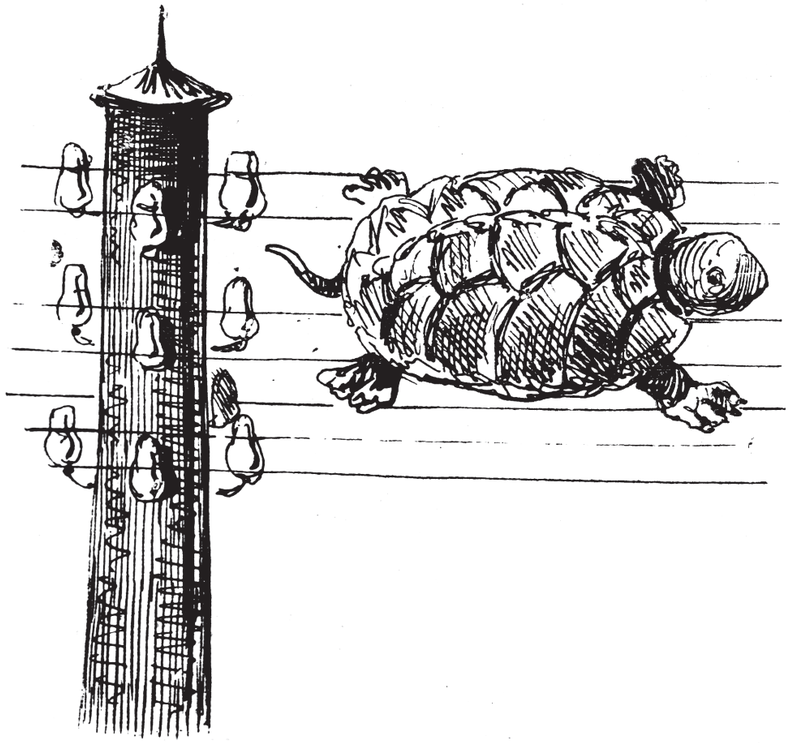

Nasze telegrafy i biegnąca po nich lotem błyskawicy depesza,
„Kurier Świąteczny" 1878 nr 5, s. 3

À propos [1] telegrafistów, ale nie praskich, tylko warszawskich, z ulicy Królewskiej [2] – czy czytaliście w gazecie naszej pochwały oddawane nadzwyczajnej ich uprzejmości względem interesantów przychodzących telegrafować? Ta uprzejmość dochodziła już w ostatnich czasach do tego stopnia, że niejeden wolał zrzec się wysłania depeszy, byle nie być wystawionym na dowody tak wielkiej grzeczności, która mimo woli dawała mu do myślenia, czy telegrafowanie, czyli w ogóle wysyłanie depesz, nie jest czasem istotnie czymś nagannym, zasługującym na lekceważenie i pogardę ze strony samychże telegrafistów. (D XLVIII 165; GP 1875 nr 110)

[1] *À propos* zob. s. 106.

[2] Przy ulicy Królewskiej nr 1065b (nowy 33) mieścił się Zarząd Warszawskiego Oddziału Telegrafów.

Upadek maskarady

— Kup mi kolacyę...
— Z ochotą bym cię zaprosił, ale o tej porze tanie kuchnie są zamknięte.

Trzecia maskarada [fragment], „Mucha" 1875 nr 4, s. 4
ebuw.uw.edu.pl

Tradycja głosi, że za szczęśliwego panowania króla Ćwieczka maskarada była zebraniem się osób zwykle do wyższych warstw społeczeństwa należących, wykwintnych i dowcipnych. Dowcip w takim zebraniu miał tryskać na wszystkie strony, skrzyć się i błyszczeć. Cięte szyderstwa krzyżowały się wzajemnie jak szpady, sypały się słynne *bons mots* [1], powtarzane później przez całe miasto, a czasem pod czarną maską szukała szczerszej chwili miłość - czy to zbyt lękliwa, czy nie wyznana jeszcze, czy zabroniona, czy to na koniec niewzajemna.

Dziś się czasy zmieniły. Dziś maskarada jest zebraniem, na którym się popychają, gniotą, łokciują, depczą, pocą i na koniec nudzą. Tak zwane „towarzystwo", a przynajmniej damy z towarzystwa, zarzuciły tego rodzaju zabawy, co też odebrało im dawny wykwintny i elegancki charakter. Dziś nawet dobrze wychowani mężczyźni niewiele sobie robią z zaczepiających ich masek. Bo zresztą i po cóż robić ceremonie, gdy dama, która cię intryguje, może być dziewczyną z restauracji, w której jadasz obiad, albo twoim własnym, przebranym za damę fryzjerczykiem, który cię co rano goli? Francuszczyzny coraz mniej daje się słyszeć na tych zebraniach, co jednak wcale nie dowodzi, aby damy nasze, przejęte poczuciem obowiązku mówienia po polsku, porzuciły nadsekwańską mowę. Damy z „towarzystwa" parlują [2] po dawnemu, a damy maskarady po dawnemu parlować nie umieją! Co większa, często i polszczyzna maskaradowa, a zwłaszcza sposób wymawiania, kuleje na obie nogi: Kogo szukasz, piękna maseczko? - pyta maski przechodzący młodzieniec. - Czebie - brzmi uprzejma odpowiedź. (D XLVIII 18-19; GP 1875 nr 12)

[1] *Bons mots* (fr.) – dowcipy, zręczne powiedzenia.

[2] Parlować (z fr. *parler*) – mówić po francusku.

Upał w mieście

Wjazd triumfalny Offenbacha do bawarskich teatrów w Warszawie, „Kurier Świąteczny" 1875 nr 44, s. 1

Gdybyś wiedział, miły czytelniku, ty, który pod cieniem rozłożystej lipy możesz zasiąść pod wieczór przynajmniej wśród aromatycznych pól i łąk twoich i oddychając świeżym powietrzem, marzyć o przyszłorocznych zbiorach - gdybyś wiedział, czym jest Warszawa w lecie - o! z pewnością byś do niej nie zajrzał - chyba z wełną [1]. Pod tym jednym warunkiem zrzucenia z siebie tak drogiego ciężaru, a raczej zamienienia go na inny jeszcze droższy, ale za to tak lekki, że go zwykle trudno dowieźć do domu - pod tym jednym warunkiem letnia wycieczka do Warszawy zasługuje na pewne usprawiedliwienie. Ale jak usprawiedliwić nas, niepoprawnych mieszczuchów, gdy zamiast wleźć do piwnicy i obłożyć się lodem, wyprawiamy sobie dzikie igrzyska w rodzaju angielskich wyścigów [2] lub tutejszo-krajowych zabaw „kwiatowo-loteryjnych"? [3] Na wycieczkę pozamiastową mało kto się wybierze, bo do chodzenia jesteśmy za leniwi i za poważni - a do jeżdżenia brak nam pieniędzy; lubimy za to przetłoczyć się sto razy tam i na powrót wzdłuż głównej alei Saskiego Ogrodu [4], to znaczy, zrobić dwa razy tyle drogi, ile potrzeba na średni, przyzwoity spacer pozamiejski - albo też pozwolić sobie popodbijać boki i pozasypywać kurzem oczy w sąsiedztwie zapalonych sportsmenów. Idziemy tam, bo inni idą, a inni idą dlatego, że my idziemy - zupełnie tak jak na Bielany lub Saską Kępę. Zresztą, mój Boże, trzeba być wyrozumiałym. Czyż to i tak nie wielkie szczęście dla nas, warszawiaków, być ze dwa razy do roku wyszturchanym, zakurzonym, wydeptanym i po tym wszystkim skąpanym w deszczowej powodzi wśród błota? *Varietas delectat* [5]. Gdyby ludzie wymyślili coś jeszcze głupszego od wyścigów - poszlibyśmy z satysfakcją. Trzeba wiele przebaczyć Warszawie, uwzględniając wpływ wysokiej temperatury na władze duchowe człowieka. Alboż my wiemy, co mamy robić? Och, te upały! Przypomina nam się mimo woli eldoradowa piosenka: *Ah! qu'il fait chaud! Dieu! qu'il fait chaud!* [6] Niestety! tradycja „szansonetek" [7] zginęła w Eldorado [8]; na scenie króluje nowy geniusz, szerszego pokroju i w miejscową kurtę przybrany... Offenbach [9]. Co prawda, to i inne nasze przybytki Terpsychory i Melpomeny nie zaniedbują działu sztuki dla sztuki. Pięć teatrów polskich, jeden francuski i jeden niemiecki tak doskonale przysposobiły nas w tym względzie, że każdy z nas z dumą powiedzieć może: „warszawiakiem jestem, i nic offenbachowskiego obcym mi nie jest".

Nie sądźcie zaś, żebyśmy w tym kierunku ma powierzchownej wiedzy poprzestali. Bynajmniej. Słyszałem niedawno ożywiony spór trzech młodzieniaszków, z których żaden nie odpowiedziałby na pytanie: czemu się równa kwadrat z przeciwprostokątnej? ale z których każdy doskonale znał przymioty kankanowe artystek z Eldorado i Alhambry [10], stając w obronie to jednej, to drugiej strony. Czy myślicie, że gdy pan Grabiński [11] przyzwoicie przedstawi *Halkę* w „Tivoli" [12], to znajdzie więcej zwolenników, niż gdy zagra *Małego Fausta* [13] lub *Piękną perfumiarkę*? [14]... Och, te upały!

Z tym wszystkim każda rzecz ma dwie strony. Mają ogródki złą, ale mają i dobrą. Po pierwsze, dają sztuki nowe, nieraz i bardzo dobre - i to dają nierównie prędzej aniżeli nasza wielka scena; po wtóre, bądź co bądź, uczą języka, uczą czasem i pięknych myśli, budzą zacne uczucia, aby tylko jak najwięcej i jak najczęściej! Gdyby wam chodziło o dowiedzenie się, która z trzech trup ogródkowych jest najlepszą, powiedziałbym, że opery wychodzą najlepiej w Tivoli operetki w Eldorado, a komedie w Alhambrze - dramaty wszędzie słabo, ale też na co nam dramaty przy 24 stopniach ciepła? (D XLVII 163-165; N 1875 t. 8, s. 59-71)

[1] Mowa o jarmarku wełnianym zob. s. 167

[2] Wyścigi na Polu Mokotowskim zob. s. 103

[3] Zabawy kwiatowo-loteryjne zob. s. 130

[4] Ogród Saski zob. s. 125.

[5] *Varietas delectat* (łac.) – odmiana sprawia przyjemność.

[6] *Ah! qu'il fait chaud! Dieu! qu'il fait chaud!* – refren piosenki *Michand*, której autorem jest Paul Emile Debraux.

[7] Szansonetka (fr. *chansonnette*) – piosenka kabaretowa.

[8] Eldorado zob. s. 62

[9] Jacques Offenbach zob. s. 46.

[10] Alhambra zob. s. 62

[11] Julian Grabiński (ur. przed 1850, zm. po 1900), aktor, śpiewak, dyrektor prowincjonalnych teatrów. W 1875 r. kierował warszawskim teatrzykiem ogródkowym TivoIi.

[12] Tivoli zob. s. 46

[13] *Mały Faust* Hervé'go (właśc. Florimond Ronger) – operetka w 3 aktach wystawiana w 1875 r. w Eldorado.

[14] *Piękna perfumiarka* Jacquesa Offenbacha – opera w 3 aktach wystawiana w 1875 r. Alhambrze.

Urlopowany projekt Muzeum Przemysłu i Rolnictwa

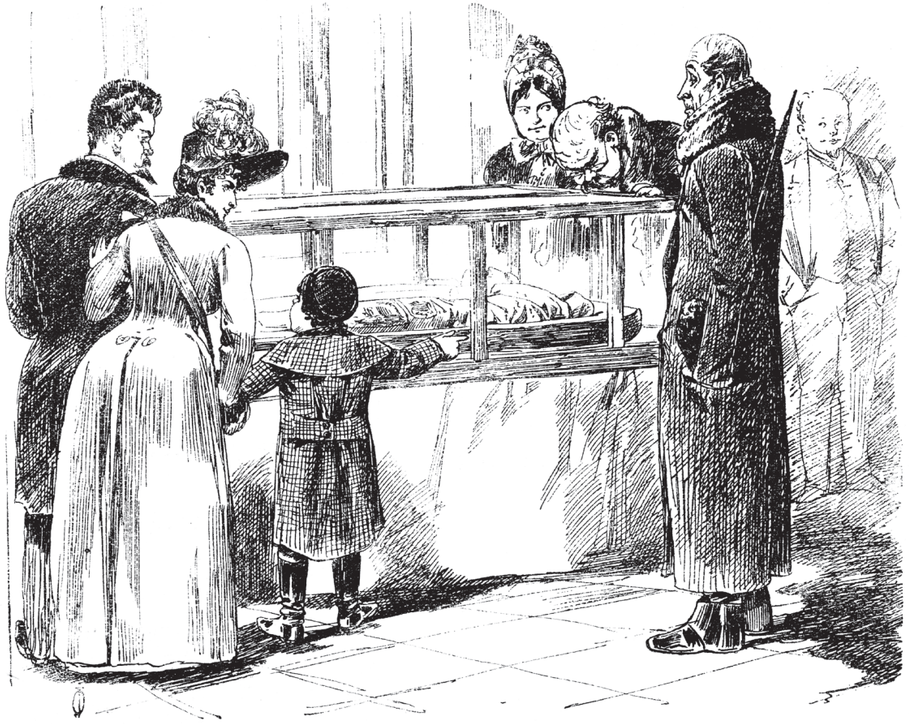

Pan w futrze (wiecznie niezadowolony z działalności komitetu Muzeum). — Ciekawy jestem, co tu robi mumia egipska?

Sekretarz Muzeum, w głębi (półgłosem, jako gospodarz grzeczny). — To samo, co robi mumia warszawska.

Dzieciak (skierowawszy rękę na pana w futrze). — Mamusiu, a czemu ten pan nie chodzi w papirusie?

Dwie mumie na wystawie starożytności w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, rys. J.O., „Biesiada Literacka" 1890 nr 13, s. 208

Już nasz taki zwyczaj, że jak tylko powstaje jaki projekt, natychmiast dajemy mu nieograniczony urlop. Niech tam jedzie sobie z Panem Bogiem, byle nam nie zawadzał. Jako przykład weźmy np. projekt Muzeum Przemysłowo-Rolniczego [1]. Kiedy ten projekt powstał, już nawet nie pamiętam; wiem tylko, że miał dosyć czasu, by się „ucukrować jak figa, uleżeć jak tytuń" lub jak ulęgałka. Piszą o nim, mówią o nim. Oto „Wiek" [2] np. donosi, że organizatorowie jego myślą przede wszystkim o założeniu pracowni chemicznej [3]; dalej, że myślą założyć zbiory technologiczno-chemiczne; dalej, urządzić systematyczne wykłady etc., etc.; słowem, że trudniej by było powiedzieć, o czym to ci organizatorowie nie myślą.

Pocieszająca wiadomość, ani słowa, ale co do mnie, to ja *simplex servus Dei* [4], wolałbym, żeby mniej myśleli, a więcej robili; żeby nareszcie zrobili choć cokolwiek. Obecnie te wyliczenia: pracowni chemicznej, zbioru chemicznego, zbioru odczytów, przypominają mi powiastkę o Radziwille Panie Kochanku [5], który przyjechawszy raz głodny jak wilk do jakiejś karczmy żydowskiej krzyknął, żeby mu co prędzej jeść podawali.

- Może by Jaśnie Książę kurę pozwolił? - spytał Żyd.

- Dobrze, Żydzie, dawaj kurę.

- Cóż, kiedy nie ma!

- A może by Jaśnie Pan jajecznicy?

- Dawaj jajecznicę!

- Cóż kiedy nie ma! A może by Jaśnie Książę tak co zimnego... półgęsek.

- Dawaj, trutniu!...

- Cóż, kiedy nie ma.

Te żarty źle się podobno nawet skończyły dla dowcipnego syna Izraela. Ale powiedzcież teraz, czytelnicy, czy z nami nie tak samo postępują jak z Radziwiłłem? Raz wraz przychodzi ktoś i pyta:

- Może byście chcieli mieć muzeum?

- Dobrze!

- Cóż, kiedy nie macie! A może ogród zoologiczny?

- I to dobrze.

- Cóż, kiedy nie macie! A może komitet zdrowia?

- Owszem. (D XLIX 47-48; GP 1875 nr 158)

Urlopowany projekt Muzeum Przemysłu i Rolnictwa

[1] Muzeum Przemysłu i Rolnictwa przy Krakowskim Przedmieściu 66 oficjalnie zatwierdzone w 1875 r. powstało ze składek społecznych i z finansowym wsparciem Jana Tadeusza Lubomirskiego i Józefa Zamoyskiego, Jakuba Natansona i Karola Dietricha jako instytucja oświatowa i naukowo-badawcza mająca na celu wpływanie na rozwój przemysłu, rolnictwa i rzemiosł. W powstałej tutaj w 1875 r. pracowni chemicznej i fizycznej pracowała w l. 1890-1891 Maria Skłodowska. Muzeum prowadziło również Kursy Przemysłowo-Rolnicze i akcję wydawniczą. Istniało do września 1939 r. kiedy to jego zbiory spłonęły. W odbudowanym budynku znajduje się obecnie Centralna Biblioteka Rolnicza.

[2] „Wiek" - dziennik polityczny, literacki i społeczny ukazujący się w Warszawie w l. 1873-1899.

[3] *Nowiny bieżące krajowe*, „Wiek" 1875 nr 155, s. 3.

[4] *Simplex servus Dei* (łac.) - prosty sługa Boży

[5] Karol Stanisław Radziwiłł zwany Panie Kochanku h. Trąby (1734–1790), wojewoda wileński, marszałek generalny konfederacji radomskiej, ordynat nieświeski. Barwna postać Radziwiłła i związane z nią anegdoty trafiały na karty wielu pamiętników, przeważnie powtarzających rzeczy o nim zasłyszane, a później na strony XIX-wiecznych opracowań historycznych i pseudoźródłowych publikacji. W literaturze romantyzmu zwłaszcza w tzw. gawędzie szlacheckiej wyrósł na sarmackiego bohatera uosabiającego, mimo pewnych wad, dodatnie cechy dawnego obyczaju i instynktu narodowego. Na podst. J. Michalski, PSB 1987, t. 30, s. 248-262.

Urok Ogrodu Botanicznego

— Hej.. . jegomość .... nie wolno w koszuli wchodzić do ogrodu.
— A no, to zdejmę koszulę.

Przed Ogrodem Botanicznym,
„Mucha" 1883 nr 33, s. 2

Jakże inny widok [niż Ogród Saski] przedstawia odleglejszy Ogród Botaniczny! [1] Nie masz tu kurzu, o którego potłumienie na próżno prasa kurierowa [2] wniebogłosy co rok krzyczy: nie słychać zgiełku miejskiego; ogony damskie [3] nie szeleszczą całymi setkami po żwirze; dym z papierosów nie gryzie w oczy; cisza tu większa, powietrze czystsze, zdrowsze, spokojniej jakoś, a lubo ozdobnie, bardziej przecież po wiejsku. Wieczorami, gdy cicha, ciepła noc letnia spada na ziemię, a księżyc, schodząc z jednej alei, wchodzi na drugie, gdy kwiaty i drzewa ronią woń silną, znajdziesz tu wypoczynek i ciszę dla strudzonych turkotem miejskim uszu i odetchnienie dla piersi, i naturę wdzięczną, i trochę poezji, jeżeli jej jeszcze pragniesz, i trochę marzeń, jeżeli marzyć jeszcze chcesz i umiesz. Wówczas to wśród ciszy usłyszysz plusk fali lub szelest fontanny w pobliskich Łazienkach; czasem przed tobą przesunie się jaka spóźniona rozkochana para, wiodąc rozmowę wpół przyciszoną, wpół tajemniczą, a do ogólnego uroczystego nastroju sposobną; a czasem słowik zaświszcze, zakląska, zapłacze, rozsypie niby szklane paciorki po rosie; za nim drugi, trzeci, dziesiąty, i oto śpiewa cały taki chór, o jakim poeta mówi:

Że kiedy w nocy zacznie pieśń skrzydlatą,
Myślisz, że w niebo ulatujesz z chatą [4].

(D XLVIII 129; GP 1875 nr 90)

[1] Ogród Botaniczny założono w 1818 r., dzięki staraniom Michała Szuberta, na terenie Ogrodu Królewskiego obok Belwederu, w górnej części Łazienek jako placówkę naukową i dydaktyczną, we fragmencie dostępną też szerokiej publiczności. W l. 1820–1824 zbudowano tutaj Obserwatorium Astronomiczne. Po powstaniu listopadowym zamknięto Uniwersytet przez co Ogród stracił właściwego opiekuna, dopiero w 1916 r. przeszedł pod zarząd odrodzonego Uniwersytetu Warszawskiego. W 1834 r. zmniejszono jego powierzchnię o niemal dwie trzecie i w takim stanie przetrwał do dzisiaj. Więcej zob. *Przewodnik po Ogrodzie Botanicznym Uniwersytetu Warszawskiego*, pod. red. H. Werblan-Jakubiec, Warszawa 1991.

[2] Zapewne chodzi o „Kurier Warszawski" i „Kurier Codzienny".

[3] Ogony damskie zob. s. 158–159

[4] Niedokładny cytat z *Beniowskiego* (pieśń II, w. 111–112) Słowackiego. Właściwie:

Co kiedy w nocy zacznie pieśń skrzydlatą,
Myślisz... że w niebo ulatujesz z chatą.

Urzędnicy Lombardu wzorem dla innych

— Obiecałem ci pokazać najpiękniejszy widok w Warszawie, oto go masz, a wy na wsi pokażecie mi coś podobnego?

Album Fr. Kostrzewskiego, Warszawa 1898

Bierzmy przykład z urzędników naszego Lombardu [1]. Ci, choć o sobie nie piszą (co zresztą wcale nie pochodzi, jak twierdzą niektórzy, z niepohamowanego wstrętu do ortograficznych nowości), a jednak dają o sobie wiedzieć. Niech tylko przyjdzie jaki biedak w celu zastawienia ostatnich może gratów, a zaraz przyjmą go tak, że nie tylko sam ich popamięta, ale jeszcze dziesięciu innym opowie. W ten sposób instytucja zyskuje rozgłos, każdy o niej wie i każdy, jeżeli zechce, może z jej uprzejmości korzystać, co wychodzi i na korzyść interesantów, bo ci znając rodzaj tej uprzejmości korzystają z niej w ten sposób, że nie nadużywają jej zbytecznie - i na korzyść urzędników, bo ci mają mniej do roboty. Wprawdzie wilk w ten sposób nie zawsze bywa syty, ale za to koza bywa cała. Jedno za drugie. (D XLIX 140; GP 1875 nr 219)

[1] Warszawski Lombard Miejski (nazwa nadana statutem z 1904 r.) otwarto 19 czerwca 1797 r. Zasady jego działalności określał specjalny regulamin, zatwierdzony 26 lipca 1796 r. przez króla pruskiego Fryderyka Wilhelma II. Siedziba lombardu, wówczas pod nazwą Dom Pożyczalni Publicznej, znajdowała się w Pałacu Kazimierzowskim, skąd został w 1806 r. przeniesiony do budynku Ratusza na Starym Mieście, a następnie w 1817 r. do Pałacu Jabłonowskich, nowej siedziby Magistratu m. Warszawy, gdzie pozostał do 1944 r. Zob. *Ustawa Lombardu w Warszawie roku 1796* „Dzieje Dobroczynności Krajowej i Zagranicznej..." 1824, t. 4, nr 4, s. 378-387; t. 5, nr 7, s. 638-644. Więcej zob. J. Berger, *Warszawski lombard* miejski, „Rocznik *Warszawski*", T. 14 (1976), s. 203-222.

W poszukiwaniu Ogrodu Zoologicznego

Lipiec. Przez reformę zakładu Bartelsa, położono nareszcie podstawy Ogrodu Zoologicznego.

Przegląd roku 1875,
„Mucha" 1876 nr 2, s. 4

Dowodem tego, co wskutek opieszałości, niedbalstwa lub lekkomyślności staje się czasem z pięknymi naszymi projektami - jest historia warszawskiego zoologicznego ogrodu. Jak wiadomo istniał już zaczątek takiego ogrodu w zwierzyńcu pana Bartelsa [1]; było już miejsce na ogród wybrane, były już i składki, do kilka tysięcy rubli wynoszące. I cóż się z tym wszystkim stało? Mimo odpowiedzi jakiegoś *quasi* [2] komitetu, nikt nic nie wie. Wiemy tylko, że sformował się jakiś komitet; wiemy, że wedle nader upowszechnionego zwyczaju komitet ten, nie ufając własnym, miejscowym siłom, chciał się oprzeć o jakieś uznane powagi; wiemy, że wskutek tego komitet zaczepił się o Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami [3] - i tu urywa się wątek wieści o istnieniu i działalności komitetu. Odtąd widzimy tylko skutki. Widzimy, że Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami interesowało się tyle ogrodem, co wiatrem w polu. Komitet złożył podobno kilka sesji, na których członkowie wynurzali jeden dla drugiego swe uwielbienie i rozprawiali o pogodzie lub niepogodzie, o drożyźnie mieszkań, o przyjemnościach wiejskiego życia, słowem: o wszystkim, byle nie o ogrodzie. Zadanie komitetu było jasne i proste: rozwinąć zwierzyniec pana Bartelsa i zamienić go na warszawski ogród zoologiczny. Ale tymczasem nikt nie wiedział, co robić; nie wiedziano, kto ma składki zbierać, gdzie pieniądze złożyć, co z nimi robić; aż wreszcie komitet, który, jak to powiedziałem, miał za zadanie: rozwinąć zwierzyniec pana Bartelsa, postanowił po głębokim namyśle - wiecie też co? Oto wydał rozkaz pozabijania zwierząt w zwierzyńcu pana Bartelsa, pod pozorem, że zwierzęta dużo kosztują i że utrzymanie ich pochłonie składki publiczne na ogród.

Zwierzyniec pana Bartelsa zmarniał - oto jedyny skutek dotychczasowej działalności komitetu. Żadne odezwy, choćby nie wiem jak namaszczone, komitetu faktu tego nie zmienią. Komitet wyrzekł w jednym z pism, że zwierzyniec pana Bartelsa był kulą u nogi towarzystwa, która krępowała swobodę jego ruchów. Ja sądzę przeciwnie: że to komitet był kulą u nogi zwierzyńca, a raczej u nogi pana Bartelsa, która nie tylko krępowała, ale zahamowała raz na zawsze jego działalność.

Niech w tym nikt nie dopatruje się gry wyrazów - to tylko fakt rzeczywisty. Bo powiedzcież mi, wielce szanowni członkowie komitetu, cóż dalej będzie? cóż będzie teraz? Zwierzyńca p. Bartelsa już nie ma, cóż więc zamierzacie czynić?

Publiczność, której chodzi o ogród, która czuje potrzebę takiego zakładu, rada by wiedzieć, na co daje pieniądze i czego ma się od was spodziewać. Złożycie jeszcze kilka sesji, porozprawiacie o wietrzykach, o nawałnościach, o złośliwości felietonów, pokłonicie się, komu należy, i cóż dalej? Może być zresztą, że postanowienia wasze będą bardzo mądre, że będą dążyć wprost do uszczęśliwienia Warszawy najpiękniejszym w świecie zoologicznym ogrodem, ale radzi byśmy wiedzieć coś o tym. (D XLVII 186-187; N 1875 t. 8, s. 309-316)

[1] Ferdynand Bartels (ok. 1820-1881), w l. 1848-1861 guwerner w Instytucie Szlacheckim, następnie cenzor. W 1872 r. wraz z emerytowanym magistrem b. Szkoły Głównej Klossem otrzymał zezwolenie na „urządzenie zakładu chowu zwierząt", który miał nosić miano Zwierzyńca Bartelsa, Klossa i Spółki. Zwierzyniec powstał na rogu Hożej i Kruczej 17. Bartels utrzymywał go z własnych funduszy, mając nadzieję, że stanie się zalążkiem przyszłego ogrodu zoologicznego. W 1874 powstał Komitet mający opracować plany i kosztorys ogrodu, a prezydent Warszawy podjął decyzję o wydzieleniu na ten cel części Parku Aleksandryjskiego na Pradze. Mieszkańcy Warszawy musieli jednak długo nań czekać. Miejski Ogród Zoologiczny powołano do życia na tym terenie dopiero uchwałą Zarządu Miasta w 1927 r. Bartels w związku ze swymi staraniami ogłosił drukiem: *Do wszystkich amatorów i przyjaciół zwierząt zaproszenie do współudziału w popieraniu zamiaru założenia zwierzyńca w Warszawie* (Warszawa 1871) oraz *O potrzebie spożytkowania istniejącego już u nas zamiłowania do zwierząt, w celu podniesienia dobrobytu ogółu* (Warszawa 1873). Na podst. m.in.: J. Schiller, *Portret zbiorowy nauczycieli warszawskich publicznych szkół średnich. 1795-1862*, Warszawa 1998, s. 237. Informacje dot. celów zwierzyńca zob. „Przyroda i Przemysł" 1872 nr 16 s. 192.
Zwierzyniec odwiedził w tym czasie Bolesław Prus i opisał swoje wrażenia w *Kronice tygodniowej* („Kurier Warszawski" 1875 nr 153, s. 1): „W owych czasach składał on się z dwu części, a mianowicie z pewnej liczby pokojów i ogrodu. W ogrodzie zauważaliśmy trzech bardzo niespokojnych niedźwiedzi, parę małoletnich lisów, chudego wilka z mocno wystającym językiem, trochę psów, trochę sów i jednego orła. W pokojach stały znowu klatki z wszelkiego rodzaju ptactwem, nie wyłączając papug rozmaitej wielkości, kur i gołębi różnej formy, a nawet jeżeli nas pamięć nie zwodzi, dostrzegliśmy parę ptaków rajskich i kilku naturalnych dutków".

[2] *Quasi* (łac.) – jakoby.

[3] Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami powstało w Warszawie 1 listopada 1864 r.; jego członkami byli m.in. pisarze: Bolesław Prus, Henryk Sienkiewicz, Aleksander Świętochowski, Adolf Dygasiński. Na marginesie swojej właściwej działalności Towarzystwo zajmowało się też organizacją odczytów publicznych.

W poszukiwaniu Ogrodu Zoologicznego

Warszawiacy na wsi

Pod miastem.

— Cóż się tak gapisz? Czyś ludzi nigdy nie widział?
— Ej nie, co ma być; ino kajś mi się tu zapodział rychtyk taki koziołecek.

Pod miastem,
rys. Franciszek Kostrzewski,
„Tygodnik Ilustrowany" 1869 nr 81, s. 32

Prawdę bo też rzec, my, warszawiacy, mnóstwa rzeczy nie rozumiemy na wsi i nieraz mamy takie miny, jak gdybyśmy spadli z księżyca. Stąd dla wieśniaków śmiech, dla nas ambaras i wstyd często.

Wystaw sobie np., czytelniku, że jesteś *par excellence* [1] mieszczuchem, który, oprócz Wilanowa, Marcelina [2] i Mokotowa, prawdziwej wsi nigdy jeszcze nie widział - i że bawisz na prawdziwej, nie podwarszawskiej, ale odległej na jakie kilkanaście mil wsi u twego, dajmy na to, kuzyna - i nie żadnego wielkiego pana, ale tak sobie, zwyczajnego wioseczkowego szlachcica.

Otóż, póki rzecz się dzieje w salonie, na ganku lub pod werendą, dopóty jesteś panem położenia. Dziwi cię wprawdzie, że dziewczyna posługująca chodzi boso, uważasz nawet, że to jest cokolwiek *mauvais genre* [3], ale trudno! Zresztą bawisz panny, o których piszesz potem w liście do przyjaciela, że są „dość pojedyncze" (*simples*) [4], powtarzasz często frazes: „*chez nous à Varsovie*" [5], zakładasz i zdejmujesz binokle intrygujące najmłodszego synka rodziny; słuchają cię wszyscy z otwartymi ustami, ty uśmiechasz się z pobłażliwą wyrozumiałością - słowem, wszystko idzie dobrze.

Z chwilą jednak, w której, towarzysząc damom na przechadzkę, stawiasz nogę poza wrotami, zaczyna cię prześladować nieszczęście. Przyprowadzają ci konia - boisz się go co prawda, ale zamykasz oczy i siadasz. Krzyczą: „Nie z tej strony!" Przysiągłbyś, że to wszystko jedno, ale siadasz z drugiej. Dopiero jedną nogę masz w strzemieniu, a opętana szkapa rusza z kopyta. Krzyczą: „Trzymaj!" Trzymasz - ale gdzie tam! Zlatujesz - podnoszą cię i śmieją się, aż ich oczy bolą. Mówisz tedy, że jesteś przyzwyczajony tylko do koni tresowanych, i idziesz piechotą. Na drodze wybiega ci i pędzi do ciebie jakaś istota zwierzęca, i nie poznajesz, czy to jest *un cochon*, czy *un chien* [6].

Pokazuje się, że to jest *un chien*, który przylatuje, szczeka i wyje, jakby za to brał osobną pensję, i z dziwną pożądliwością spogląda na twoje sztarkmanowskie inekspymable [7]. Nie rozumiesz, czego on od ciebie chce, ale przypominasz sobie w ostatniej toni, że poeta [8] w „Musze" radzi wołać: „A pudziesz!", wołasz więc: „a pudziesz", co istotnie pomaga

Warszawiacy na wsi

daleko więcej - wreszcie dajesz dyskę jakiemuś chłopcu, który porywa bez ceremonii brysia za ogon i wciąga do chałupy.

Co krok, to kłopot. Wyszedłszy już za utrapioną wieś nie umie warszawiak odróżnić owsa od jęczmienia, z czego towarzyszki jego znowu się wyśmiewają, pokazują mu kartofle i mówią, że to groch. Przekonywa się, że zaczynają drwić z niego; odtąd podejrzywa wszystkich i wszystko. Przeląkł się ropuchy, którą wypadkiem spotkał na drodze, i sądzi, że naumyślnie kazano jej tam siedzieć. Właściciel wioski każe chłopcu od bydła zajmować bociany sąsiada za szkody przy czym spogląda złośliwie na gościa - ten istotnie nie jest pewny, czy to żart, czy to na serio. Zapraszają go na polowanie i wsadzają mu w rękę jakąś machinę, której się boi i z której nie wie, jak strzelać. Mówią mu, że będą polować tylko na wilki, bo na nic innego nie wolno; a on jak żyje, nie widział i nie chciałby widzieć żywego wilka. Na koniec wraca, kontent, że znowu zapanuje na ganku i w salonie; tymczasem o dziewiątej, tj. o godzinie, w której w Warszawie bierze się kapelusz i idzie na spacer - wszyscy rozchodzą się spać.

Któż by skończył, gdyby chciał opisywać wszystkie kłopoty, jakie mogą spotkać na wsi niedoświadczonego warszawianina, i wszystkie szyderstwa, jakich mimo woli stać się tam może celem! Za to wróciwszy do Warszawy, ma dopiero o czym opowiadać! Naturalnie, że wypadki rosną w opowiadaniu, skutkiem czego opowiadający podrasta w opinii znajomych do wysokości bohatera.
(D XLVII, 90-91; GP 1873 nr 143)

[1] *Par excellence* (fr.) – w całym tego słowa znaczeniu.

[2] „Jednem z ulubionych miejsc letnich wycieczek dla śmietanki warszawskiego towarzystwa jest willa Marcelin, położona w odległości wiorsty za rogatką Belwederską, na drodze do Willanowa. Założoną została przez p. Marcelego Czuleńskiego w 1867 r. na miejscu pustym i prawie nieuprawnym. Dziś posiada ładny pałacyk otoczony ogrodem owocowym z 2000 drzew i dużym ogrodem warzywnym. Od lat trzech istnieje w Marcelinie przez miesiące letnie restauracja pierwszorzędna, pod kierunkiem samego właściciela zostająca. Szczególnym wzięciem cieszą Marcelińskie szparagi. W roku bieżącym omnibusy kursujące stale ułatwiają kommunikacyę. Marcelin leży w przyjemnej okolicy, naprzeciwko bramy wjazdowej do tej willi, znajduje się obszerny park zacieniony, do którego wstęp dla publiczności jest dozwolonym". F.M. Sobieszczański, *Okolice Warszawy. Willa Marcelin* // w: F. Fryze, I. Chodorowicz, *Przewodnik po Warszawie i jej okolicach na rok 1873/4...* ułożony i wyd. przez..., Warszawa 1873, s. 83.

[3] *Mauvais genre* (fr.) – w złym guście.

[4] *Simple* (ang.) – w tym kontekście powinno być: proste, prostackie; Sienkiewicz przytacza tutaj żartobliwie inne znaczenie słowa.

[5] *Chez nous à Varsovie* (fr.) – u nas w Warszawie.

[6] *Un cochon*, czy *un chien* (fr.) – świnia czy pies.

[7] Sztarkmanowskie inekspymable – spodnie pochodzące z magazynu ubiorów męskich M. Starkmana, mieszczącego się przy Krakowskim Przedmieściu 17.

[8] Chodzi o Bolesława Prusa i jego radę zawartą w końcowym fragmencie czwartej pieśni wiersza *O rozkoszy życia wiejskiego. Sielanka w pięciorgu pieśniach* opublikowanym w piśmie satyrycznym „Mucha" 1873 nr 13, s. 51-52:

Złodziei nie brak tam i zwierza, – tudzież
Psów gniewnych; lecz gdyć który kiedy utnie,
Nie pierzchaj, jedno stojąc rezolutnie
Wołaj: a pódziesz!..

Wenecja północy

ALEJA BELWEDERSKA.

Widoki jesienne. Zdejmowane z natury,
„Mucha" 1877 nr 50, s. 3

Istotnie, iluż to humorystów, rysowników i pisarzy, można powiedzieć, znęca się nad przyjemnościami wiejskich mieszkań, kiedy tymczasem ma i miasto swoje, wcale nie gorsze i wcale nie mniej godne ołówka lub pióra przyjemności. Jak miłym jest na przykład widok po ulewnym deszczu [1], kiedy ulicami huczą i pienią się bujne, pełne mniejszych i większych wodospadów potoki, kiedy bruk pod falami znika sprzed naszych oczu, a przechodzień pogrążając nogę w chłodne wody, nie wie, czy trafi na grunt kamienisty, czy na pokład błota, czy na koniec na jaki ściek otwarty. Wówczas brak tylko gondoli, a Warszawa mogłaby walczyć o lepsze z Wenecją. Nie wszystkim to się wprawdzie podoba; niektórzy krzyczą na gwałt o kanalizację; ale są to zmaterializowani i bezduszni zwolennicy nowości, którzy jakieś zagraniczne wymysły ośmielają się wyżej stawiać nad nasze czysto swojskie widoki natury. (D XLVII 72; GP 1873 nr 131)

[1] Klimat Warszawy charakteryzował się występowaniem gwałtownych ulew, zmieniających ulice prostopadłe do Wisły w rwące potoki. W okresie budowy przez Williama Lindleya nowoczesnej kanalizacji w wyniku obserwacji tych zjawisk znacznie powiększono średnicę projektowanych burzowców. Na podst. J. Gromski, *Kultura sanitarna Warszawy do końca XVIII w.*, Warszawa 1977, s. 103.

Róg Nalewek i Nowolipek.

Widoki Warszawy zdjęte z natury w zeszłym tygodniu [fragment], „Mucha" 1876 nr 8, s. 4

Wianki – zamieranie obyczaju

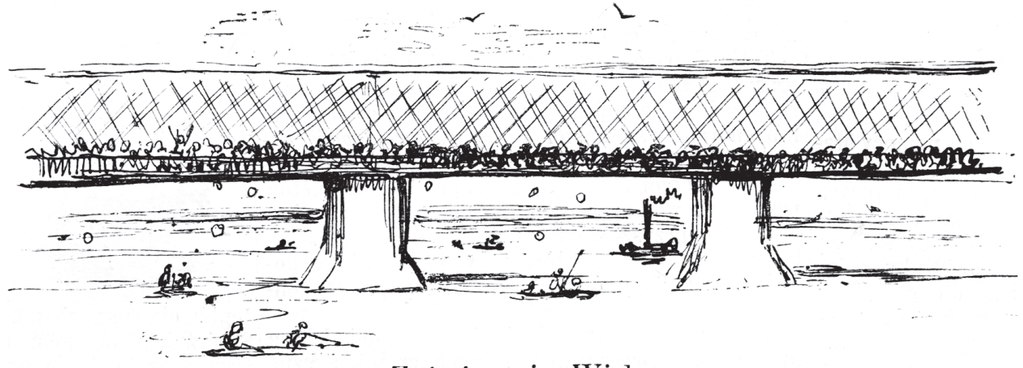

Zaśmiecanie Wisły.

Wianki [fragment], rys. Franciszek Kostrzewski, „Mucha" 1876 nr 25, s. 4

Tak jest, czasy się zmieniły, a z nimi zmieniła się i czarodziejska uroczystość świętego Jana. Nie wiem, czy paproć kwitnie jeszcze, czy nie kwitnie, jak dawniej o północy, ale wiem, że święty Jan to dziś przede wszystkim termin. Tak, mój miły czytelniku! Zamiast iść chwytać wieńce dziewicze, musisz iść płacić ratę w Towarzystwie Kredytowym Wiejskim i Miejskim. Taka to teraz uroczystość. Na święty Jan ekspirują [1] twoje *sola* weksle [2] ; na święty Jan wręczają ci pozwy; na święty Jan różne kasy przemysłowe przysyłają ci swoje awizacje; na święty Jan kłania ci się Bank Handlowy [3]; na święty Jan modlisz się na próżno do Dyskontowego [4]; w ten dzień gospodarz podnosi ci komorne; w ten dzień płacisz sługi; rzemieślnicy nachodzą ci od rana mieszkanie; słowem: wszędy termin i termin, prawdziwa *dies illa, dies irae* [5].

Oto jest różnica dzisiejszego świętego Jana od dawniejszego Kupały. Łatwo zrozumieć, iż wobec tych warunków, wobec tych arcyprozaicznych potrzeb i kłopotów znikł dawny poetyczny charakter tej uroczystości. Najlepszy tego dowód mamy na obchodzie wianków. Kto dziś chodzi je puszczać, kto je chwyta i czego dziś one są symbolem? Mój Boże! Mówią, że: niewinności. *C'est possible!* [6] Ależ skoro rycerska młodzież nie bierze już w tej zabawie udziału, czyż opłaci się puszczać na wodę taki symbol po to, ażeby go złapał przewoźnik? Z drugiej strony, choćby prócz przewoźników brała udział w uroczystości i młodzież rycerska, to niejeden znów rozumuje, że nader małą jest satysfakcją zamiast dziewiczego schwytać np. wieniec warszawskich rzeźników lub piekarzy. Na koniec, jeżeli wieńce mają być symbolem niewinności, dlaczegoż puszczają je na wodę stolarze, rzeźnicy i piekarze? Ci ostatni, nie wiem na pewno, czy puszczają, w każdym razie mogę wam zaręczyć, że jeśli wieniec ten składa się z bułek ich własnego wyrobu i pieczywa, tedy ryby mogą go, co jest nawet najprawdopodobniejsze, nie chcieć skonsumować; na wypadek przecież, gdyby go skonsumowały, nie ma obawy, żeby się która udławiła: wielkość bułek zaspakaja nas zupełnie.

Owóż więc, wracając do wianków, zwyczaj ten traci swoje poprzednie znaczenie i coraz bardziej słabnie. Dawniej brały w nim udział nawet i wyższe klasy; dziś i średnie brać nie chcą. Któż zatem prócz stolarzy etc., puszcza dziś wianki? Dziewice? Zapewne... Sądzę jednak, że jeśli dystyngowani młodzieńcy nie gonią za nimi po wodzie, to dlatego, żeby ich i na lądzie przyjąć nie chcieli. Zwyczaj był kiedyś piękny i poetyczny, dziś jest to blade odbicie. Na moście zbiera się gromadka ludzi, kręci się, poziewa. Zachodzące słońce pozłaca całą tę suchą ceremonię ostatnimi promieniami i znika za dalekimi drzewami. Ludzie ciskają kilka niby wieńców na wodę, rozchodzą się nierozumiejąc, co robili, dlaczego i na jaką pamiątkę to robili - i na koniec idą pokrzepić się w pobliskich restauracjach, co jak się zdaje, dziś stanowi właściwy cel zabawy.

(D XLIX 11-13; GP 1875 nr 140)

[1] Ekspirować – przestarzałe: upływać, mijać.

[2] Weksel własny – wystawiany w jednym egzemplarzu, stąd nazwa sola weksel; wystawca weksla zobowiązuje się w nim do zapłaty określonej kwoty.

[3] Bank Handlowy w Warszawie S.A. – pierwszy bank akcyjny w Królestwie Polskim, założony w 1870 r. z inicjatywy Leopolda Kronenberga i grupy związanych z nim przemysłowców.

[4] Bank Dyskontowy Warszawski SA – bank założony w 1871 r. przez rodzinę Epsteinów jako konkurencja dla Banku Handlowego.

[5] *Dies illa, dies irae* (łac.) – dzień ów, dzień gniewu; incipit (w porządku przestawionym) łacińskiego hymnu kościelnego o Sądzie Ostatecznym; w liturgii katolickiej hymn pogrzebowy.

[6] *C'est possible!* (fr.) – czy to możliwe.

Wianki - zamieranie obyczaju

Wielkanoc na Placu Ujazdowskim

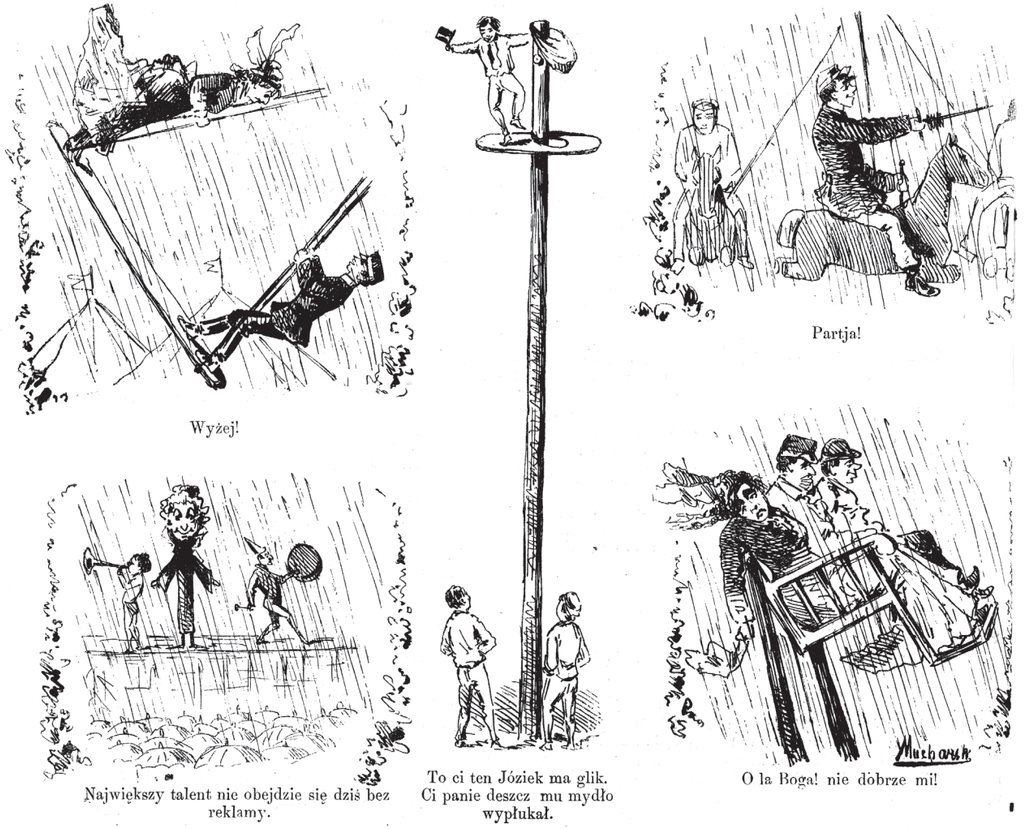

Szkice z Ujazdowa [fragment], rys. Arkadiusz Mucharski, „Mucha 1877 nr 14, s. 4

W Warszawie [święta] bywają (...) zarazem i uroczystością ludową. W poniedziałek zwłaszcza, po mszy i po święconym, tłumy mężczyzn, kobiet i dzieci śpieszą na plac Ujazdowski [1], gdzie corocznie czekają na nie budy teatralne, huśtawki, karuzele, młyny diabelskie oraz ów historyczny wygładzony i wymydlony słup, na którym najszczęśliwszy czy najzręczniejszy zwycięzca znajduje ubranie, zegarek, kilka rubli, a na koniec butelkę wina dla pokrzepienia sił zwątlałych.

W budach teatralnych (czy tam tylko?) najgłówniejszą rolę grają błazny, jak dawniej mówiono: trefnisie, których zadaniem pobudzać tłum do śmiechu. Jakoż przy niezmiernie małych wymaganiach publiki zadanie to nie jest zbyt trudnym. Nieraz cała mimika polega na władaniu i zdejmowaniu gutaperczanego [2] kapelusza, czasem na gestach żywo przypominających darwinowskie pochodzenie człowieka. Ale wesoły tłum niewiele do śmiechu potrzebuje! Publika bije szalone brawo, śmieje się, skacze; starsi i młodsi porywają się za głowy na znak, że temu, co widzą, nie podobna uwierzyć; ze zbytku uwielbienia wzywają „najjaśniejszych pieronów" na głowę artysty; życzą mu, aby porwało go tylu a tylu; klną, płaczą ze śmiechu ściskając się wzajemnie!...

Obok tego wszystkiego skrzypią huśtawki, huczą karuzele; ruch, gwar, wykrzyki przekupniów, wrzawa i śmiechy dziatwy nadają zebraniom tym nader wesoły i ruchliwy pozór.

Kto by jednak szukał w tym wszystkim czegoś charakterystycznego, a nam tylko właściwego, ten by się zawiódł; charakter tych zabaw czysto kosmopolityczny, więcej hulaszczy niż typowy, więcej wesoły niż moralny. Nad moralnością czuwa wprawdzie policja; ale w zebraniach tych tłumnych najniższych warstw rzemieślniczych, służebnych, handlujących, wyrobniczych trudno wymagać wzajemnej na siebie i na smak dobry oględności. Toteż na przykład zachowanie się kawalerów, emablujących damy, nie tylko rycerskie, ale i poprawnie konwencjonalne nie bywa. Stąd też słyszane rozmowy i najrozmaitsze *bons mots* [3] mniej bywają wykwintne niż dosadne. Na to policja nic już

Wielkanoc na Placu Ujazdowskim

nie pomoże; słów, spojrzeń, gestów, a nawet zbyt energicznych rzutów albo i zamachów nawet, nie powściągnie, chyba wyjątkowo. Czyż podobna wreszcie każdemu z gości na placu Ujazdowskim dodać stróżującego nad nim? A jednak potrzeba by prawie dodać każdemu przychodzącemu tam Żydkowi takiego opiekuna, dopóki go nie zastąpi światło w mózgownicach...

O zmroku zabawy kończą się; środkiem alei ciągnie się szereg arystokratycznych powozów, a bokami, wśród kurzu, tłoku i wesołych śpiewek, zdążają do domów piesi, dzieląc się po drodze wrażeniami chwil dopiero co ubiegłych. Coraz ciemniej, zorza wieczorna gaśnie: na niebie pokazuje się gwiazda jedna i druga - noc. Więc wszystko śpieszy na spoczynek, bo nazajutrz już tylko półświątek - nazajutrz to już, kto żyw, do młota, do piły, do hebla, do twardej pracy i twardej doli codziennej.

I oto święta przeszły, jak przebrzmiały rezurekcyjne dzwony. (D XLVII 30-32; GP 1873 nr 89)

[1] Plac Ujazdowski – taką nazwę otrzymała w czasach Królestwa Polskiego poszerzona wschodnia strona Alei Ujazdowskich, pomiędzy ul. Piękną i placem Na Rozdrożu. Było to w XIX w. miejsce rewii wojskowych, zabaw publicznych i wystaw rolniczo-przemysłowych, a od 1896 – park Ujazdowski.

[2] Gutaperka (z jęz. malajskiego) – tworzywo termoplastyczne podobne do kauczuku.

[3] *Bons mots* zob. s. 222

Wiślane marzenia

Wisła nie mogąc się doczekać ażeby ją uregulowali sama się nareszcie uregulowała,
„Kurier Świąteczny" 1878 nr 47, dod., s. 1

Tak rozmyślałem, wracając o zmroku już z Pragi do domu, a rozmyślań tych nie zdołał przerwać nawet widok statku parowego, który osiadł sobie w najlepsze na piasku, i ani na prawo, ani na lewo ruszyć się nie mógł. Kobiety i mężczyźni stojący na pokładzie spoglądali z utęsknieniem na brzeg warszawski, narzekali, skarżyli się, niektórzy klęli, komin spał i oddychał kłębami dymu jakby ze wściekłością, para gwizdała przeraźliwie, a koła poruszały się, tłukąc o piasek. Stanąłem i patrzyłem. Upłynęła godzina, ściemniło się. Saska Kępa osnuła się mgłą; na niebie błysła gwiazda jedna, druga; światła po brzegach, odbijając się w wodzie, zaczęły błyszczeć długimi kolumnami; na bulwarku od strony Pragi jakiś rybak czy przewoźnik zanucił wcale pięknym głosem:

Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą,
A ja doliną! [1]

Statek ciągle sapał i zgrzytał, z komina poczęły się sypać snopy złotych iskier. Ale z miejsca ani rusz! Mała woda! Mała woda! Wszędzie zaspy piaszczyste, płytko, nieledwie można by przejść w bród całą Wisłę. tam coś czerni się z daleka: to tama Daniszewskiego [2]. Nie rozpłynęła się, stoi sobie tak jak ją postawiono, wbrew mądrości niektórych naszych inżynierów, ale jedna taka tama - to nie dosyć. Zapomniałem o ogrodzie zoologicznym [3], a zacząłem marzyć o uregulowaniu brzegów Wisły. Tak: marzyć - podobne życzenia bowiem są dotąd, a może i długo będą marzeniami tylko, i to zuchwałymi marzeniami. Myślą przeniosłem się w daleką przyszłość. Widziałem potężną rzekę toczącą głębokie, żółtawe fale zwarte w kamiennych wysokich brzegach, na niej ogromne parowce, przybyłe aż het od Gdańska, galary [4] ze zbożem i owocem, komiegi [5], berlinki [6], krypy [7], wielkie łodzie żaglowe: jedne przywoziły produkt zagraniczny, inne za granicę wiozły krajowy; wszędy ruch był ogromny, mnóstwo ludzi, statków; znać, że to potężna arteria bogactw i handlu, ta rzeka... alboż i ten gród na lewym brzegu; co to za wielkość, co za potęga!...

Nagle ocknąłem się. Statek parowy cudem jakimś właśnie wydostał się z piaszczystego podścieliska. Przede mną była rzeka nie zwarta w kamienne brzegi, ale rozlana na wszystkie strony, na wpół wyschnięta: nie było na niej ani parowców, ani galarów, ani łodzi, ani handlu; na lewym brzegu był wprawdzie gród, ale ciemny, źle wybrukowany, źle zabudowany - na dobitkę wiatr powiał od miasta i uderzył o mój nos zapachem, który wszelkie marzenie na temat potężnego i pachnącego grodu uczynił niemożliwym.
(D XLIX 41-42; GP 1875 nr 151)

Wisła jest kapryśną, to rzecz wiadoma. Cóż dopiéro dziać się musi, gdy się zejdą naraz aż dwie Wisły i to jedna na drugiéj! Dopiéroż tam kaprysów być musi!

A właśnie wypadek taki stał się zeszłéj niedzieli.

Statek „Wisła" płynął po „Wiśle" wracając z mnóstwem ludu z Saskiéj kępy.

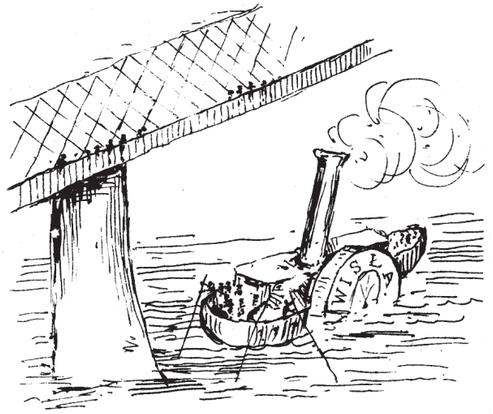

Nagle koła przestały się ruszać a parochód stanął na piasku.

Nie wiadomo dotychczas któréj to „Wisły" był kaprys. Czy rzeka winna że pomieszczała na swoim grzbiecie piaski, czy téż statek że wlazł na ziemię, kiedy nie potrafi po niéj jeździć.

Wiadomości bieżące,
„Mucha" 1875 nr 29, dod., s. 2

[1] *Ty pójdziesz górą...* – cytat z dawnej, bardzo popularnej ludowej pieśni miłosnej, mającej swe korzenie w kulturze szlacheckiej. Utwór znany jest w różnych wariantach.

[2] Tama Daniszewskiego zob. 218

[3] Ogród zoologiczny zob. 235

[4] Galar – płaskodenny prostokątny statek do spławiania rzeką ładunków.

[5] Komięga (komiega) – flisacki statek rzeczny, bezmasztowy, kierowany wiosłami, używany od XVI do XIX w. głównie do spławiania zboża.

[6] Berlinka – rzeczna kryta barka towarowa, głównie zbożowa.

[7] Krypa – duża przewozowa łódź rzeczna płaskodenna.

Wiślane marzenia

Wojna roznosicieli kurierów

Nareszcie! Współpracownicy pism wojujących pogodzili się z sobą!,
„Kurier Świąteczny" 1875 nr 23, s. 1
ebuw.uw.edu.pl

Wypowiedzieli sobie wojnę roznosiciele kurierów „Codziennego" [1] i „Warszawskiego" [2]. Homerami i Tucydydesami [3] jej będą roznosiciele „Świątecznego" [4]. Walczącym poszło o to, kogo częściej za drzwi wyrzucają za nieregularność w odnoszeniu numerów. Pierwsi, to jest „Codzienni", utrzymują, że wyrzucają ich wprawdzie często, ale biorąc ich przez omyłkę za drugich, to jest „Warszawskich"; drudzy zaś, że wylatują równie często, ale poczytywani za pierwszych. Walka ta rozpoczęłam się w szpaltach kurierów, z dalszym zaś interesującym jej przebiegiem poznajamiać mają publikę wyżej wspomnieni przez nas Homerowie, to jest roznosiciele „Świątecznego".

Kto dziś nie polemizuje i czy są rzeczy, o które nie spierano się już po dziennikach? Czasem też chodzi o co innego, niż walka głosi. Porównanie amerykańskiego kaznodziei, małych sprawek do szpilek, tym słuszniejszym nam się wydaje, że częstokroć sprawki owe umyślnie dlatego bywają poruszane, by się wzajemnie, jeżeli już nie zabić, to chociaż ukłuć.

Mógłby i tym razem kto złośliwy pomyśleć, że w owej wojnie roznosicieli nie chodzi o nich samych, ale pierwszy z kurierów („Codzienny"), który rozpoczął polemikę, rozpoczął ją dlatego, by oskarżywszy przeciwnika o nieregularność w odsyłaniu numerów, psuć mu sprawę między prenumeratorami. W ten sposób szpileczka miałaby koniec zatruty, a wojna nie przestawałaby być śmieszną, ale byłaby niezbyt rycerską. Czy tak nie jest, kto może ręczyć? Wiadomo, że kuriery nie żywią wzajem do siebie uczuć sympatii, chociaż „Warszawski" jako wychodzący co dzień, jest przecie codziennym, a „Codzienny", jako wychodzący w Warszawie - warszawskim.

Utrzymują jednak, że im chodzi o zasady... pryncypia... „O, pryncypia - woła Słowacki - jakżebym chętnie powiedział, co o was myślę!" [5]. Co do nas, powiemy otwarcie, że w tych wszystkich walkach, które o pryncypia toczą się w szpaltach naszych dzienników, w gruncie rzeczy połowie przynajmniej walczących chodzi o to pryncypium, które w języku wydawniczym zwie się: prenumerator.
(D XLVII 107-108; GP 1873 nr 246)

Wojna roznosicieli kurierów

Najgorliwsi nasi współpracownicy,
„Kurier Świąteczny" 1878 nr 32, s. 4

[1] „Kurier Codzienny" zob. s. 185

[2] „Kurier Warszawski" – najpopularniejszy dziennik warszawski wydawany w l. 1821-1939. Za redakcji Wacława Szymanowskiego zyskał charakter nowoczesnego informatora miejskiego, wpływającego na kształtowanie opinii publicznej. Na początku lat siedemdziesiątych XIX w. był najważniejszym ogniwem „starej" prasy i obiektem ataków ze strony pozytywistów skupionych zwłaszcza w „Przeglądzie Tygodniowym".

[3] Tucydydes, Tukidydes (ok. 460 - po 400 p.n.e.), największy historyk starożytności, autor *Wojny peloponeskiej.*

[4] „Kurier Świąteczny" – popularny warszawski tygodnik humorystyczno-satyryczny wydawany w l. 1864-1919.

[5] Niedokładny cytat z Beniowskiego (pieśń III, w. 521-522). Właściwie:

Pryncypia! o pryncypia! jak bym chętnie
Powiedział prosto dziś, co o was myślę!

Wpływ tramwajów na rozbudowę miasta

— No, chwała Bogu, teraz się już na pewne możemy spodziewać Tramwey'ów, bądź co bądź wielki to zaszczyt przynosi naszym przedsiębiorcom i finansistom.
— A zwłaszcza, że Tramweyami będą jeździły nasze wnuki, a urządzeniem takowych ma się zająć frankfurtskie Towarzystwo.

W kwestii tramwajów,
„Kolce" 1876 nr 52, s. 414
ebuw.uw.edu.pl

Oto chodzą wyraźne wieści, że Warszawa ma otrzymać „tramwaje” [1]. Co to za dowcipni ludzie, ci ludzie! Tramwaje te bowiem mają nie tylko cel czysto lokomocyjny, ale zarazem tendencję ekonomiczno-społeczną. Bo to, proszę was, rzecz jest tego rodzaju. W ludzkiej naturze leży właściwość skupiania się, na przekór wszystkim mizantropom. Tęż samą właściwość spotykamy w Warszawie. Wszyscy warszawianie radzi by mieszkać w samym środku miasta, aby się mieścić blisko poczty, Saskiego Ogrodu [2], teatru i redakcji obu kurierów [23]. Taki ruch dośrodkowy, jakkolwiek nie posiada w sobie żadnej niemoralnej dążności, wpływa szkodliwie na ogólny organizm Warszawy. Wskutek tego bowiem w środkowych częściach miasta zbyt znaczna nagromadza się ludność kosztem dalszych dzielnic naszego grodu. Za tym idzie znaczna nieproporcjonalność komornego i w ogólności zaniedbywanie ulic oddalonych. Aby temu wszystkiemu zapobiec, Warszawa idąc śladem miast zagranicznych, umyśliła zaprowadzić u siebie wygodne tramwaje, czyli kolej żelazną konną, aby połączyć ze sobą końce miasta i tym samym umożliwić łatwe i szybkie przenoszenie się z ulicy Brackiej na Muranów, z Powązek na ulicę Czystą itd. Mieszkaniec tedy, mający w ten sposób znaczną łatwość dostania się tanio i szybko z Alei Ujazdowskich na Wierzbową ulicę, nie będzie się cisnął koniecznie do tak zwanego środka miasta, mogąc mieszkać w okolicach dalszych, gdzie mieszkania nawet przy czynności tramwajów muszą być tańsze od mieszkań na ulicach pryncypalnych i gdzie powietrze bywa czystsze nierównie. Dalej znów ulice owe obficiej się i ozdobniej zabudują. Co także korzyść niemała dla estetycznego smaku stołecznego. Wreszcie nowe i przyzwoite domy rugować będą nędzne chałupy i przywiązane do chałup tych błoto i nieczystość wszelaką.

Jak na pierwszy raz (albo raczej na drugi, ponieważ istnieje już linia między Dworcem Warszawsko-Wiedeńskim a Petersburskim i Terespolskim) projektują dwie następujące linie: od okolic rogatki mokotowskiej, Alejami, Nowym Światem, Krakowskim Przedmieściem, do ulicy Czystej. Tu nastąpi mała przerwa między ulicą Czystą a Teatralnym Placem, skąd znów pójdzie linia ku rogatce powązkowskiej.

Nie ma wątpliwości, że silniejsze rozgałęzienie sieci kolejowych napotka na trudności znaczne z przyczyny krótkich i wąskich rozmiarów ulic naszych. Trudnością ową już powyższy projekt osłabiony został. Między Niecałą bowiem a Placem Teatralnym nastąpić musi przerwa. Linia to zbyt ciasna, aby mogła obok furgonów, dorożek, powozów przepuścić tramwaj wymagający większych etnograficznych dogodności. Wiadomo zaś, że rozszerzenie ulicy Wierzbowej będzie połowiczne tylko, to jest od ulicy Trębackiej do Niecałej. (D XLVII 234-236; N 1875 t. 8, s. 630-636).

[1] Historia tramwajów w Warszawie datuje się od 11 grudnia 1866, kiedy to Główne Towarzystwo Dróg Żelaznych Rosyjskich uruchomiło linię kolei konnej łączącą dworce Petersburski i Terespolski na Pradze przez Most Kierbedzia z Dworcem Wiedeńskim w Śródmieściu. Jednotorowa linia biegła od dworca Wiedeńskiego ulicami Marszałkowską, Królewską, Krakowskim Przedmieściem przez plac Zamkowy, wiaduktem Pancera, czyli Nowym Zjazdem, przez Most Kierbedzia do dworca Petersburskiego, a następnie Targową, Wołową (tak nazywał się do 1916 r. odcinek obecnej Targowej od skrzyżowania z Ząbkowską) i Kijowską do dworca Terespolskiego.
W 1880 r. zawarto umowę z Société Générale de Tramways z Brukseli na budowę sieci tramwajów konnych. Pierwsza linia oddana do użytku 18 października 1881 biegła od placu Muranowskiego, przez Nalewki, Świętojerską, plac Krasińskich, Długą, Wąską, Podwale, Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, Aleje Ujazdowskie, Bagatelę, kończąc się na rogatkach Mokotowskich. Zob. P. Tomczyk, *Stołeczne tramwaje mają półtora wieku* // w: http://dzieje.pl/rozmaitosci/stoleczne-tramwaje-maja-poltora-wieku [dostęp: 12.12.2016].

[2] Ogród Saski zob. s. 125

[3] Redakcja „Kuriera Warszawskiego” mieściła się na pl. Teatralnym 5 (dom W.I. Zabłockiej) a „Kuriera Codziennego” na ulicy Czystej nr 6 (obecnie Ossolińskich).

Wpływ tramwajów na rozbudowę miasta

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu – z wyjątkiem warszawskich

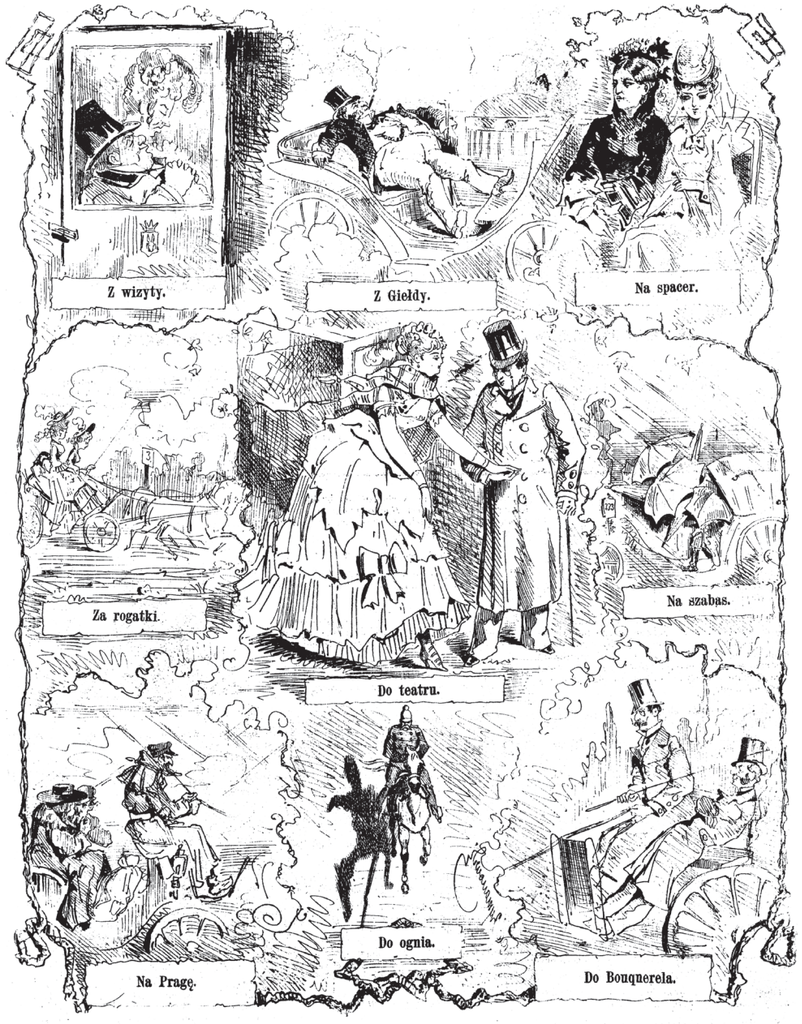

Warszawa jeżdżąca,
rys. Władysław Szymanowski,
„Mucha 1875 nr 43, s. 4
ebuw.uw.edu.pl

Wszak przysłowie mówi, że wszystkie drogi wiodą do Rzymu. Czy tak jest w istocie, nie wiem; ale co pewna, że jeżeli drogi te podobne są do linii komunikacyjnych warszawskich, to z pewnością życie ludzkie na dojście do Rzymu nie wystarczy. Jest to jedna z oryginalności warszawskich, że ulice, którymi największy ruch się odbywa, należą do najciaśniejszych. Senatorska od Placu Teatralnego do Zygmunta [1], Wierzbowa, Żabia i Graniczna są głównymi arteriami ruchu miejskiego, tamtędy wloką się wszystkie wozy, powózki, furmanki, fury z drzewem, z ciągłymi przystankami. Dla mieszkańców zaś Warszawy, którzy koniecznie tamtymi ulicami za interesami swymi zdążać muszą, przebycie wymienionych ulic jest rzeczą prawie niemożliwą. Nie mówię o wyjątkowym czasie, gdy lody rozrębują po odwilży, bo wtedy wszelkie usiłowanie przejazdu przez jedną z rzeczonych ulic jest połączone z niebezpieczeństwem życia; ale i w zwykłej, normalnej epoce każdy warszawiak dbały o drogi czas poświęconym jest dla pierwszego lepszego „chama", któremu to dogadza wlec swoją furę najkrótszą drogą. Inne ulice, szerokie, wygodne, przez cały dzień nie usłyszą skrzypnięcia koła; wszystko sznurem idzie tamtędy, gdzie najciaśniej. Na to jeden tylko sposób: dla wszelkich transportów tranzytowo na kołach przez Warszawę idących powinny być wskazane ulice, którymi im iść nie wolno; co zaś do furmanek i wozów, które szeregiem idąc, ładunek swój odbierają lub składają w mieście, tym winno być nakazane zachowanie odstępów dostatecznych dla przejścia lub przejechania pomiędzy nimi. Zdarza się bowiem często, że na skręcie ulicy do czterdziestu furmanek nieprzerwanym szeregiem się wloką, a biednemu mieszczuchowi nic innego nie pozostaje, jak upatrywać chwilę, w której bez narażenia się na szwank na drugą stronę przedrzeć się zdoła.

Najgorszym punktem jest bez wątpienia Senatorska ulica od Miodowej do Zygmunta. Tam zawsze pełno fur, wozów, omnibusów,

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu – z wyjątkiem warszawskich

Warszawa w dzień,
„Kurier Świąteczny" 1876 nr 58, s. 4

karet; czasem przyjdzie czekać i kwadrans, a może i pół godziny, zanim się przedostać można. Przy projektowaniu nowych komunikacji miejskich czyżby nie racjonalniej było ulicę Miodową [2] przedłużyć do Krakowskiego Przedmieścia, aniżeli stworzyć ulicę Włodzimierską [3], którędy raz na miesiąc zaledwie ktoś przejeżdża? A jakież by stąd nadzwyczajne wynikło udogodnienie dla ruchu miejskiego koncentrującego się w tych okolicach! (D XLVIII 25-26; GP 1875 nr 18)

[1] Ulica Senatorska od pl. Teatralnego do Zygmunta – do kolumny Zygmunta na pl. Zamkowym.

[2] Miodową przedłużono do Krakowskiego Przedmieścia w 1887 r.; ówcześnie kończyła się, dochodząc do Senatorskiej.

[3] Ulica Włodzimierska (obecnie Czackiego) łączyła ulicę Świętokrzyską i Berga (obecnie Traugutta).

Wycieczki na Saską Kępę

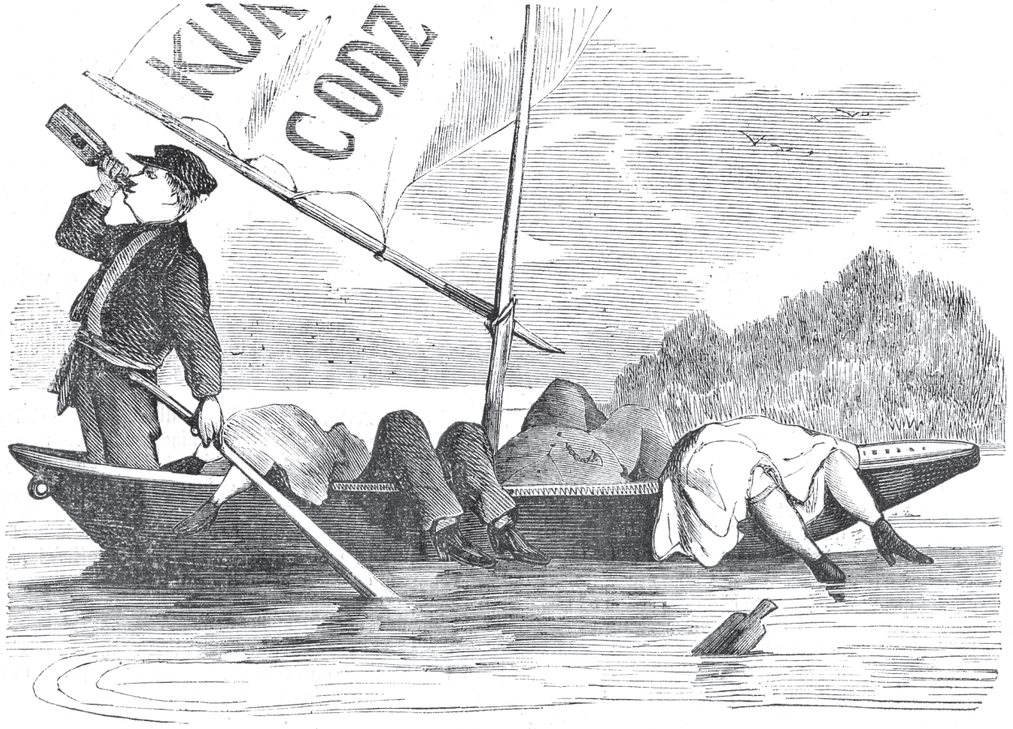

Sielankowy powrót z z Saskiej Kępy,
„Kurier Świąteczny" 1873 nr 37, s. 1

Lato bywa żniwem dla przewoźników; wtedy bowiem nastaje dla różnorodnej, ale głównie rzemieślniczej ludności pora przejażdżek na Saską Kępę [1]. Różnobarwne tłumy powiewają sobie chustami z łodzi do łodzi lub śpiewają pieśni, których echo daleko niosą fale. Płeć piękna wydaje okrzyki przestrachu spowodowane kołysaniem łodzi; mężczyźni wtórują im śmiechem, który, jako dowód odwagi, jest zarazem sposobem zdobywania serc. Słowem, weseli się wszystko i raduje, a oczom przedstawia się bardzo piękny, romantyczny prawie widok. Kto wie jednak, czy nie piękniejszy jeszcze, a pewnie prawdziwiej romantyczny widok jest nocą, gdy mgła w fantastycznych kłębach pokryje brzegi, na galarach błyszczą dalekie światełka, czasem uszu doleci piosnka flisaka; czasem na mrocznym tle zarysuje się parowiec i odetchnąwszy dymem, jakby z czeluści piekielnej rozsypie złote snopy iskier, po których głębsza jeszcze ciemność na falach.

(D XLVII 50-51; GP 1873, nr 98 [właśc. 99])

[1] Saska Kępa – w l. 1864-1916 wieś należąca do gminy Wawer, popularne miejsce masowych wycieczek mieszkańców Warszawy. Znajdowały się tutaj liczne ogródki, w tym słynne: Pod Kotwicą, Prado, Pod Orzechem, Pod Dębem, oraz wiele zakładów gastronomicznych, sale tańca, karuzele.

Wydatki karnawałowe

Nr. 5.

Filantropi.

Pan Makary. Oj, biéda! biéda! panie Jacenty.
Pan Jacenty. Oj, ciężkie czasy! panie Makary. Chléb drogi, a mięsa trudno się dokupić.
Pan Pafnucy. A jeszcze każą składać jakieś tam opłaty na Dobroczynność. Zkąd tu brać na to wszystko?

Filantropi. (*Szkice z życia warszawskiego*),
rys. Franciszek Kostrzewski, ryt. Feliks Zabłocki,
„Tygodnik Ilustrowany" 1864, nr 270, s. 437

Że wreszcie w naszej poczciwej Warszawie co krok trzeba się chwytać za kieszeń, o to nie myślimy się spierać; przyznajemy również chętnie, że karnawałowe mrozy, mgły i odwilże najsilniej na epidemiczne szerzenie się kieszeniowych suchot wpływają. Istotnie, czas karnawałowy jest dla kieszeni fatalny: klęska jednak uderza w nas na dobre dopiero wtedy, kiedy zaczyna się bawić miłosierdzie. Nie masz wyrazów przejmujących większą trwogą ojców i mężów niż dwa maleńkie wyrazy: bawiące się miłosierdzie. Bal na Dobroczynność! – jakże tu żonom odmówić; bal Matek Chrześcijańskich – jakże tu wymagać, aby córki chrześcijańskie nie wyhasały się na takim zebraniu; bal na Szpital Dziecinny [1] – czy to bilety takie drogie? Ee! Ee! dzieciństwo: wcale nie drogie! Żywe obrazy: oj! oj! już były tyle razy. Hola! hola! Wreszcie i nie żal wydać pieniędzy, gdy cel piękny i ludzki, a choćby i było żal, nie podobna odmówić. Żeby to bilety sprzedawały się w kasach, no, to można nie pójść; ale rozprzedają się zupełnie inaczej. Przychodzi kuzynek domu albo jaki ktoś znajomy, z takich poważniejszych znajomych: człowiek miły, poważany, i tak sobie ot, zwyczajnie zaczyna rozmowę o przyszłym najbliższym balu, a potem mimochodem dodaje: – Ach! wklepali we mnie aż dziesięć biletów do rozprzedaży. (Tu ojciec familii chrząka niespokojnie). Opierałem się... wiecie państwo, to taka przykra rzecz zmuszać kogoś, a z drugiej strony... Tak... rzeczywiście bal będzie świetny, młodzieży mnóstwo (tu dwie córki domu zaczynają słuchać uważniej, mówiący zaś wydobywa z kieszeni bilety i zaczyna się nimi bawić), całe dystyngowane towarzystwo się wybiera (tu matka domu rzuca na ojca domu znaczące spojrzenie), tak jest! ale państwo... – dodaje gość podniesionym głosem – ale państwo pewno nie znajdziecie czasu?

– Hm, hm! – mówi na to ojciec domu.

– Tak, to jest, hm, hm! – dodaje matka.

Rzecz na pozór się kończy. Gość chowa i mówi o czym innym.

Po chwili jednak młodsza z panienek podchodzi do papy i całuje go w rękę.

— Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności urządza corocznie bal na dochód swych starców i sierot.

Tegoroczny bal, właściwie mówiąc, niezupełnie się powiódł, mimo to pozwala on każdemu najniewierniejszemu przekonać się o dziwnie dobroczynnem usposobieniu Warszawy.

Towarzystwo Dobroczynności daje przytułek 261 starcom i 254 sierotom, na ubranie zatem tych biedaków trzebaby ze 2,500 łokci płótna i ze 300 sukna.

– Czy chcesz czego, moje dziecko?

Nie, ona nie chce niczego, ona tak sobie!... Przyszła się popieścić... koteczka! Ona zupełnie niczego nie chce... ale sama nie wie, skąd jej przyszła myśl... że ten bal, o którym właśnie pan wspomniał... to pewno będzie bardzo ładny. Nieprawda, papo?

Tymczasem nasze panie dobroczynne zamiast dla ubogich: sukna i płótna, zakupiły dla siebie jedwabiów, tarlatanów, koronek i t. p. wydawszy na to co najmniej 3000 rubli.

Tak więc, żeby na rzecz ubogiego dostał się rubel, trzeba pierwej wydać dziesięć na rzecz kupców.

Czy to konieczne?

Wiadomości bieżące,
„Mucha" 1878 nr 5, s. 2
ebuw.uw.edu.pl

Tu gość uśmiecha się tryumfalnie, ojciec wzdycha, starsza córka podbiega z drugiej strony i całuje drugą rękę papy.

Zapewniam was, czytelnicy, że rzecz jest skończona!

Z kawalerami robi się, oczywiście, dziesięć razy mniej zachodu. Po prostu pani

domu, której powierzono bilety, wydobywa je i mówi:

- Pan zapewne będzie?

- O tak, pani. Z największą radością. E! he! he! he! z największą przyjemnością. (Tu zaczyna się gorączkowe dotykanie dłoniami wszystkich kieszeni). Z największą przyjemnością... ale to jest... zdaje mi się... bo to właśnie...

- O, już to drobnych pan u mnie nie znajdzie. Z góry zapowiadam, że reszty nie zdam.

- A to ja jutro chyba odeszlę.

- Naturalnie, wszystko jedno.

Zapewniam was, czytelnicy, że rzecz jest skończona. (D XLVIII 15-17; GP 1875 nr 12)

[1] Zakład Leczniczy Prywatny dra Sikorskiego dla dzieci – pierwszy szpital dziecięcy w Królestwie Polskim. Powstał staraniem dr. Antoniego Sikorskiego oraz grona filantropów. Otwarty w 1869 r. przy ul. Solnej 4, od 1873 r. jako Warszawski Szpital dla Dzieci, w 1875 r. przeniesiony do własnego gmachu przy ul. Aleksandrii (obecnie Kopernika). W 1945 r. przemianowany na Miejski Szpital Dziecięcy nr 1, obecnie rozbudowany i zmodernizowany prowadzi działalność pod przedwojenną nazwą.

Wyzwania letnich mieszkań

Pierwsze wrażenia przeciętnego warszawiaka i przeciętnej jego małżonki przy rogatkach dobrego miasta Warszawy.

Powrót z letnich mieszkań,
rys. Władysław Szymanowski,
„Mucha" 1878 nr 39, s. 1

Ach, te letnie mieszkania! Zbliża się już ich pora, a zarazem pora udręczeń i kłopotów dla ojców familij. Któż by się jednak oparł prośbom i naleganiom żon i córek, które jednocześnie z pierwszym wiosennym uśmiechem słońca rozpoczynają formalną blokadę serc i kieszeni mężów i ojców. Mężowie ustępują na koniec, co zresztą starą jest historią, i oto z początkiem maja ciągną z taborami całe familie do Sielc, Mokotowa, Wilanowa [1], Grodziska, Jeziorny etc. etc., całe familie, powtarzam, z kuframi, kuferkami, pudełkami i wszystkim, co tylko ich jest, do czego w mieście przywykły, a czego na wsi dostać nie można.

I wilegiatura [2] się rozpoczyna. Mój Boże! Co rok też same gremialne złudzenia i co rok też same rozczarowania, też same kłopoty, też same nieprzewidziane potrzeby, też same utrapienia i też same niewygody (...)

Ileż to ja razy widziałem całe familie, począwszy od ojca i matki, a skończywszy na najmłodszym synku, dmuchające w jeden samowar, który łatwy zwykle do nastawienia w Warszawie, wpadł na letnim mieszkaniu w niewytłumaczony zły humor; chuchano weń, dmuchano, uderzano o się wzajemnie głowami przy pochylaniu się nad kominkiem, zrywano płuca: nie pomagało nic i nic, nie pomagała nawet cholewa od buta ojca familii, której to cholewy sam zniecierpliwiony ojciec familii zamiast mieszka był użył. I zresztą ona hardość a dziwny upór samowara - niejedyny to kłopot warszawiaków, o których podania miejscowe w humorystyczny sposób wspominają. Podania te wspominają np. o pewnym naczelniku wydziału pewnego biura, człeku otyłym, a przy tym wielce statecznym, który napadnięty został przez dziwnie złego wielkiego psa w warunkach bardzo mało do obrony przydatnych. Na próżno nieszczęśliwy radca, skulony i uplątany przez własne szaty, cofając się na los szczęścia - na próżno, mówię, używał najpieszczotliwszych dla przejednania napastnika wyrazów. Próżno wyciągał ku niemu rękę, cmokał i w palce klaskał powtarzając: „Pieseczek! pieseczek! mój psinko nieduży!". Na próżno głosowi swemu starał się nadać najczulszą i najmilszą intonację, próżno przemawiał tonem starego

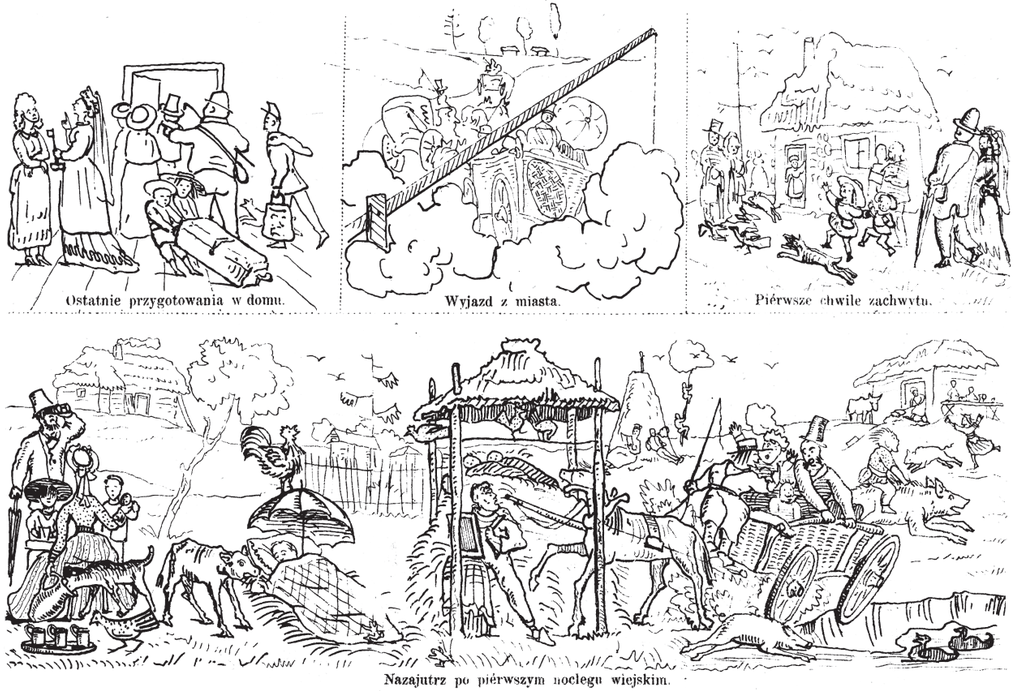

znajomego i dobrego przyjaciela - potwór nie dał się przejednać ani oszukać i wreszcie kto wie, jakby się cała ona rejterada radcy skończyła, gdyby nie nadeszli ludzie, którzy wprawdzie wyrwali radcę z toni, ale którym też radca dał wielkie i dziwne, a wcale niepoważne z siebie widowisko.

Ale takie wypadki jak z samowarem są to wypadki, lubo dość często się przytrafiające, jednak niekoniecznie z pojęciem letniego mieszkania związane. Ale dziurawy sufit nad głową, przez który woda w czas dżdżysty przecieka, ale niemożność dostania jakichkolwiek zapasów żywności, konieczność żywienia się zakwitłymi na zielono serdelkami, przywiezionymi przed pół miesiącem z Warszawy, ale brak drzew i cienia, tak często dający się widzieć na wsi, a budzący w sercach warszawiaków tak tęskne wspomnienia o kasztanach Saskiego Ogrodu [3] - oto

Przygody letniego mieszkania,
„Mucha" 1875 nr 29, s. 4
ebuw.uw.edu.pl

są ciemne strony wilegiatury, oto szkopuły, o które rozbijają się najpiękniejsze marzenia żądnych sielskich rozrywek warszawiaków. Istotnie, kto wyjechał na wieś w nadziei oddychania, razem z familią, powietrzem sosnowych lasów [4], a zamiast tego znajduje smętne szeregi opalonych pieńków, świadczące, że chcąc znaleźć las, trzeba o niego Żydów w pobliskim miasteczku rozpytać, a do Gdańska za nim pojechać; kto przyjechał na wieś sądząc, że na kształt sielskich pasterzy będzie się karmił owocami, mlekiem i poziomkami, a zamiast tego musi skupować najstarsze w całej wsi, że nie powiem: aż zdziecinniałe ze starości kury - temu nie można się dziwić, że tym samym „chwała Bogu!", którym pożegnał się z Warszawą, wita z powrotem swoje zakurzone meble i swoje biurko do pracy, i swe zajęcia, i regularny żywot. (D XLVIII 114-116; GP 1875 nr 84)

[1] Wchodzące obecnie w skład Warszawy Sielce, Mokotów i Wilanów były wtedy wiejskimi osadami położonymi za rogatkami miasta.

[2] Wilegiatura zob. s. 113

[3] Ogród Saski zob. s. 125

[4] Bolesław Prus uzasadniał konieczność opuszczenia miasta na czas kanikuły nudnościami i zawrotami głowy będącymi udziałem przechodniów na warszawskiej ulicy, a których przyczyną jest „nasze poczciwe niechlujstwo i brak kanalizacji". „W końcu od dawna już przedniejsi między resztą braci swoich warszawianie, starali się uciekać w czasie lata na wieś – pisał w *Kronice tygodniowej* („Kurier Warszawski" 1877 nr 87, s. 1). - Ci zaś, którzy o ostrożności tej zapomnieli, doświadczali za to w epoce kanikuły niewymownego gorąca, tudzież osłabienia i znużenia w takim stopniu, że wielu spośród nich z rozpaczy uciekli na letnie mieszkanie za rogatki powązkowskie. Dziś już i to zjawisko rozumiemy, dowiedziawszy się, dzięki municypalnej statystyce, że w Warszawie w ciągu lipca, sierpnia i września śmiertelność, a więc i chorobliwość jest większą niż w jakimkolwiek innym miesiącu roku. Kiedy bowiem w ciągu roku umiera miesięcznie 900 do 1000 osób, w czerwcu cyfra zmarłych dochodzi do 1002, w lipcu - 1300, sierpniu - 1502, wrześniu - 1227. Liczby te wymowniej niż wszelkie sielanki, wszelkie pochwały wiosny i wioski, dowodzą potrzeby wynoszenia się na wieś w czasie lata. Toteż miejmy nadzieję, że wilegiatura stanie się kiedyś u nas modą tak powszechną i dobrą, jak dziś: odczyty, paletoty w formie szlafroków i noszenie sukien w rękach".

Wyzwania letnich mieszkań

Zapaleni myśliwi warszawscy

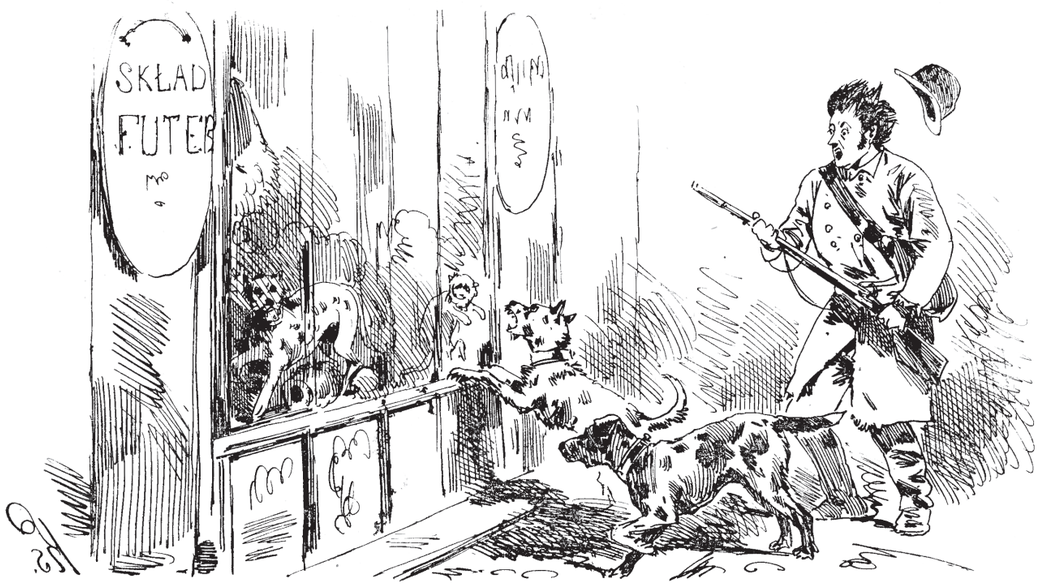

Polowanie na Krakowskiem Przedmieściu.

Polowanie na Krakowskiem Przedmieściu,
rys. Franciszek Kostrzewski,
„Kolce" 1876 nr 43, s. 344

Warszawiacy nie należą do zbyt celnych strzelców. Co krok, to spotyka się zapalonych myśliwców warszawiaków. Pełno ich na każdym pociągu kolei żelaznej. Ze strzelbą przez ramię i marsową fizjonomią śpieszy warszawiak na wieś, korzystając skwapliwie z krótkich przystanków na stacjach kolejowych, by wysiąść choć na chwilę, spojrzeć w wiszące po banhofach [1] lustra i ocenić cała grozę i zamaszystość wiejącą z jego postaci. A potem: wśród opok i jarów, i klonów, i głogów pudłuje z zaciętością do każdej kuropatwy lub strzela dunstem [2] do jakiej babiny rwącej len i odwróconej niegrzecznie do myśliwca. Gdyby zające znały zwyczaj pisania adresów lub wysyłania deputacyj, niezawodnie wysłałyby adres lub deputację do Warszawskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami [3] ze skargą nie na morderstwa wprawdzie, bo te trafiają się chyba wypadkiem, ale na ciągłe i daremne pukanie po lasach i polach. Nie dozwala im to odetchnąć spokojnie i przerywa w niemiły sposób poobiednie drzemki, jakie z całą ufnością w dobre serca warszawiaków urządzają sobie wobec myśliwców pod choiną i krzakami jałowcu, a natomiast rozstraja okropnie nerwy. Dziki i wszelka uzbrojona jako tako zwierzyna nie ma podobno zupełnie powodów do skarg na warszawiaków; owszem, podobno zwłaszcza dziki i wilki zachwycone są uprzejmością i prawdziwie dżentelmeńską grzecznością, z jaką miejscy myśliwi ustępują im z drogi, nie pozwalając na najmniejsze ceremonie. Donoszą mi jednak, że kiedy idzie o śniadanka myśliwskie, na przykład o bigos, wódeczkę i coś tak na zimno - nie dajemy się wcale wieśniakom pobić. Przecież i my nie jacy tacy!

Nie myślcie jednak sobie, panowie wieśniacy, że my wracamy do domu, do naszych żon i córek, bez zwierzyny. A od czegóż Stępkowski? A Wróbel? [4] Kupi się parę kuropatw, a że tam jedna lub druga ma trochę *haut goût* [5] zapaszek, to się tłumaczy żonie, iż ze strachu tak skruszała - i koniec!

(D XLIX 123-124; GP 1875 nr 198)

Warszawiak na polowaniu,
„Kurier Świąteczny" 1873 nr 46, s. 1

[1] Banhof – dawniej dworzec kolejowy.

[2] Dunst – bardzo cienki śrut.

[3] Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami zob. s. 235

[4] „Antoni Stępkowski. Handel win i delikatesów oraz skład towarów kolonialnych" – jedna z najbardziej renomowanych firm, znajdująca się przy ul. Wierzbowej 9 (róg pl. Teatralnego); „Handel Braci Wróbel" – sklep z owocami i delikatesami słynący z doskonałego zaopatrzenia, usytuowany obok kościoła św. Krzyża. Asortyment zob. „Kurier Warszawski" 1875 nr 61, s. 4.

[5] *Haut goût* (fr.) – charakterystyczny aromat skruszałego dzikiego ptactwa.

Zmiana pojęć karnawałowych

Po pierwszym mazurze. Figura z kotletami,
rys. Franciszek Kostrzewski,
„Wędrowiec" 1870 nr 52, s. 413

Nie wiem, co się dzisiaj dzieje z maskaradami i przyjacielskimi balikami: może tam dawny splendor się utrzymał; w domach prywatnych zaś wielka w roku tym zaszła zmiana. Powiedzieliśmy, że szał karnawałowy zmienił siedlisko: miał on je w głowie, a obecnie przeniósł je... nie do serca - do żołądka! Tak jest - *le grand chic* [1] w tym roku jest - nie tańczyć, ale jeść!

Balów, wieczorów „tańcujących" nie ma, ale za to co dzień obiad, co dzień saturnalie [2] żołądkowe. To już ostatni cios zadany poezji życia warszawskiego. Rozogniona mazurem, rozmarzona walcem, wreszcie rozkołysana kadrylem tancerka z biciem serca, ze wzruszeniem słuchała szeptów miłosnych tancerza, w którym wir tańca wszystkie uczucia spotęgował! Było życie w tańcu, była poezja, ale jakżeż to będzie z obiadami! O szóstej zbierają się balownicy, wszyscy znudzeni, bo głodni - w duszy wyklinają każdego spóźniającego się. Nareszcie nadchodzi upragniona chwila - gospodyni podaje rękę najbardziej siwemu, łysemu lub najbardziej udekorowanemu gościowi, gospodarz zaokrągla ramię i podaje je najpokaźniejszej damie - inni goście muszą się kojarzyć nie podług woli, życzenia i sympatii, ale tak, jak im nieubłagane fatum przez usta gospodyni nakazało.

Serce przeto musi milczeć i ustąpić miejsca żołądkowi. Ale gdyby nawet los przychylny obdarzył sąsiedztwem zachwycającej partnerki, to i wtedy trudno odezwać się sercu wobec rozgorączkowanej działalności żołądka. Czyż podobieństwo słodkie słówka półgłosem do ucha pięknej sąsiadki wpuszczać, kiedy w tej chwili lokaj również słodziutkim głosem do ucha szepce: „Lafite czy Yquem?" [3]. Czyż uchodzi powiedzieć komplement o łabędziej szyi i śnieżnej białości ramionach, kiedy jednocześnie półmisek, objęty w lokajskie szpony nicianymi rękawiczkami okryte, przedstawia zgłodniałemu oku jakiś *suprême de volaille aux truffes?* [4] Po obiedzie zaś romansować nie można: kawa, likiery i cygaro rozdzielają dwie połowy rodzaju ludzkiego. Ostatni kłąb dymu z ust wypuszczony zwiastuje początek trawienia; jakże tu kochać, kiedy chciałoby się drzemać? Słowem, obiady karnawałowe zupełnie chybiają celu. Ale ponieważ są przyjęte, ponieważ w tym roku są na dobie i zastępują tańce, przeto należałoby nadać im pewną formę przypominającą zwykle dzieje balowe. Dobrze by było tego rodzaju rozmowy obiadowo-balowe zaszczepić:

- Czy pani raczy nie odmówić następnej kuropatwy?

- Przepraszam, kuropatwę już przyrzekłam, ale combrem służyć mogę.

- Stokrotnie pani dziękuję, więc comber ze mną.

Albo:

- Panie X., chcesz być moim *vis à vis* do Château Margaux? [5]

- Do wszystkich czerwonych win już jestem zamówiony, ale chętnie będę służył do wszystkich białych.

- Zgoda; do likierów zaangażował mnie pan Alfons, który jest niezmordowany.

Panie mogłyby używać tabliczek do notowania zamówień dla zapobieżenia nieporozumieniom i wyniknąć stąd mogącym krwawym spotkaniom.

Na takiej tabliczce dałoby się czytać: „Zupa z hrabią O., ryba z panem Adolfem, poncz rzymski z księciem; jarzynka - chciałabym z panem Adolfem, ale to za dużo - co by świat powiedział?".

Podczas obiadów odbywałyby się w miarę zamówienia: *chaîne de dames* [6], *chassé*, *croisé* [7], do kieliszka *cavalier seul* [8]. Może by się i niejednej obiadniczce wydarzyło usłyszeć takie np. zdanie: „Pani! wspomnienie tego łososia nigdy w sercu mym nie wygaśnie" albo też: „O, gdybym wiecznie przy boku pani mógł taki *salmis aux truffes* [9] zjadać!". Tym sposobem zastąpienie tańców karnawałowych jedzeniem nie wydałoby się kochliwej młodzieży zbyt dotkliwym. Karnawał by istniał - w innej formie, lecz z takimi samymi następstwami - i niejedno by małżeństwo pod wpływem żółwiowej zupy skojarzyć się dało.

Dotąd tak jeszcze nie jest, i zabawa towarzyska na tym cierpi. Panie się nudzą, a panowie rozmawiać z nimi nie chcą czy też nie umieją. Wrócić trzeba czym prędzej do dawnego sposobu bawienia się, bo na tej drodze zatraci się tradycja miłości, której epoka karnawałowa zawsze najobszerniejsze przedstawiała pole. (D XLVIII 23-25; GP 1875 nr 18)

[1] *Le grand chic* (fr.) – wielki szyk.

[2] Saturnalie – tu: libacja

[3] Lafite, Yquem – rodzaje win.

[4] *Suprême de volaille aux truffes* (fr.) – potrawa z drobiu z truflami.

[5] Château Margaux – gatunek wina.

[6] *Chaîne de dames* (fr.) – łańcuch dam.

[7] *Chassé*, *croisé* (fr.) - wymijanie się, zmiana miejsc.

[8] *Cavalier seul* (fr.) - sam partner

[9] *Salmis aux truffes* (fr.) – potrawa z pieczonej zwierzyny z truflami.

Zmiana pojęć karnawałowych

Źródlana woda do picia

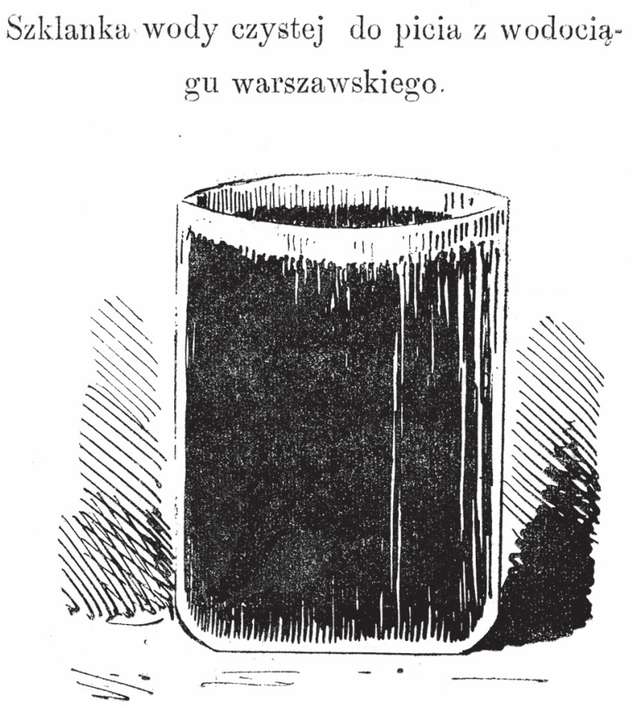

Rysunki z natury.
Szklanka wody czystej do picia z wodociągu warszawskiego,
„Mucha" 1877 nr 13, s. 2

To mamy podobno dostać źródlaną wodę do picia. Pan Kaczkowski [1] wskazał po lewym brzegu Wisły aż jedenaście źródeł czystej jak łza a zimnej jak lód wody, którą gdyby tylko jakimikolwiek sposobami sprowadzić do Warszawy, nie pilibyśmy tak wielkiej ilości gliny, mułu i wielu innych mniej jeszcze pożywnych, a przede wszystkim mniej zdrowych niż glina i muł, ingrediencji rozpuszczonych w wiślanych falach. Dziś już, o ile mi wiadomo, robią ludzie zakłady, czy municypalność sprowadzi te źródła, czy ich nie sprowadzi do Warszawy. Co do mnie, trzymam za tymi, którzy utrzymują, że źródła będą sprowadzone; nie zakładam się tylko o to, kiedy będą sprowadzone, bo tego nikt przewidzieć nie zdoła. W każdym razie winniśmy się cieszyć, że jeżeli nie my sami, jeżeli nawet nie nasi synowie i wnuki, to przynajmniej prawnuki nie będą tak zależeć od wodociągów jak my.

Okropna to bowiem sprawa z tą Wisłą i z tymi wodociągami! Kiedy w Wiśle wody mało, w wodociągach nie ma ani wody, ani ciągnienia; kiedy zaś Wisła duża, wodociągi się zatykają, jak to ma miejsce w tej chwili – i pijemy żur, nie wodę, który sprowadza rozmaitego rodzaju choroby. W takich chwilach woda źródlana byłaby prawdziwym dobrodziejstwem. (D XLVIII s. 106-107; GP 1875 nr 79)

[1] Zob. J.L. Kaczkowski, *Źródła w Warszawie i jej okolicach* „Wiek" 1875 nr 60, s. 3.

Źródlana woda do picia

Żargon giełdowy

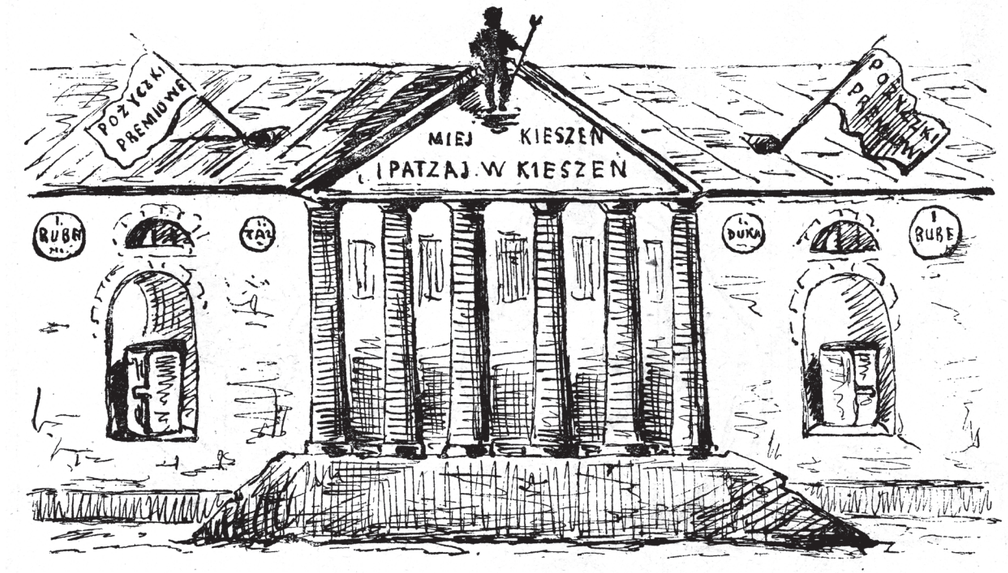

Jakkolwiek Giełda ma już plan gotowy, poddajemy wszakże pod Jej rozwagę, naszą pracę osnutą na tle historyczno-estetyczno-ekonomicznem.

Ścianę frontową gmachu według naszego pomysłu, zdobiłyby filary w kształcie rulonów dukatowych. W niszach sterczałyby podobizny pugilaresów. Fryz składałby się z medaljonów przedstawiających najbardziej na polu finansowem zasłużone indywidua jak: półimperjał, talar, dukat i rubel. Zamiast flag powiewałyby pożyczki premijowe.

Na frontonie można by umieścić słowa którego z poetów, zastosowane do okoliczności.

Na szczycie frontonu w projekcie naszym, umieściliśmy statuę przedstawiającą historycznego Jakóba, brata Ezawa. Jakób bowiem nabyciem od Ezawa praw dziedzictwa za miskę soczewicy — słusznie zarobił na tytuł praojca operacyj finansowych, a jako taki, bardzo odpowiednią będzie ozdobą gmachu.

Gdyby komu z czytelników przyszła myśl piękniejszego i właściwszego przerobienia frontu ujeżdżalni przy ulicy Królewskiej,—my od swego odstąpimy natychmiast.

Plan gmachu Giełdy w Warszawie projektowany przez „Muchę”,
„Mucha” 1876 nr 37, s. 3

Morgen!
- Morgen!
- Czy reflektujesz?
- Nie reflektuję.
- Jakaż tam dziś tendencja?
- Chwiejna.
- A jednak trasowania idą dobrze.
- Mam długi Berlin.
- Wolę krótki Gdańsk.
- W ogóle panuje stagnacja w transakcjach.
- Wartości pruskie mają słabą fizjonomię.
- Londyn poprawia się. Remitenci godzą się na 32 i pół.
- A jakże tam ze zbożem?
- Interes w grochu mocny, *aber* zresztą ganc abszajlich.
- A w okowicie?
- W okowicie mięknie - *und das ist nicht gut*.
- Od czasu ostatnich nadużyć panuje w handlu tym produktem panika.
- Przeciwnie: krańcowe notowania są niezłe.
- Co słychać na innych targach?
- Pszenica spokojna; owies spokojny; jęczmień słaby.
- Hm! Hm! A zobaczmy żelazo.
- Ooo! Patrzaj; czytam: żelazo: *mixed, membres warrants 69 sh. p.*
- Nie ma dziś interesu, nie ma!

Głosy ze wszystkich stron:

- Ts! ts! Aj waj! Aj waj! Wues?

Czy reflektujesz - to się znaczy - czy rozumiesz z tego choć jeden wyraz, czytelniku? Nie. A jednak przemówiłem do ciebie polskim językiem, a raczej polsko-niemiecko-giełdowym żargonem, jakiego używają nasi kupcy, nasi przemysłowcy, nasi wekslarze, nawet nasze organa handlowe, słowem, ci wszyscy, którzy w jakimkolwiek pośrednim lub bezpośrednim z giełdą stoją związku. Ten język - to pieniądze, ten język - to język nowożytnych i szczególnie w dzisiejszych czasach czczonych bogów. Mówią nim na Olimpie, to jest na giełdzie, i w okolicach Olimpu, to jest na placu Bankowym, za Żelazną Bramą i w okolicach jej przyległych. Cóż więc dziwnego, że nam, prostym śmiertelnikom, którym wiatr chodzi po kieszeniach, a szuflady w biurkach obiecują nie zagrożone przez żadnego wielbłąda ani przez żadne ucho od igły wejście do Królestwa Niebieskiego; nam,

dzisiejszym co do imienia, nie co do siły, Goliatom, których lada błogosławiony Dawidek z łatwością za pomocą procentowego kamyka na miejscu zabija, nam, biblijnym ptakom bożym, które nie orzą, bo nie mają czym, nie sieją, bo nie mają czym, nie zbierają, bo nie mają co, a jednak żyją - sami nie wiedząc, po co - cóż dziwnego, powtarzam, że nam język ten wydaje się niezrozumiałym, dziwacznym i śmiesznym nawet? Nie rozumiemy go i kwita, ale rozumować nam nie wolno, bo biada ułomnemu człowiekowi, który tajemnice bogów do gruntu poznać i zbadać pragnie! Zresztą tym wszystkim, którzy by w nieograniczonej zuchwałości, właściwej ludzkiemu plemieniu, chcieli ten język bluźnierczo nazwać obrzydliwą mieszaniną poprzekręcanych wyrazów należących do wszystkich języków europejskich, oświadczam, że bogowie giełdowi używają go tylko czasami, zwykle zaś mówią językiem czystym i pięknym - językiem Laskera, Strousberga, radcy Wagnera [1], słowem, językiem niemieckim. Używają więc czystego niemieckiego, a nie używają tylko czystego polskiego, bo ten jest nie dość europejski, nie dość ucywilizowany i zgoła barbarzyński. Najlepszym dowodem tego jest, że kto tylko w jakikolwiek sposób głową nad tłum wystaje, zaraz rzeczony język porzuca albo przynajmniej stara się go przyozdobić i wyszlachetnić rozmaitymi zagranicznymi przekładaniami. (...)

Ci, którzy wspomnianym wyżej giełdowym żargonem się posługują, tłumaczą się, że używać go muszą, bo nie ma innego. Nie istnieje polski język handlowy, cóż więc czynić? Co czynić? Stworzyć go. (D XLIX 133-136; GP 1875 nr 219)

[1] Eduard Lasker (1829-1884), polityk niemiecki pochodzenia żydowskiego (ur. w Jarocinie), wieloletni poseł do sejmu pruskiego i parlamentu Rzeszy z ramienia lewego skrzydła Partii Narodowo-Liberalnej; Bethel Henry Strousberg (1823-1883), niemiecki przedsiębiorca kolejowy, zwany królem kolei żelaznej; Hermann Wagener (1815-1889), prawnik, dziennikarz, publicysta i polityk konserwatywny, monarchista, w l. 1867-1871 poseł do Pruskiej Izby Reprezentantów, a następnie do Reichstagu Rzeszy. W 1873 r. Lasker w trakcie wystąpienia w Reichstagu napiętnował korupcję i złe zarządzanie w przedsiębiorstwie Kolei Pomorskiej. Wymienił wielu przedstawicieli arystokracji oraz wysokich urzędników, którzy za odpowiednim wynagrodzeniem w gotówce lub akcjach wyrabiali koncesje kolejowe. Wśród oskarżonych znaleźli się Strousberg i Wagener.

Żywe obrazy na Przytulisko

Żywe obrazy na Przytulisko, rys. Arkadiusz Mucharski, „Mucha" 1877 nr 16, s. 4

Przytulisko [1] wie dobrze, że jedna panna, plus druga panna, plus trzecia panna, plus kilku *circum* [2]-fatygantów, plus lew ze sklepu futrzanego, plus kilka kostiumów kąpielowych pomnożonych przez talent wielkiego artysty równa się żywemu obrazowi [3]; a kilka obrazów dodanych do siebie stanowi widowisko, a widowisko - to dochód. Całą tę tak na pozór złożoną, a jednak tak prostą kombinację matematyczną Przytulisko powtarza z tym większą wprawą, że powtarza ją rokrocznie. „Była to czapla na czerwonych nogach, chodziła sobie po rozstajnych drogach, siadła na desce, ogonem klesce, powiedzieć ci jeszcze?".

- Powiedz - odpowiada publiczność, a Przytulisko z dobrą wiarą zaczyna: „Była to czapla" etc. Będziem mieli tedy znowu żywe obrazy. Do bab hodowanych na większą cześć tego zakładu znowu przybędzie kilka okazów, a Biuro Wyjątkowej Nędzy [4], patrząc na wszystko to z boku, pomyśli sobie, że lepiej jest być biurem wyjątkowej pożądliwości na dochody i wyjątkowej ruchliwości w nogach niż wyjątkowej nędzy i że miłosierdzie publiczne jest starym bałamutem, który otwiera kieszeń wtedy, kiedy traci głowę, a traci głowę zawsze na widok ładnych twarzyczek. (D XLIX 192-193; GP 1875 nr 282)

[1] Przytulisko „założyła w roku 1858 pani Franciszka z Zawadzkich Robaczewska, umieściwszy go w małym najętym mieszkaniu przy ulicy Nowe-Miasto. W kilka lat potem założycielka ofiarowała na ten cel własny swój dom przy ulicy Wilczej nr 3. W roku 1868 Przytulisko oddane zostało pod kontrolę Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności a p. Robaczewska mianowaną została główną dożywotnią protektorką. Przytulisko przeznaczone jest dla kobiet niemogących znaleźć utrzymania w żadnej z tutejszych instytucji dobroczynnych. Kobiety te w liczbie około 30 znajdują tu pomieszczenie, żywność a w razie potrzeby ubranie i pomoc lekarską. (...) Źródłem utrzymania Przytuliska jest dobroczynność opiekujących się nim dam i ofiary publiczności zbierane za pomocą corocznych koncertów i przedstawień teatralnych". F. Fryze, I. Chodorowicz, *Przewodnik po Warszawie i jej okolicach na rok 1873/4...* ułożony i wyd. przez..., Warszawa 1873, Dział dobroczynny, s. 394.

[2] *Circum* (łac.) - wokoło, dookoła, w pobliżu.

[3] Żywe obrazy - kompozycje figuralne przedstawiające postacie zastygłe w ekspresyjnej pozie, będące samodzielną częścią widowiska lub uroczystości. Na ziemiach polskich stały się popularne zwłaszcza na przełomie XIX i XX wieku. Prezentowane podczas amatorskich przedstawień czy wieczornic nawiązywały do polskiej literatury i historii, ich układ był oparty na ilustracjach, pocztówkach lub projektowany przez znanych malarzy, takich jak Juliusz i Wojciech Kossakowie czy Wojciech Gerson. Na podst. M. Piotrowska, *Żywy obraz* // w: http://www.encyklopediateatru.pl/hasla/206/zywy-obraz [dostęp: 11.12.2016].

[4] Biuro Informacyjne o Nędzy Wyjątkowej zostało założone „w roku 1870 za staraniem i inicjatywą kamerjunkra dworu J.C.M. Cypriana Lachnickiego. Zarządzającą Biurem jest pani Piłsucka, w której mieszkaniu prywatnym (ul. Erywańska nr 8 (...) Biuro swe czynności załatwia. Celem tej instytucji jest przyjście w pomoc osobom opieki i wsparcia potrzebującym; z tej też przyczyny Biuro każdego tygodnia umieszcza we wszystkich pismach periodycznych listę osób na wsparcie zasługujących po zakwalifikowaniu ich do takowego przez siostry miłosierdzia. (...) Wszelkie składki na rzecz biura mogą być wnoszone tak w samym biurze, jako też w redakcjach pism periodycznych warszawskich". F. Fryze, I. Chodorowicz, *Przewodnik po Warszawie i jej okolicach na rok 1873/4...* ułożony i wyd. przez..., Warszawa 1873, Dział dobroczynny, s. 399-400.

Żywe obrazy na Przytulisko

Wyczerpawszy tym sposobem
cały zapas wiadomości
widzę, że mi nic nie pozostaje,
jak pożegnać czytelników...

H. Sienkiewicz

Wybrana literatura

Baronowa XYZ, *Towarzystwo warszawskie. Listy do przyjaciółki przez...*, oprac. Ryszard Kołodziejczyk, Warszawa 1971 (Biblioteka Syrenki).

Barbara Bobrowska, *Bolesław Prus - mistrz pozytywistycznej kroniki*, Białystok 1999 (Białostocka Biblioteka Polonistyczna ; 4).

B. Bobrowska, *Twarze i maski. Kreacje autora i czytelnika wewnętrznego w kronikach Sienkiewicza, Prusa, Konopnickiej i Świętochowskiego*, w: *Miasto słów. Studia z historii literatury i kultury drugiej połowy XIX wieku*, pod red. Ewy Paczoskiej, Białystok 1990 [i.e.] 1991 (Białostocka Biblioteka Polonistyczna ; 1), s. 55-93.

Marian Marek Drozdowski, *Warszawa epoki Sienkiewicza*, w: Henryk Sienkiewicz, *Felietony warszawskie 1873-1882*, wybór i oprac. Stanisław Fita, Warszawa 2002, s. 17-26.

Dzieje Ochoty, [kom. red. Józef Kazimierski et al.], Warszawa 1973 (Varsaviana).

Encyklopedia Warszawy, [red. prowadzący Bartłomiej Kaczorowski], Warszawa 1994.

Encyklopedia Warszawy. Suplement'96, [red. prowadzący Bartłomiej Kaczorowski], Warszawa 1996.

Stanisław Fita, *Oblicze współczesności w felietonach Sienkiewicza*, w: *Henryk Sienkiewicz w kulturze polskiej*, red. Krzysztof Stępnik, Tadeusz Bujnicki, Lublin 2007 (Obrazy Kultury Polskiej).

S. Fita, *Sienkiewicz i „pokolenie Szkoły Głównej"* „Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza" R. 41 (2006), s. 47-57.

S. Fita, *Warszawskie felietony Sienkiewicza*, w: Henryk Sienkiewicz, *Felietony warszawskie 1873-1882*, wybór i oprac. Stanisław Fita, Warszawa 2002, s. 7-16.

Marian Gajewski, *Urządzenia komunalne Warszawy. Zarys historyczny*, Warszawa 1979 (Biblioteka Syrenki).

Daniel Grinberg, Elżbieta Mazur, Grażyna Pawlak, Maciej Sadowski, *Res sacra miser. Dzieje Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności*, Warszawa 2015.

Henryk Sienkiewicz, oprac. zespół pod kier. Dobrosławy Świerczyńskiej, Warszawa 2015 (Bibliografia literatury polskiej „Nowy Korbut" ; 17, vol. 3).

Ferdynand Hoesick, *Sienkiewicz jako felietonista. Zapomniane kartki z teki Litwosa (1873-1883)*, Warszawa 1902

Henryk Janczewski, *Warszawa. Geneza i rozwój inżynierii miejskiej*, Warszawa 1971.

Stefan Kieniewicz, *Warszawa w latach 1795-1914*, Warszawa 1976 (Dzieje Warszawy ; t. 3).

Zenon Kmiecik, *Słowo za czasów redaktora Henryka Sienkiewicza*, „Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego" T. 8 (1969) z. 3, s. 301-312.

Barbara Król-Kaczorowska, *Teatr dawnej Polski. Budynki, dekoracje, kostiumy*, Warszawa 1971 (Z Prac Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk).

Julian Krzyżanowski, *Henryk Sienkiewicz. Kalendarz życia i twórczości*, uzup. i oprac. Maria Bokszczanin. Wyd. 3 poszerz., Warszawa 2012.

J. Krzyżanowski, *Sienkiewicz a Wars*zawa, Warszawa 2000.

Janina Kulczycka-Saloni, *Literaci i literatura w publicystyce Henryka Sienkiewicza*, „Przegląd Humanistyczny" 1996 nr 6, s. 57-63.

J. Kulczycka-Saloni, *Sienkiewicz a Warszawa*, w: *Sienkiewicz dzisiaj. Studia i szkice*, wyboru dokonał i oprac. Tomasz Jodełka-Burzecki pod red. Jana Zygmunta Jakubowskiego, Warszawa 1968, s. 91-114.

Kultura muzyczna Warszawy drugiej połowy XIX wieku, [red. nauk. Andrzej Spóz], Warszawa 1980.

Halina Kurkowska, *Język publicystyki Sienkiewicza*, w: Halina Kurkowska, *Polszczyzna ludzi myślących*, wybór i oprac. Hanna Jadacka i Andrzej Markowski, Warszawa 1991 (Biblioteka Filologii Polskiej. Seria A, Językoznawstwo), s. [39]-58.

Jan Józef Lipski, *Warszawscy „Pustelnicy" i „Bywalscy"*, t. 1, *Felietoniści i kronikarze 1818-1899*, Warszawa 1973 (Biblioteka Syrenki).

Łukasz Lubryczyński, Karolina Wanda Gańko, *Dorożkarstwo warszawskie w XIX wieku*, Warszawa 2016 (W Służbie Niepodległej).

Aleksander Łupienko, *Kamienice czynszowe Warszawy 1864-1914*, Warszawa 2015.

Bogdan Mazan, *„Logo" Warszawy w kronikach Sienkiewicza*, „Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza" R. 41 (2006), s. 13-45.

Elżbieta Mazur, *Dobroczynność w Warszawie XIX wieku*, Warszawa 1999 (Studia i Materiały z Historii Kultury Materialnej ; t. 67).

Beata Mellerowa, *Tanie kuchnie w Warszawie w latach 1869-1914*, „Kwartalnik Historii Kultury Materialnej" 1974 nr 1, s. 75-85.

Maria Nietyksza, *Ludność Warszawy na przełomie XIX i XX wieku*, Warszawa 1971.

Marek Olkuśnik, *Wyjechać z miasta... Mieszkańcy Warszawy wobec podróży, turystyki i wypoczynku na przełomie XIX i XX wieku*, Warszawa 2015.

Stefan Papée, *Henryk Sienkiewicz jako humorysta*. Wyd. 2, Lwów 1939.

Magdalena Pietrzak, *Dziurdziulewicze, Cymbałkiewicze, Nadymalscy..., czyli obraz polskich wad na przykładzie felietonów 2 połowy*

Wybrana literatura

XIX wieku, w: *Nasz język w przeszłości – nasza przeszłość w języku*. 1, pod red. Izabeli Kępki, Lucyny Wardy-Radys, Pelplin 2011, s. 105–114.

M. Pietrzak, *„Ja" felietonów H. Sienkiewicza. Na przykładzie „Chwili obecnej"*, w: *Osoba i osobowość – czynniki je kształtujące. Materiały z konferencji 9-11 maja 2005* , [praca pod red. M. Pietrzak], Łódź 2006, s. 301-310.

M. Pietrzak, *Między felietonem a recenzją - o przynależności gatunkowej „Mieszanin literacko-artystycznych" Henryka Sienkiewicza*, w: *Cum reverentia, gratia, amicitia... Księga jubileuszowa dedykowana profesorowi Bogdanowi Walczakowi*. 2, pod red. Jolanty Migdał i Agnieszki Piotrowskiej-Wojaczyk, Poznań 2013, s. 605-613.

M. Pietrzak, *Obraz Polaków w felietonach Henryka Sienkiewicza*. „Studia Językoznawcze" T. 14 (2015), s. 285-296.

M. Pietrzak, *Polski felieton dawniej i dziś. Kilka uwag z ewolucji gatunku*, w: *Akty i gatunki mowy w perspektywie kulturowej* / pod red. Anny Burzyńskiej-Kamienieckiej, Wrocław 2012 (Acta Universitatis Wratislaviensis; nr 3456. Język a Kultura ; t. 23), s. 97-104.

M. Pietrzak, *Przysłowie w publicystyce Henryka Sienkiewicza*, w: *W kręgu zagadnień semantyki i stylistyki tekstu*, pod red. Agaty Piaseckiej i Iji Blumental, Łódź 2014, s. 335-344

M. Pietrzak, *Troska o język polski w publicystyce pozytywistycznej*, w: *Naród. Religia. Język*, pod red. A. Gajdy, Łódź 2011, s. 293–304.

M. Pietrzak, *Warsztat dziennikarski Henryka Sienkiewicza – prolegomena* „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Linguistica" Nr 50 (2016), s. 143-156.

M. Pietrzak, *Wyznaczniki gatunkowe felietonu drugiej połowy XIX wieku. Na przykładzie tekstów Henryka Sienkiewicza, Bolesława Prusa i Aleksandra Świętochowskiego*, Łódź 2013.

Zbigniew Przybyła, *Henryka Sienkiewicza „wycieczki w dziedzinę lingwistyki"*, w: *Henryk Sienkiewicz i jego twórczość. Materiały z konferencji naukowej w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie, 5-7 maja 1996 r.*, pod red. Zbigniewa Przybyły, Kraków 1996 (Jubileusze Pozytywistów ; t. 1), s. 83-97.

Jadwiga Roguska, *Architektura i budownictwo mieszkaniowe w Warszawie w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku. Architektura willowa*, Warszawa 1986 (Prace Naukowe – Politechnika Warszawska. Budownictwo ; z. 92).

Malte Rolf, *Rządy imperialne w Kraju Nadwiślańskim. Królestwo Polskie i cesarstwo rosyjskie (1864-1915)*, przekł. Wojciech Włoskowicz. Warszawa 2016 (Biblioteka Humanisty).

Magdalena Rumińska, *„Zimowe rozkosze nadwiślańskiej Kapui". Karnawałowa Warszawa w felietonach Henryka Sienkiewicza*, w: *Henryk Sienkiewicz w kulturze polskiej*, red. Krzysztof Stępnik, Tadeusz Bujnicki, Lublin 2007 (Obrazy Kultury Polskiej), s. 307-316.

Henryk Sienkiewicz, *Chwila obecna*. 1-2, Warszawa 1950 (H. Sienkiewicz, *Dzieła. Wydanie zbiorowe*, pod red. Juliana Krzyżanowskiego ; t. 48-49).

H. Sienkiewicz, *Felietony warszawskie 1873-1882*, wybór i oprac. Stanisław Fita, Warszawa 2002.

H. Sienkiewicz, *Sprawy bieżące*, Warszawa 1950 (H. Sienkiewicz, *Dzieła. Wydanie zbiorowe*, pod red. Juliana Krzyżanowskiego ; t. 47).

Władysław Słodkowski, *Warszawskim szlakiem Sienkiewicza*, „Stolica" 1966 nr 44, s. 6-7.

Anna Słoniowa, *Początki nowoczesnej infrastruktury Warszawy*, Warszawa 1978.

Słownik biograficzny teatru polskiego, [t. 1], *1765--1965*, [na podst. materiałów Stanisława Dąbrowskiego oprac. red. Zbigniew Raszewski et al.], Warszawa 1973.

Studia z dziejów kolei żelaznych w Królestwie Polskim (1840-1914), pod red. Ryszarda Kołodziejczyka, Warszawa ; Łódź 1970.

Eugeniusz Szwankowski, *Teatry Warszawy w latach 1765-1918*, do dr. przygot. Maria Wosiek; posł. opatrzył Marian Marek Drozdowski, Warszawa 1979 (Biblioteka Historyczna im. Tadeusza Korzona ; nr 36).

E. Szwankowski, *Ulice i place Warszawy*. Wyd. 2 uzup., Warszawa 1970 (Varsaviana).

Tadeusz Władysław Świątek, Rafał Chwiszczuk, *Warszawski ruch społecznikowski*, Warszawa 2010 http://cultus.org.pl/publikacje/Warszawski_ruch_spolecznikowski.pdf [dostęp: 20.12.2016]

Dobrosława Świerczyńska, *Sienkiewicz i Żydzi. Rekonesans*, „Pamiętnik Literacki" 2008 z. 2, s. 121-157.

Teatr polski od 1863 roku do schyłku XIX wieku, [red. nauk. Tadeusz Sivert, Ewa Heise], Warszawa 1982 (Dzieje Teatru Polskiego ; t. 3).

Małgorzata Trzeciak, *Henryk Sienkiewicz*, w: *Warszawa pozytywistów. Praca zbiorowa*, pod red. Janiny Kulczyckiej-Saloni i Ewy Ihnatowicz, Warszawa 1992 (Pisarze Polscy i Warszawa), s. 153-161.

Bronisław Wieczorkiewicz, *Słownik gwary warszawskiej XIX wieku*, Warszawa 1966.

Wielkomiejski rozwój Warszawy do 1918 r., pod red. Ireny Pietrzak-Pawłowskiej, Warszawa 1973.

Wybrana literatura